

Są kraje, w których ryby jako bóstwa czczono. Mongołowie n. p. po dziś dzień mają ryby w świętem poszanowaniu. W Troicku na rynku obok bazaru stoi bałwan z granitu około siedmiu stóp wysokości, znaleziony przed laty w okolicach Kjachty. Przedstawia on rybę; ślady oczu i starych na niej napisów jeszcze są widocznymi.* W Paryżu, w Luwrze, pomiędzy zbiorami archeologicznymi z Meksyku tam zgromadzonemi, widziałem kolumnę granitową, na niej dwie duże ryby w formie karpiów z tegoż kamienia wyciosane, które jakieś bóstwo meksykańskie oznaczać miały.



VII.

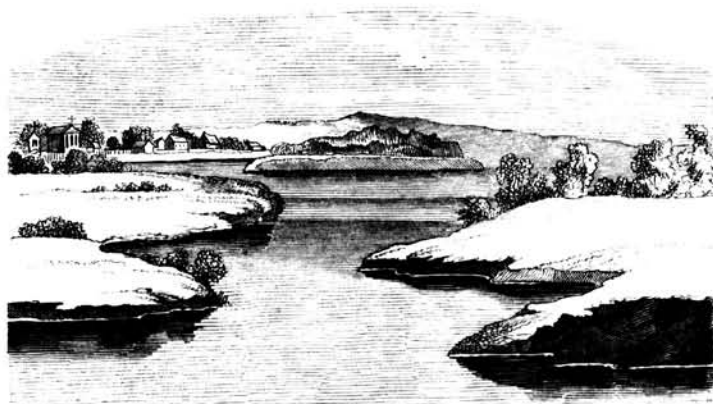
eszcze dość wczesnie było jak na nocleg, kiedyśmy po kilkrotnem odpoczywaniu z męką ciągnięci nad brzegiem przez wiosłarzy naszych, stanęli w smorgońskim przewozie i tu postanowili noc całą odpocząć. Jest to niewielka przystań o parę wiorst od miasteczka tego nazwiska położona, którego dachy na płaszczynie odznaczającej tę pozycję ztąd policzyćby można, a ów biały, dziwnej struktury okrągło kulisty, jakby dynia, kościółek nad miasteczkiem panujący, najwydatniej swe okrągłe zarysy płynącym po Wilij z daleka zaleca. Smorgoński przewóz jest już ostatnią w tej części rzeki przystanią, z której wychodzą króbkki ładowane pieńką i siemieniem. — Mała to całkiem posada, mająca zupełnie prostotę wiejską, położona przy brzegu Wilij, przy drodze prowadzącej od Smorgoń poza Wiliję do miasta Wilejki. Widzisz tam niewielkie kupieckie świrny, karczmę żydowską przy przewozie; po za nią, przy drodze, zwyczajem litewskim, kilka drewnianych krzyżów, za temi skromny wiejski smętarz w kwadrat okopany z kilką ubogimi pośmiertnimi pomnikami; na prawo za drogą, zawsze na brzegu rzeki — dwie chaty włościańskie ze smutno wyglądającym warzywem, uprawianem na szczerym piasku. Oto wszystko, co składa przystań, nazywającą się Przewozem Smorgońskim. W tej

* Listy z Syberyi przez Agatona Giller. Biblioteka Warszawska za r. 1858 zeszyt Grudniowy 24. str. 624.

chwili, kiedyśmy tutaj zawitali, ludzie się krzątali około wysłania krobek, a brzeg był pełen płytów, do odejścia gotowych.

Przybycie statku mego do przystani smorgońskiej nie było żadną nowością, wszędzie po brzegu Wilij wiedziano, iż ja po niej płynę i wszędzie, mianowicie gdzie się znajdują przewozy, a tych liczba jest znaczną na Wilij, znalazłem ułatwiony przejazd przez opuszczenie lin do wody. W smorgońskim przewozie oprócz ludzi pracujących około krobek i płytów, mnóstwo się też żydów i żydówek, zapewne kupców interesowanych towarem odchodzącym wodą, przybyłych z miasteczka, nagromadziło na brzegu. Przybijając ku brzegowi, nie przeczuwałem, iż w tej liczbie zebranych znajduje się nie mało ludzi, oczekujących mojego przybycia. Sława moja doktorska tak nabrała po rzece Wilij rozgłosu, że się tutaj chore kobiety żydówki z miasteczka zgromadziły pod mój przejazd dla szukania rady i pomocy w swych cierpieniach. Poszedł więc ścisły examen lekarski; jedna po drugiej odbyć musiała spowiedź ze swoich cierpień; poczem znowu rumianek, znowu pigułki z mojej podróźnej apteki rozeszły się pomiędzy chore. Cierpiące na choroby serioźniejsze, których nie rozumiałem i leczyć bardzo naturalnie nie odważyłem się, addressowałem do Wilna najczęściej do P. Welka, bo cierpienia były podobnej natury. — W ten sposób na brzegu Wilij udzielając rady, do ciemnej nocy przesiedzieliśmy. Noc przeszła prędko, a po niej równo ze dniem wszystko snem pokrzepione, stanęło z nowymi siłami do pracy. Popłynęliśmy dalej w drogę. Za smorgońską przystanią Wilija na chwilę przestaje być granicą dwóch powiatów; zwracając się ku północy, wrywa się ona ze swego piaszczystego objęcia, aby, jak rozpieszczone dziecię w swawolnem wykręcaniu się, poigrało z brzegami łąk kwiecistych, po których część jakąś tej okolicy płynie. Jadącego po tej rzece ponad pięknymi owemi łąkami, z daleka bardzo powita mile obrazek całkiem wiejski, a tak jakiś uroczysty, jakiemu równego płynący od źródła dotąd nie napotkał. Na wzniosłym brzegu Wilij, na prawo, wśród drzew gęsto zieleniejących, bieleje dwór szlachecki, porządny i dostatni. Za nim skromny drewniany kościółek — dalej rzędem długa wioska — wszystko schludno i czysto. Ta Bogu poświęcona świątynia jakby umyślnie umieszczoną została pomiędzy dworem obywatela, a skromnymi włościan strzechami, ażeby duchową swą potęgą zlewała w jedną całość wzajemne ich stosunki, ażeby siłą religii, jaką matka nasza — kościół, na serca wiernego sobie ludu wpływa, wyrobiła poczucie braterstwa i miłości chrześcijańskiej z jednej, a dziecinną uległość z drugiej strony. — Piękna ta osada nazywa się Daniszewem; było ono niegdyś wioską XX. Jezuitów, a dzisiaj jest kwarcianą własnością wdowy obywatelki p. Czarnockiej. Widok ten, stanowiący krajobraz pełen skromnej, a tyle uroczystej sielskiej prostoty, tak mi się podobał, że poleciłem p. Januszewiczowi, aby mi go on zryso-

wał w moim podróznym albumie. — Potrzebował mój rysownik zatrzymać się przy brzegu dla znalezienia punktu, z któregoby mógł korzystnie zdjąć szczegóły tego widoku. Przybiliśmy do dużej pięknej łąki, będącej na lewym brzegu rzeki; pan Januszewicz poszedł do roboty, a czeladź wzięła się do śniadania.



Był to dzień 12. Czerwca — wigilija do Najsw. Panny Zielnej. Tę datę zanotować proszę, znajdzie się albowiem ona w ścisłym związku z przyjęciem, któregośmy doznali w wiosce. Jako w wigilię Patronki Zielnej, kobiety z wioski zbierały kwiaty i zioła polne, aby, nazajutrz w kościele poświęcone, stanowiły znowu na rok cały domową ich świętość. P. Januszewicz wiedząc, iż w zbieraniu pieśni gminnych udaję się zwykle do kobiet wiejskich, tem bardziej, iż wjechawszy już w święciański powiat, nigdzie nie do tej czynności nie przybrał jeszcze, chcąc mnie ułatwić zebranie pieśni, gdy się na łące skierował ku kobietom zbierającym kwiaty — wszystkie uciekać zaczęły do łozy; dwie z nich śmielsze: jedna stara baba, druga młoda jeszcze przystojna kobieta, dotrzymały placu; zaproszone do batu przez p. Januszewicza, każda z nich z dużym pękiem kwiatów pod pachą, idąc z ostrożnością zdaleka, nieśmiało zbliżyły się do brzegu; dalsze, ukryte w gęstej łozi, co zdaleka łąkę okrążała, z pośród niej poglądały ciekawie, co się stanie z dwiema ich koleżankami. Przyproawdzone przed siebie kobiety zacząłem pytać się o pieśni ludowe; one swoim zwyczajem odmawiały się tem, iż żadnych pieśni nie umieją; uciekłem się do zwyczajnego doświadczonego w tych razach środka — do traktamentu wódką; oglądały się one jedna na drugą i nie przyjęły z rąk moich podanego sobie nektaru, którego w żadnej okoliczności nigdy odmawiać nie zwykły; zdziwiło mnie to nie pomału; z razu nie umiałem odgadnąć przyczyny, którą odgadnąć, jak się pokaże, nie tak łatwo było. Na usilne i na natrętne moje nalegania, na pieniądź sobie ofiarowany, któren przyjąć długo wzbraniały się, zaśpie-

waly mnie nareszcie piosnkę do ziół, które w tym dniu zbierały; lecz zawsze zdaleka, zawsze ze strachem, z trwogą i oglądaniem się; nareszcie, gdym mocno i bezustannie nalegał, powiedziały mnie, że uczynią to może we wsi, jeśli ja się w ich wsi zatrzymam; przyjąłem propozycję; kobiety poszły krótszą drogą przez łąkę, ja zaś popłynąłem rzeką. Kilka dużych zakrętów opłynąć trzeba było, nim się wypłynęło przed wioską. Przejście to zabrało dobrą godzinę czasu. Kobiety prostą drogą przez łąkę prędzej stanęły na miejscu i w wiosce mój przyjazd ogłosiły. — W tej chwili, kiedym dopływał, msza św. odbywała się w kościele; dzwonek u ołtarza, którego głos dochodził do statku, obwieścił nam, iż się ofiara św. spełniała w świątyni na brzegu. Wyprawilem na Adjutancie p. Januszewicza dla rozmówienia się z księdzem, jako najświetlejszym mieszkańcem całej tej osady, dla powzięcia od niego wiadomości o miejscu, którego był proboszczem, dla poczerpnięcia w samym źródle (tak miałem prawo sądzić) szczegółów dotyczących mojej wyprawy; sam zaś chciwy śpiewów ludowych płynąłem do wioski. Wszyscy mieszkańcy tej wsi na odgłos mego przybycia gromadnie się zebrali przed wioską, lecz zdaleka od brzegu, patrzący ciekawie na mój strojny statek, jakiemu podobnego nie widziano na Wilij. Przybiłem do brzegu i wnet poszedłem prosto ku zebranej gromadzie ludzi; w miarę jakem się do nich zbliżał, gromada cofała się ode mnie i unikała widzialnie mojego zbliżenia się. Kobiety toż samo czyniły co i mężczyźni, lecz nie tak wyraźnie; — śmielsze od tamtych, dały mnie możność zbliżenia się ku nim. Odkryłem w gromadzie moją znajomą, z którą przed godziną na łące rozmawiałem, i do niej się uczepiwszy, gdy wszyscy mnie unikali, do jej chaty kazałem siebie prowadzić. Gdy tę obrałem sobie za miejsce do pracy, cała ludność wioski ją okrążyła; wewnątrz jej zapelniać się poczęło różnego wieku kobietami, począwszy od małych dziewcząt, aż do bab starych; mężczyźni, jako roztropniejsza i ostrożniejsza część ludności, w gromady pozbierani, nie zbliżając się ku chacie, wstrzymywali swoje kobiety i im odradzali, ażeby nie szły do środka; lecz dokażże tej sztuki; zatrzymaj kobietę, gdy ją ciekawość nęci, kiedy się bez niej coś nowego gdziekolwiek odbywa. Kiedym zaproponował śpiewanie pieśni gminnych, nastąpiły w gromadzie różne konjektury, narady, szepty, jakieś postrachy między sobą; wywoływano z chaty kobiety, straszono je jakąś biedą i nieszczęściem — słowem szły między nimi ciągle ciche narady i hałaśliwe perswazyje; wszyscy mówili razem, a do rzeczy przystąpić niepodobna było. Stała butelka na stole, a gdy czarka obiegła w około zebrane towarzystwo, gwar się powiększył wprawdzie, lecz z nim razem zmiękły ostre formy ludowego uporu. Kiedy jeszcze czerwone chusteczki i sznurki błyszczących paciórerek miały stać się nagrodą dla śpiewaczek — dwie młode dziewczynki: Marysia i Karolina, dwie najdzielniejsze śpiewaczki w wiosce, magazyn niewyczerpany śpie-

wów ludowych, pomimo pogroźki starszych, śmiało i ochoczo stanęły przedemną i zaczęły mnie śpiewać jedną po drugiej piosnki, na różne zdarzenia układane. — P. Szantyr zasiadł za stołem do pisania — i tak zrazu trudna i niepodobna na pozór do wykonania, łatwo i gładko iść zaczęła robota.

Wśród tej czynności wrócił ze swej misyi p. Januszewicz, całkiem niezbudowany i niezadowolniony; bo gdy proboszczowi opowiedział cel mojej podróży i prosił go o miejscowe w tym względzie pomoce, ksiądz mu na to odpowiedział, iż miał przedpisanie od biskupa, ażeby zbierał pieśni ludowe; lecz że to jest rzeczą całkiem niepodobną, więc zaniechał tej czynności i dorzucił wślad niewczesną skargę, jak gdyby to z moją podróżą jakikolwiek związek miało, że niema przy probostwie ziemi plebanialnej, że mu wyżyć ciężko, że on myśli prosić biskupa o lepszą plebanię.

Narady dojrzalszych mężczyzn nie ustawały na dziedzińcu: lecz one się okazały bezskutecznymi, albowiem robota około spisywania pieśni ludowych coraz lepiej idzie. Już się i kobiety starsze, trochę podweselone, do tej czynności mieszają; każda z pieśnią sama już się wyrывa i zrzucając po słówku dziewczętom dyktującym, — im przypomina, a bardziej przeszkadza. Sześć arkuszy podobnych śpiewów wiejskich, na różne okoliczności dyktowanych spisaliśmy, które w powiecie święciańskim śpiewają. Jeszcześmy tak niedaleko ujechali od granicy powiatu wilejskiego, a ileż w tych śpiewach odcieni, treścią i nutą całkiem się od tamtych różniących napotykaemy. W ciągu tej mozolnej pracy, wśród bezładu i zamieszania dobywanej, gdy się kobiety z nami spodufaliły, a trunek zakręcił w głowie, prawda dotąd zatajona zaczęła się dobywać przez ich usta. Przyznały mi się, iż nie chciały przyjąć na łące ofiarowanego sobie przezemnie kieliszka z obawy, aby w nim się zdrada nie kryła: „bo powiadają ludzie (tak się one tłómaczyły), że śmierć w tych czasach przechodzić będzie, i kusząc różnemi środkami, ludzi ze świata pozabiera.“ — Był to właśnie ów dzień zapowiedziany, w którym kometa przechodzący miał się z ziemią zetknąć i ją zniszczyć, a którego straszne przyjsście świat cały trwogą napełniło. Mnie i moją strojną barkę za śmierć podróżującą poczytano, a podany kieliszek osądzono za ów nektar pokusy, którym zwabione, życie zakończyć miały. — Żadna kaczka dziennikarska nie znalazła nigdy tak wielkiego rozgłosu, jak owe nieobaczne ogłoszenie astronomów; — żadna z wiadomości publicznych nigdy tak szybko nie rozbiegła się i nie rozdzieliła się między wszystkie klasy narodu, wnosząc w nie rozpacz i trwogę, jak obecna wiadomość o skończeniu świata. Wszyscy ją obrabiali, stosownie do swoich pojęć; wszyscy ją ubierali w rozmaite postacie, lecz zawsze ją widzieli groźną i straszną. Lud wiejski całkiem przestał być pracować; tracił na hulankę nietylko pieniądź krwawo zapracowany, lecz przepijał ziarno,

żywiol i wszelki gospodarski dobytek, jako w wigilię śmierci na nic mu już niepotrzebny. Kupcy nawet, ta klasa ludzi realnych, zatrzymali byli stosunki handlowe do daty, przez pisma publiczne na ten dzień straszny ogłoszonej. Pozamykano księgi, wstrzymano wypłaty, stanął handel i świat cały, że tak rzecz można, na chwilę się zatrzymał; każdy czekał rozwiązania się tego problemu. Trzebaż, abym ja, pracujący nad narodowymi wspomnieniami, żebym ja, potrzebujący tak często zbliżyć się do ludu prostego, miasto przyniesienia im wesela i pociechy, stał się tutaj narzędziem przestraszenia i trwogi. Lecz zniknęło wszystko, gdyśmy się bliżej poznali; kobiety przestały już myśleć o śmierci, o zdradzie; wszystkie tylko szukały w pamięci pieśni ludowych, i takowe, jedna przed drugą, na dobre śpiewały. Lecz mężczyźni, te wyroczone siola, nie dowierzając, że był tylko człowiek jak oni, tylko podróżujący dla nauki, pozbierani kupami, ciągle czynili jakieś obrady; jaki był cel wypytywania się o piosnkach? czyli w tem nie ma jakiej zdrady? czyli ztąd nie wyniknie jaka bieda — było ciągłym przedmiotem narad strwożonej gromady. Zauważyłem, iż w skutek szeptów, w gromadzie, na dziedzińcu gospody, prowadzonych, jeden z włościan, śmielszego zapewna animuszu od innych, wziął był na siebie niebezpieczną misję zbliżenia się do mnie, kiedy, z zebraniem zapasem odwagi, którą na całej postaci jego widać było, przystąpiwszy wprost ku mnie —

— „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“ — zawoła.

Wziąwszy to chrześcijańskie pozdrowienie za znak ogólny przywitania tylko, którem u nas włościanie wszystkich witać zwykli, cały zajęty spisywaniem pieśni, *in secula seculorum* — jak to mam we zwyczaju, machinalnie, bez szczególniejszej atencji, włościaninowi odpowiedziałem. Widziałem, iż prosto ode mnie do gromady powrócił, gdzie znowu poszły narady. Ani mnie przez głowę przeszło, że tam się o mnie rzecz toczyła, iż w chęci bliższego przekonania się o mojem posłannictwie uradzono, aby ów wysłany z gromady włościanin, przez pobożne słowa wyrzeczone do mnie przychodził próbować, czym nie był bezbożnikiem, i z odpowiedzi mojej, jak się to potem wyjaśni, ogłoszono mnie po wiosce za podróżującego antychrysta.

Kiedy się to dzieje we włościańskiej gospodzie, sługa kościelny podaje mnie małą karteczkę, w której ks. proboszcz, przypomniawszy zapewna, iż na współczucie ogółu i na pomoc w pracy poszukiwania moje zasługują, donosi mnie, że przy sąsiedniej wiosce, Ulany nazywającej się, są pobożowiska szwedzkie. Otrzymawszy tę wiadomość, pytam u ludzi wioskowych o owem szwedzkim pobożowisku. Na to odezwane się moje młodzież wiejska okrążyła mnie, i wszyscy zaczęli opowiadać jakieś dziwy: że o wiorstę ztąd całe pole kośćmi jest zasłane, że po niem małe dzieci wioskowe chodząc znajdują pierścionki i kolczyki zielone i przynoszą takowe dochaty.

— W cóż się obróciły owe znajdowane pierścionki? gdzie się one podziały? zapytałem.

Ludzie mnie najobojętniej odpowiadają, iż je poniszczono, połamano, potracono; że na ten odgłos raz się był żyd spekulant pojawił, i gdy nic za te ozdoby, jako nie ze srebra robione, płacić nie chciał, mieszkańcy wioski na takie paskudztwo odtąd uwagi nie obracają, a tylko drobne dzieci zabawiają się wyszukiwaniem ich w piasku. Skarb to nieoszacowany dla archeologa, niespodzianka niczem nieoczniona dla podróżnika, co od kąta do kąta zazierając, przedmiotu dla swych badań szuka. Pojąć łatwo, co się i ze mną w tej chwili działo; czem prędzej zwołałem moich ludzi; zabrałem rydło i łopaty, i gdym był już gotów —

— Prowadźcie mnie na to pobojojisko! do ludzi wioskowych zwołałem.

Zebrana koło mnie gromada młodzieży wioskowej ruszyła ze mną przez ogrody na pole: kilkoro małych dzieciaków pobiegło za nami. Jużśmy się byli spodufalili z sobą; wszyscy razem gadali mnie rozmaite dziwy o owem pobojojisku. Między nimi najwięcej i najśmielej mówił jakiś Staluk, żołnierz tu będący na nieograniczonym urlopie — człowiek młody, zdrowy i śmiały. Wszędzie go widziałem, wszędzie jego pełno było; używany do narady włościańskiej — coś im tam radził; to między baby wciśnięty, z nimi szeptami rozwodził: pił wódkę, którą częstowałem kobiety w chacie; naostatek na czele młodzieży, co szła ze mną, on rej prowadził; a wszędzie z tym dwuznacznym uśmiechem, co się nie wiedzieć na którą stronę śmieje. U nas żołnierze od służby uwolnieni, dziwną jakąś stanowią klasę ludności. Dawniej, kiedy włościanin bywał oddawanym do wojska na lat 24, porzucając rodzinę, raz się już był oswoił z tą myślą, iż przeznaczony do służby za swoją gromadę życie swe całe poświęcić musiał monarsze i krajowi. Odtąd służba wojenna stawała się dla niego stanem i jedynym jego powołaniem, do ciężkich warunków której przez całe życie nawykły, nie wracał pod rodzinną strzechę inaczej, jak po skończeniu swego wojennego zawodu na spokojny kawał chleba i na danie odpoczynku siłom przez służbę starganym. Długoletnie uwyknienie do wojennej karności i zakończony ostatecznie zawód w życiu jego, czyniły go pożądanym gościem; wioska przyjmowała go z radością, jako poszanowania godnego weterana. W ostatnim systemacie częstego rekrutowania massa rąk ubywa w rolnictwie, massa też ludzi w postaci sztywnej i zuchwałej corocznie wraca na wioski, z którą nie wiedzieć co począć. — Żołnierz równo z zaciągnięciem się w służbę monarszą nabywa wolności osobistej; po kilku latach, wracając za urlopem do wioski, z której on rodem, całkiem obcy dla swej rodziny, zostającej w dziedzicznych prawach własności obywatela, nie przyłoży pracy dla polepszenia ogólnego ich dobra; bo różni już stanem, nie łączą się z sobą, ani współnictwo interesu ich nie łączy. Podobny przy-

bysz, próżniak najczęściej, płacze się beczynn timer po wiosce, rozsiewając w niej zarodki fałszywych wyobrażeń, zuchwałych pomysłów, rozszerzając złe i szkodliwe nałogi. Takim, zdaje się, był ów Staluk, co przewodniczył gromadzie młodzieży idącej ze mną, która mowy jego z ciekawością słuchała i intencje i słowa jego z wiarą powtarzała.

Wśród ciągłego gwaru mówiącej razem gromady, gdyśmy stanęli na polu, ukazało się przede mną to dziwne kościelisko; znalazłem przestrzeń piaszczystą, a na niej poukładane w różnym kierunku szkielety ludzkie pobiełałe od słońca. Wprawa, jakiej nabyłem, rozkopując przez lat kilkanaście kurhany, nie pozwoliła mnie wątpić na jedną chwilę, iż to były przedchrześcijańskie mogiły żyjących tu niegdyś ludzi. Przestrzeń cała tego kościeliska założoną była szczątkami ofiarniczych garnków, które wiatr roznosząc po tem polu i miotając niemi, porozbijał w drobne kawalki. Małe dziatki z wioski, co były pobiegły za mną, przeze mnie ogłaskane, podufale mnie się trzymając, służyły mnie za cyceronów i za przewodników w odszukiwaniu, grobowych sprzętów, w której to czynności wielkiej nabyły już wprawy; rozbiegłszy się one po polu, dłużyć zaczęły palczykami w piasku i po chwili z radością przybiegając do mnie, znosić zaczęły pierścionki i inne odłamki bronzu lub żelaza charakteru całkiem kurhanowego. Zastanawiałem się z najwyższym interesem nad, tem rzadkiem, jakiego w życiu mojem nie widziałem, kościeliskiem. Do włościan, przybyłych ze mną ze wsi Daniszewa przyłączyli się włościanie z wioski Uhlan. — Wszyscy oni nazywali to miejsce, jak wszędzie to się praktykuje, pobojuwiskiem szwedzkim. Opowiadali mnie, iż z nich wydobywali pierścienie różnej formy, zasznice, pierścienie duże, które wchodziły na drzewce od siekiery (bransolety to być musiały bez wątpienia), że podejmowali po tem polu niewielkie garnki całe, których to sprzętów nie znalazłem w wiosce, pomimo iż ściśle od domu do domu czynilem poszukiwania i przeznaczałem za nie pieniężne ofiary; jako sprzęty, żadnej dla nich nie mające wartości, zatraconemi lub poniszczonemi przez niedbalstwo zostały. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to były przedchrześcijańskie kurhany. Posypane przed wiekami nad piaszczystym brzegiem Wilij, w miejscu, gdzie wiatry igrając z piaskiem, co chwilę pozycę miejsca przemieniają, doliny przekształcają w góry, góry zaś rozwiewając, zasypują parowy, zanoszą nieraz wioskę do tego stopnia, iż nasypy, przez wiatr utworzone około domów włościańskich, według własnego opowiadania mieszkańców Uhlan, nieraz odkopywać wypada — kurhany rzezione temu bez wątpienia uległy losowi; wiatry gdy zniosły z czasem nasypy, wyrzały z nich szkielety, przed wiekami złożone. Dzieci wiejskie tak wielkiej nabyły wprawy w odszukiwaniu sprzętów, złożonych z nieboszczykami w mogile, iż prosto i od razu znachodzą rękę kościotrupa, obrewidowują jego palce i zdejmują z nich

pierścionki. Mogiły te oddawna przez dziatki wiejskie zwiedzane, nie miały już wiele w sobie sprzętów; w przeciągu wszakże godziny, jaką tam bawiłem, dobyto mnie z nich pięć rozmaitych pierścionków, małą jakąś blaszkę i trzy małe monetki; zjawisko rzadkie i niezwykajne w przedchrześcijańskich kurhanach! Monetki te były nadzwyczaj zgryszpaniałe; straciły były już całkiem odciski sztempla mennicznego; z resztek zaledwo znacznych, z trudnością dopatrzonych przez szkło powiększające, zdawało się, iż to były denary polskie, bite za panowania Aleksandra Jagiellończyka, te same, których opis i wizerunek Bandkie zamieścił w swojej numizmatyce na tabl. 4 pod nr. 67. — Tu koniec mojej nauki w archeologii! — tutaj gubiąc się w domniemaniach, nie umiałem zrazu pogodzić z sobą wszystkich cech przedchrześcijańskiego grobu z pieniążkami weń włożonemi tak znacznie późniejszej daty. Najprostszym, najloicniejszym wnioskiem, jakiby się dał ztąd wyprowadzić, i na jaki ja się zdobyć nareszcie potrafiłem, był ten — iż chrześcijaństwo w tej okolicy nieprędko wprowadzonym zostało; że za panowania Aleksandra Jagiellończyka i później nad



tym brzegiem Wilij pogańskie jeszcze osady istniały, co się rozplącały w domowym swoim życiu pieniążmi już kursującymi w Polsce i zachodniej Litwie, a które obrzędem pogańskim, wespół z droższymi sprzętami, z umarłym do mogiły jego składano. W kilku z tych kurhanów znalazłem kościotrupy, leżące na grubej desce dębowej, w której były żelazne ćwieki; po kierunku tych ćwieków domyślać się należy, iż niemi deski były zbijanemi z sobą. Garnki ofiarnicze, których szczątki tak obficie po ziemi są tutaj rozrzucone, robionemi były całkiem z innej gliny od tych, jakie w powiatach borysowskim i mińskim odkopywać mnie się zdarzyło. Choć gliniane, całkiem jednak innej substancji, innego koloru i innej twardości, niżli tamte; wielkość i forma ich, jak się ze szczątków widzieć daje — były też same. Mnóstwo kawałków, a mianowicie brzegów z rysunkami, które stanowią typ smaku w każdym wieku i w archeologii służą już dzisiaj jako ślady epoki istnienia mo-

gily — uzbierałem i zachowałem; jak niemniej zachowałem szczątek jakiejś glinianej tablicy, mającej na sobie cząstkę szczególnego odcisku.

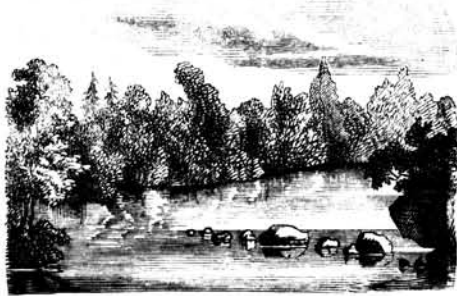
Kiedyśmy z naszej wycieczki do tego szczególnego, jak go nazywają, pobojowiska szwedzkiego, wśród ciągłej rozmowy z gromadą mnie towarzyszącą nazad wrócili: Marysia i Karolinka ukończyły już były dyktowanie pieśni ludowych; wszystko się zatem na statek napowrót przeniosło; oczekiwano tylko mojego powrotu z wycieczki; poszedłem więc prosto na statek w myśli płynięcia dalej. Cała wioska, na brzegu zebrana, moją łajbę okrążyła; w niej zaś młoda i przystojna kobieta, nie po wiejsku, lecz z waszecia ubrana, dyktowała jeszcze pieśni. Zaledwom się ukazał na brzegu, kobiety z gromady, te, co po piosnce w czasie ich dyktowania nareszcie dorzucić odważyły się, widząc, iż za takowe młode śpiewaczki wynagrodzenie dostały, głośno za nie dopominały się ode mnie nagrody. Chcąc im dowieść, że nie był tym strasznym geniuszem, co śmierć rozwozi, musiałem się z każdą z nich rozliczyć; widząc nareszcie, iż z niemi do końca trafić nie podobna, odbić kazałem statek od brzegu i popłynąłem dalej. Halaśliwa kobiet gromada, którym trunek w głowie kręcił, idąc za statkiem po brzegu, daleko nas przeprowadziła, nastroczając nam jeszcze nowe pieśni, co im na myśl przychodziły.

VIII.



odzina czwarta była po południu, kiedyśmy, odpływając z Daniszewa, żegnali się na zawsze z rzeką płaską, płynącą przez niziny; odtąd bowiem, jak tu nazywają wchodzi się w kamienie. — Wraz za Daniszewem na tymże prawym brzegu mija, się się wioskę Uhlany, przy której odwiedzałem wykopalisko przed chwilą opisane. — Wnet za wsią, ku prawemu brzegowi rzeki, leży w niej duży niebezpieczny kamień, wyglądający na pół łokcia najmniej ponad wodą. Kamień ten, pod nazwaniem Wierbiej, znajomym jest w żegludze po Wilij. Odtąd poszły już brzegi wysokie, ka-

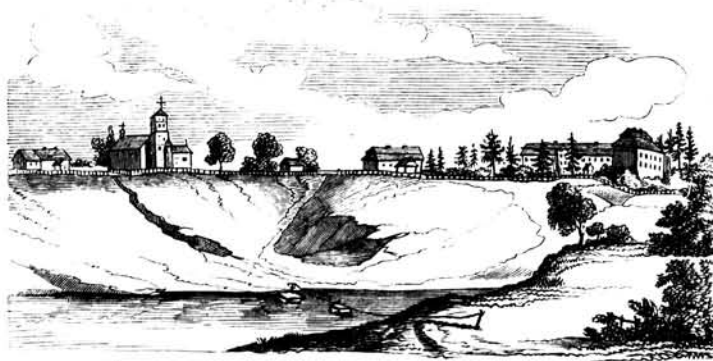
mieniami przepelnione i dno rzeki poszło kamieniste, jakby brukiem wyłożone. Wilija w nie wchodząca, o pół wiorsty zaledwo od owego kamienia, zwęża się znacznie, i zdaje się kończyć zupełnie, kiedy płynący po niej przed sobą brzeg tylko nasepiony kamieniami i porosły lasem, jakby zamykający rzekę — widzi. Ma ona tutaj tylko 19 sążni szerzyny; a kręto, prawie pod kątem prostym, w lewo się zawracając, tuż na prawo, pod podobnym kątem znowu się łamie, jak to widzimy na tablicy 1. w atlasie raf głównych, obmierzonych i zrysowanych w ciągu mojej podróży przez p. Szantyra. Drugie to załamanie całe zawałone jest dużymi kamieniami, których pasmo zaczynające się daleko na prawym brzegu, w rzekę więcej niżli do jej połowy wchodząc, w samym krętym zawrocie zostawuje ciasne wrota dla przejścia żeglującym po niej statkom. Jest to pierwsza niebezpieczna rafa na rzece Wilij, która się Prywitalną nazywa, a tak tam wesoło i tak śmiejąco się wśród ślicznych brzegów po kamieniach woda mruży i pędzi, że zapomniawszy na niej o niebezpieczeństwie, człowiek chciałby tylko igrać z szumiącą falą wody, która w samych wrotach zaledwo jeden arszyn i dwa wierszki ma głębini. — W samem przejściu przez tę rafę p. Januszewicz mnie ją zrysował w podróznym albumie, i oto widok tej rafy.



Trudne zakręcenie się przechodzącego statku wśród kamieni przez dwa załamania, prawie pod kątem prostym w ślad po sobie idące, stanowią całe niebezpieczeństwo tego przejścia i całą umiejętność sztuki żeglarskiej w wykierowaniu statkiem. Rafy na Wilij, w języku flisów, zaborami się nazywają; z tych rafy niebezpieczne, których jest dwanaście na rzece, flisowie — siabrowemi zaborami zowią. Nazwisko to pochodzi ztąd, iż w nie wchodzący z płytą sternicy, gdy własną siłą przeciw wielkiemu prądowi wody na kamienie, płyta nagle zawróci i wykierować sami nie mogą, z kilku płytów zbierają się w gromady, i każdy całą gromadą pojedynczo po kolei przeprowadzają. Takie zespolenie się ludzi dla pomagania sobie wzajemnie we wszelkich pracach, w języku ludu rusińskiego siabrowaniem się nazywa, od czego i siabrowemi nazwano te niebezpieczne rafy. Każdy sternik, po-

czynający swój zawód sterniczny, po raz pierwszy prowadzący barkę lub płyt, gdy w tę rafę wchodzi, rzuca do rzeki na ofiarę kęs chleba z solą, mówiąc: „witaju ciabie chlebam solju; chleb sol prymi i mianie prapuści.“ — Po takim przywitaniu, po złożeniu tej daniny, obyczajem ludowym uświęconej, w nią się bezpiecznie puszcza. Ten odwieczny zwyczaj witania miejsca niebezpiecznego na rzece, dał rafie nazwisko Prywitalnej. Gdyby podobną było rzeczą wyszukanie w pomroku odległej przeszłości pierwszych początków tego obyczaju ludowego, niezawodniebyśmy znaleźli, iż ono datuje z owych czasów litewskiej mytologii, kiedy wszystkie rzeczy, a szczególnie rzeki, miały swoje bóstwa opiekuńcze; a ów chleb i sól, rzucane do wody, były niezawodnie daniną, złożoną jakiemuś Potrymposowi lub Ondynie jakiejś, które, według wyobrażeń ludowych, na dnie wód swoje siedliska miały; z tej to myśli powyradzały się późniejsze postacie Rusałek lub Gudełek i t. p.

Wyszliśmy szczęśliwie, bez szkody, z tej dosyć niebezpiecznej rafy. Działulo, jako doświadczony sternik, dzielnie statkiem wywijając po ostrych zakrętach, wyprowadził nas z niej bez trudności. — Po wyjściu na płynącą znowu spokojnie rzekę, przybiliśmy do brzegu, przy którym zatrzymaliśmy się tyle tylko, ile czasu potrzeba było do zmierzenia i zrysowania tej rafy, podczas którego usadowiony na kamieniach zawalających rzekę, z rozkoszą raz jeszcze przyglądałem się temu pięknemu zakrętowi na Wilij, jako pierwszemu miejscu, całkiem oddzielną fizyognomię mającemu od brzegów przy rzece, cośmy dotąd przepłynęli. Odtąd Wilija płynie częściej pomiędzy stromemi i wysokimi bardzo brzegami, odzianymi kształtnie w leszczynę, dęby, kalinę i wierzbę; bądź nasepionemi pięknymi urwiskami i parowami żółciejącemi poważnie i zdaleka piaskiem i gliną. Są to brzegi malownicze; jeden piękniejszy od drugiego, jak gdyby się co chwilę we wdzięku o pierwszeństwo między sobą ubiegać chciały. W tej pięknej jej części bacznie omijać potrzeba duży kamień, będący w wodzie, Ziaziulką nazwany. — Za nim przepływa się mała rafa, Łastówką zwana, a za temi w ślad piękne i malownicze Żodziszki.



Tutaj zatrzymaliśmy się na nocleg. Długo i długo oka nabawić i nasycić nie mogłem widokiem tej pięknej okolicy; trzebaż, aby jak z umysłu, jakby dla dodania wdzięku naszej podróży, w chwili, kiedyśmy do brzegu przybijali, w murowanym kościele na stromym brzegu rzeki, tuż nad naszą głową, odbywała się solenna processya po cmentarzu; były to ostatnie nieszpory w oktawę Bożego Ciała. Pobiegliśmy czempredzej do kościoła, aby tam, u stóp ołtarza św. złożonym przez nas pacierzem podziękować Bogu za pomyślną dotąd podróż naszą, i prosić Go o łaskę Jego na dalszą drogę, bez której każde przedsięwzięcie człowieka staje się małym, drobnym i nieudolnym.

Żodziszki jest to niewielkie bardzo, lecz czyste i dobrze utrzymywane drewniane miasteczko na prawym brzegu Wilij położone. Przybywającemu z przeciwnej strony rzeki, z daleka zaleca się ono wspaniale niewielkim murowanym kościołem i obszernym trzypiętrowym długim murem, w pięknym francuzkim smaku, na samym brzegu pobudowanym, wyglądającym z pośrodku poważnych zielonych jodeł, które go od strony rzeki okrążają. Ów mur, jest to budowa mająca styl epoki panowania Sasów nad krajem naszym. Za dwóch albowiem Augustów gmachy, publiczne i prywatne, wznoszące się stolicach obu krajów, których kształty w niczem nie dotknięte do czasów naszych dotrwały, całkiem formy podobne noszą. Styl ten zwał się w Polsce stylem saskim, chociaż go w całej Europie smakiem francuzkim nazywano: nosi on wszakże na sobie piętno stylu klasztornego, na którym pomylić się niepodobna. W rzeczy samej, było to niegdyś kolegium XX. Jezuitów. — Wiadomem jest wszystkim, iż gdzie się ci synowie Lojoli usadowili, tam jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, powstawały wspaniale z muru kościoły, tworzyły się okazałe kollegia, wyrastały rozliczne budowy; młodzież ucząca się gromadziła się do szkoły; ludzie różnej kondycyi przy nich się kupili i poczynały się w tem miejscu ruch i nowe życie.

Uderzającą jest różnica w stylu i okazałości pomiędzy kolegium a kościołem w Żodziszkach; niezaprzeczenie, iż jedno z drugim nie kwadruje; — styl każdej z obu tych budowli, przedstawia całkiem smak innej epoki i dzieła różnych od siebie budowniczych. Każdy z patrzących na te dwa style na brzegu Wilij, jakby na dwa dzieła dla porównania różnicy smaku i sztuki obok siebie postawione osądzi łatwo, że każde z nich, jako przedstawiające w swych kształtach typy różnych od siebie pojęć i idei, musiało zawierać w sobie historję jakiejś walki moralnej, jakiejś wojny zawziętej dwóch sił całkiem nierównych sobie; bo kiedy ruiny klasztoru niejakąś moc, wielkość i potęgę oznaczają — mury kościoła chwilową, niepewną powodzenia ani swej przyszłości myśl wyrażają.

Poznajmy tę rzecz bliżej.

W 1523 r., jak pisze p. Baliński, Żodziszki nabytemi zostały od Podbipiętów przez Jana Zabrzezińskiego, którego Gliński zabił.*

Po Zabrzezińskim zapewne drogą sukcesyi, dobra te spadły na rodzinę Kisków. Za życia ostatniej Kiszczyniej, pani wyznania kalwińskiego, z potrzeby robienia sobie partyi w kraju, jak to opowiadają tutaj, a podobniej do prawdy, iż w pe-ryodzie szerzenia kalwinizmu na Litwie, gdy to było na on czas dążnością tak wybitną w całym kraju: — Kalwini przez nią protegowani, w Żodziszkach osiadać zaczęli.

Rozdawała Kiszczyna im ziemię, którą oni na własność używali i na niej się budowali; tą drogą, wsparta silną ręką możnej pani, — tutaj nad tym pięknym brzegiem Wilij — rozszerzać się poczęła potężnie idea kalwinizmu. Kolonia kalwinów, osiedlona w Żodziszkach — stawać się musiała coraz liczniejszą i na zawsze rokowała sobie tutaj siedlisko, kiedy zamyśliła o zmurowaniu zboru. W tej epoce powstał ów kościół, o którym mówimy, postawiony bez żadnego stylu znanego w sztuce budownictwa, którego mularz, jak pisze pan Chodźko, samą tylko trwałość domu Bożego mający na względzie, zmurował grube fundamentalne bez najmniejszej ozdoby czworoboczne ściany, — na nich z tyłu osadził i wznosił kwadratową basztę raczej niż wieżę, w strzelnicach pozawieszał dzwony, prostym jedno i drugie nakrył dachem.



Zasady nauki Kalwina, nie doznające dotąd żadnego oporu, w pośrodku licznie osiedlonych rodzin tego wyznania, w Żodziszkach rozwijały się swobodnie. Z owego domu Kisków pozostała tylko córka, jedyna dóbr tych dziedziczka, która poślubiona była Krzysztofowi Komarowi. Ten, gdy się stał po żonie dziedzicem, wielki, jak widać, zelant katolickiego wyznania, chcąc stworzyć reakcję przeciw szerzącej się tutaj sekcji kalwinów, natychmiast pobudował obok zboru drewniany

* Starożytna Polska Mich. Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego — posz. XXVI. str. 245.

kościół katolicki pod nazwaniem św. Trójcy, i w 1612 r. dnia 12. Grudnia ufundował tam plebanie i założył szkółkę dla uczniów katolickiego wyznania.*

Odtąd poczęła się walka religijna dwóch wyznań z sobą; ciągnęła się ona, jak widać, przez długie lata bez widzialnych tryumfów zwycięstwa na żadną stronę.

Kiedy różnowierstwo na Litwie, podtrzymywane powagą i siłą wielkich panów, jakimi byli Radziwiłłowie, Kiszkwie, Hlebowiczowie, Kmitowie, Dorohostajscy i t. d. szerzyć się zaczęło po kraju i nabierając siły, kościołowi katolickiemu urągać i jego powadze grozić zaczynało: Waleryan Protasewicz, biskup wileń. w celu pokonania mnożącego się różnowierstwa — zamyślał sprowadzić do Litwy Jezuitów. Na ten koniec porozumiał się on z kardynałem Comendonim i Patricim, generalnym sekretarzem Stolicy Apostolskiej w Król. Polskim; poczem zaraz z polecenia jenerała jezuickiego wyprawieni zostali do Litwy dla rozpoznania tam miejscowych okoliczności i urzędzenia kollegium w Wilnie: Franciszek Zanier Hiszpan w znaczeniu podprowincyała z Czechem Baltazarem Hostowijuszem teologiem, Andrzejem Bokaciuszem i dwoma jeszcze innymi Jezuitami.** Kiedy ci zakonnicy przybyli do Wilna, wielka ilość szkół dyssydenckich już się po Litwie była rozkrzewiła. Dysydenci mieli już gimnazjum w Wilnie przez Mikołaja Radziwiłła w 1640 r. na 60 uczniów założone, powstałe ze szkoły dyssydenckiej, pierwiastkowie fundowanej przez Abrahama Kulwę, pierwszego krzewiciela reformy w Litwie; mieli gimnazyja w Słucku, w Kiejdanach przez Radziwiłłów założone, które jeszcze w r. 1555 Radziwiłłowskiem się nazywało; szkoły w Nowogródku, Nieświeżu, Zasławiu, Paniowcach i przy innych ewangelickich kościołach mniejsze parafialne szkolki. Nie mała liczba drukarni tłocząc dyssydenckie pisma, upowszechniała po Litwie naukę Kalwina. W samym Wilnie kilka podobnych drukarni liczono; na tych czele stała około r. 1576 drukarnia Radziwiłłowska, później Jezuitom ustąpiona. Daniel z Łęczycy, Jan Kartzan, Jan Hlebowicz w Wilnie drukowali pisma dysydenckie przeciw Jezuitom i wierze katolickiej. W Brześciu Litewskim i w Nieświeżu podobnie były drukarnie radziwiłłowskie, w Łosku kosztem Jana Kiszki z Ciechanowca, krajczego w. x. lit. zapalonego arianina także utrzymywaną była; w Lubczu Piotr Blastus Kmita własnym kosztem drukarnię założył, z której między 1595 a 1655 r. wychodziły kalwińskie i aryańskie pisma; naostatek w Oszmianie, w dziedzictwie Moniwida Dorohostajskiego podobna drukarnia się znajdowała.

Kiedy tak się szerzyły szkoły i drukarnie dyssydenckie na Litwie; Rusini w niej osiedli o podobnychże dla siebie zamyślać poczęli; mieli oni już trzy szkoły,

* Starożytna Polska Michała Balińskiego i T. Lipińskiego poszyt XXVI. str. 245 [z wiadomości ułożonej w 1835 r. przez komisyję eduk. wileń., umieszczonej u prof. Jaroszewicza w przyp. 109. do t. III. Obrazy Lit. na str. 228.

** Obrazy Litwy prof. J. Jaroszewicza. Wilno 1845. T. III. str. 40.

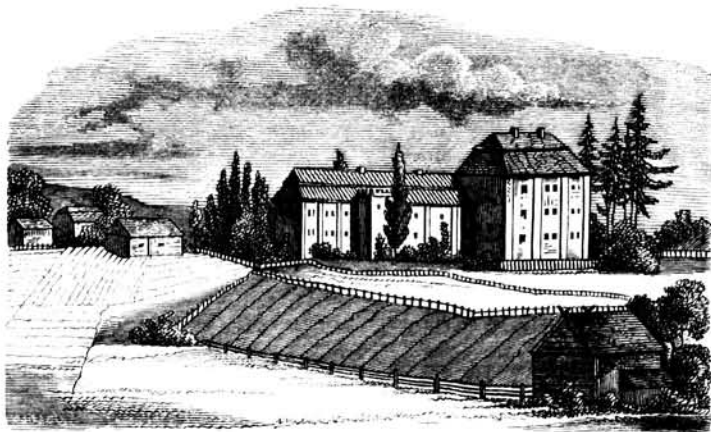
jedną w Kijowie, drugą w Pińsku, trzecią w Orszy. Na rozszerzenie takowych w 1590 roku wyrobili oni dla siebie u króla trzy przywileje: pierwszy z nich dawał im pozwolenie utworzenia bractwa i założenia szkoły dla uczenia greckiego i ruskiego języka; drugi dla Wilna na bractwo i utrzymanie szkoły przy cerkwi Ś. Trójcy; w którejby uczono języków greckiego, łacińskiego, polskiego i ruskiego; trzeci natomiast dla Brześcia na podobne bractwo i założenie szkoły przy cerkwi Ś. Mikołaja, gdzieby uczono po grecku, po łacinie i po rusku. Drukarnie Babicza i Mamonicza w Wilnie drukowały pierwsza w 1525 r. Skoryny Apostoła; druga zaś od r. 1575 do 1617 ogłosiła oprócz ksiąg cerkiewnych i Zyzaniego dawnych reguł słowiańskiego języka — trzeci Statut po rusku i pierwsze jego tłumaczenie polskie. Z drukarni w Jewju miała wyjść słowiańska grammatyka Meleciusza Smotryckiego; tamże i nowy testament 1611 r. był drukowany. W Zabłudowie Grzegorz Chodkiewicz założył drukarnię 1568 r. Wiele monasterów miało podobnie ruskie drukarnie: — jako: kutejski monaster pod Orszą, bazylikański w Supraślu, z którego wyszła po słowiańsku księga liturgiczna nazwana Minea Obszczaja i t. d.

Nowo utworzone kolegium Śto-Jańskie, chcąc oddziaływać tak silnemu wpływowi dyssydentów po kraju, postanowiło rozpocząć działania swoje przez objęcie kierunku naukowego na Litwie. W 1570 r. 8. Maja w dzień Ś. Stanisława otworzyli Jezuiti najpierwszą szkołę w Wilnie. Przez swoje bezustanne wpływy na umysł możnych panów znaczną liczbę stronników z pośrodku nich dla siebie zrobili. Król nawet Zygmunt August łaskawem okiem na to zgromadzenie i na jego wpływy patrzeć musiał, kiedy w ostatnie lata swego panowania dla nowo utworzonej szkoły darował wileńskiemu kolegium swoją własną bibliotekę, znajdującą się na zamku wileńskim. Za przykładem króla, kapituła wileńska na intencję biskupa Protasewicza w 1570 r. przeniosła do kolegium jezuickiego całą bibliotekę po suffraganie Albinie. Potem Łukasz Krasnodębski, który około 1598 r. był mistrzem filozofii, w Ingolsztadzie, zapisał dla kolegium duży zbiór książek włoskich i hiszpańskich. Naostatek podkanclerzy litewski Kazimierz Leon Sapieha testamentem uczynionym w r. 1655 przekazał Jezuitom bogatą swoją bibliotekę, znajdującą się w Różanej przez siebie i przez ojca swego uzbieraną. Na podobnych wielkich darach osnuta, wzrastała i coraz się wzbogacała biblioteka kolegium wileńskiego. Spółcześnie z jej rozrostem zwiększała się widzialnie i potęga zgromadzenia na Litwie. Już się wpływy Jezuitów potężnie objawiać poczęły bądź przez nawracanie znaczniejszych rodzin dyssydentkich na katolickie wyznanie bądź przez jednanie sobie wiary we wszystkich klassach narodu. Akademia krakowska blaskiem światła i powagi, jakich używała w kraju, ćmiła i paraliżowała dążności Jezuitów. Ażeby się oprzeć i tej instytucji, która im zawadzała, starali się oni o utworzenie akademii w Wilnie i lubo

się wielu możnych dygnitarzów nieprzyjaznych zasadom nauki jezuickiej, bojących się jej wpływów, sprzeciwiało temu ich przedsięwzięciu: potrafili jednak Jezuici dokazać swego; nie upłynęło lat osiem od daty otworzenia pierwszej szkoły w Wilnie, a już Stefan Batory, lubo w duszy Jezuitów nie lubiący, lecz szukając ich wpływu dla zjednania sobie Rzymu, przywilejem 1578 roku dnia 7. Lipca wydanym we Lwowie akademię w Wilnie nie tylko że utwierdził, lecz drugim w roku następnym 1579 Kwietnia 1. nastalym potwierdził fundusze przez biskupa Protasewicza na katedrę teologii nadane, akademię wileńską we wszystkich swych prerogatywach z krakowską porównał. Piotr Skarga Pawężki był pierwszym rektorem akademii wileńskiej. Jak dalece zakład ten wiarę publiczną pozyskać dla siebie umiał, przekonywa nas oczewiście to, iż w r. 1786 akademia wileńska liczyła w sobie już uczniów siedmiuset.

Nieograniczali się Jezuici na kierowaniu w nauce młodzieżą szlachecką. Pragnęli oni zawładać umysłami wszystkich stanów i w tym celu podciągnęli pod swoją władzę młodzież duchowną. Seminarium świeckie dyecezalne wileńskie oddane pod zarząd Jezuitów do 1652 r. 4. Listop. pod ich kierunkiem zostawało; w 1613 r. na prośbę biskupa żmudz. Paca i klerycy seminarium żmudzkiego pod zarząd Jezuitów przyjętemi zostali. Jakby im mało jeszcze tego, alumnat założony 1595 r. przez nuncjusza Malaspinę, dyecezyi wileńskiej wizytatora, z dochodów wakującego podówczas biskupstwa wileńskiego na 20 Litwinów sposobiących się do stanu duchownego, pod władzę swoją zagarnęli. Wszystkie zatem stany, uczące się w Litwie, gdy przechodzą pod Władzę Jezuitów, dwaj królowie: Stefan Batory i Zygmunt III., za nimi litewscy panowie: jak Radziwiłłowie, Chodkiewiczowie, Sapiehowie — a za temi możniejsza szlachta biegną z sobą na wyścigi w powiększeniu funduszków w majątkach i kapitałach dla nauczycieli swych dzieci. Wnet wznosić się zaczęły kolegia jezuickie w Kownie, Grodnie, Krozach, Smoleńsku, Połocku, Nieświeżu, Witebsku, Orszy, Brześciu, Pińsku, Mińsku, Mścislawiu, Dynaburgu, Mitawie, Iłukszcie, Szonbergu; znalazły się oprócz kolegiów dwa domy w Wilnie: professów i probationis, z których założono rezydencye w Nowogródku i dwie missye w Worniach i Borysowie. Każde z tych kolegiij wnet otwierało szkołę dla młodzieży, przy których szkoły dyssydenckie, prześladowane, w tym stanie rzeczy utrzymać się nie mogły. Szkoła kalwińska w Wilnie w 1581 r., a zatem w jedenaście lat niespełna od otworzenia się jej rywalki już upadła całkiem. Tłała ona jeszcze czas niejakiś, aż ją ostatecznie zamknięto za przyczynieniem się Jezuitów po wytoczeniu owej głośnej sprawy z powodu strzelania z łuku do kościoła Śto-Michalskiego. Nieświeżska i dalsze szkoły kalwińskie całkiem upadły. Jedno tylko gimnazjum słuckie potrafiło oprzeć się potędze Jezuitów i dotąd dotrwało. Stanowi ono dzisiaj jedyną wyższą szkołę kalwińską na Litwie.

Tymczasem Żodziszki, nie wiem już jaką drogą, dostały się na dziedzictwo niejakiego Minkiewicza, któren, zostawszy Jezuitą, Towarzystwu te dobra zapisał. OO. Jezuitci, objąwszy tę fortunę, nie długo mieszkali w drewnianym tam będącym domu; zaczęli zaraz murować ów wspaniały, o trzech piętrach, z pięknym rozmiarem i w delikatne łuki i piękne zarysy ozdób upiększony klasztor, w kształt potrójnego krzyża zbudowany, którego zaledwo część mała, lecz najpiękniej położona nad urwistym brzegiem Wilij, zamieszkała przez dzisiejszych dziedziców, w tej chwili dobrze jest utrzymana. — Dalsza część gmachu tego, bez dachu i okien stojąca, w dolnej tylko części pod zasłoną starych sklepień jest zamieszkałą; w obszernych podziemnych piwnicach i w celach, zajmowanych niegdyś przez pobożnych ojców, zachowały się mieszkania dla dwornej czeladzi i na gospodarskie składy; refektarze i inne sale obrócono na świrny dla zsypywania zboża. W wyższych piętrach zamieniony w zupełną ruinę, wszystkim smutnie się on zaleca. Wiatr, wyjący przez okna się bezkarnie przedziera; pająk tkaninę po pustych kątach swobodnie rozciągnął, a nietoperze, lęgający się w tej ruinie, co północ swoje igrzyska tam rozpoczynają. Zwaliska te przedstawiają nam żywy obraz upadłej wielkości i potęgi, jaką w swoim czasie miało to Zgromadzenie. Każda wielkość ziemską, każda tego świata doczesna potęga w upadku swoim podobną jest do siebie: i w niej przez rozpadliny wiatr się przedziera, i tu pająk, jakby przedstawiciel smutku swoją czarną nitkę snuje, a złość i zawiść, jak złowieszcze kruki nad martwo leżącym trupem, swoją piosnkę szatańskiego wesela radośnie śpiewają.



Kaplica wewnątrz klasztoru starczyła ojcom duchownym na ich codzienną modlitwę; w większe zaś święta i uroczystości nabożeństwo swoje odbywali w drewnianym parafialnym kościele. Szkołkę parafialną, założoną niegdyś przez Komara, podnieśli do rzędu szkoły o 7^{iu} klassach, do których nauczycieli przeznaczyli z po-

śród siebie. Nie wspinałem ani wygodnem nawet było pomieszczenie klass dla uczącej się młodzi, bo jeszcze OO. Jezuiti nie mieli byli czasu pomyśleć o nowej budowie na szkołę.

Gdy instrukcja publiczna stanowiła i stanowi w każdym kraju przedmiot największego interesu, bo interesu ukształcenia nowych pokoleń, co mają z kolei zastąpić uchodzące ze świata i dalej pożytecznie służyć swemu krajowi i całej ludzkości: nie byłoby może rzeczą obojętną rzucić okiem na tę budowlę, w której młodzieży wrażano pierwsze pojęcia o nauce, gdzie ją w wierze i pobożności ćwiczano, Dla dania czytelnikom moim jak najwierniejszego wyobrażenia o tym przybytku nauki w Żodziszkach, zamieszczam tutaj dosłowny wypis z autentycznego aktu lustracji Żodziszek, po wzięciu tych na skarb Rzpltej, za instrukcją i instrumentem J. O. ks. Jmci Michała Hieronima Radziwiłła, miecznika w .ks. lit. sejmowego i generalnej konfederacyi w. ks. lit. marszałka, przez Franciszka Pozniaka, sędziego ziemskiego powiatu oszmiańskiego, Marcina Supińskiego, łowczego powiatu oszmiańskiego, roku 1773 dnia 19. Nowembra zaczętej, a roku 1774 Februarii 26. zakończonej, udzielonej mnie przez dziedzica tego miejsca:

„Dom na szkoły drewniany, gontami kryty, od którego, idąc od miasteczka, ganek z balasami; w nim stolowanie tarczyczne, trzecia zaś część bez stolowania; z tego ganku do sionek drzwi podwójne na zawiasach i krukach żelaznych, z rączką żelazną, z drągiem dwoma antabami przybitym, mającym szworen na wskrós uszaka przechodzący, a z podwórka blaszkę do uszaka przybitą. Od tych drzwi w prawo sionkami idąc, izba na oratorium, do których drzwi na zawiasach i krukach żelaznych z klamką i dwoma probojami; okna deskami zabite trzy; fundament do stawiania piecy z kominem wyprowadzonym; stolowanie z tarczyc, podłoga z cegieł; przeszedłszy — druga Izba na infimę, w której drzwi takż na zawiasach i krukach żelaznych, z czterema probojami i blaszką; w niej okien szklanych dużych dwa, z dwoma szybami nadpsutemi. Ławek drewnianych sześć, katedra jedna, piec zielona z kominem wyprowadzonym, podłoga z cegieł, sufit z tarczyc; nazad idąc na drugiej stronie izba na Rhetorykę y Poezymę; w niej drzwi na zawiasach i krukach żelaznych z klamką, zaszczepeką i pięcią probojami; okien szklanych trzy z dwunastu szybami nadpsutemi; katedra jedna, ławek drewnianych pięć; piec zielona z kafel z kominem wyprowadzonym, podłoga ceglana, a sufit z tarczyc; od tej przeszedłszy, po tejże stronie izba druga na Syntaxymę i Grammatykę; do niej drzwi na zawiasach i krukach żelaznych z zaszczepeką i trzema probojami; okien szklanych dwa z ośmią szybami nadtluczonemi. Ławek drewnianych pięć. Piec z kafel zielonych z kominem wyprowadzonym; podłoga z cegieł, sufit tarczyczny; we środku tych sionek sala, do której drzwi podwójne na zawiasach i krukach że-

laznych z dwóma w uszakach krukami do zakładania drąga ze środka.“ W liczbie sprzętów szkolnych, inwentarzem zajętych, znajdujemy zapisane: „bretów parawanych na sztyftach żelaznych sztuk in numero dziesięć i żeśłów dużych dwa.“

O bibliotece szkolnej tak napisano w powyższym inwentarzu: „W bibliotece ksiąg różnych autorów podano i na weryfikacyi znaleziono sztuk in numero 582, które do wolnego używania profesorów zostawują się. Registr zaś tych wszystkich ksiąg cum specifica denotatione authorum sporządzony i podpisany, ad archivum jest przyłączony i lokowany.“

Po wymurowaniu collegium księża Jezuiti zamyślali o budowie kościoła; — obok collegium, ponad brzegiem Wilij, założone do tej budowy fundamenta, dotąd są jeszcze widzialnemi. Rozmiar wielki, w jakim miała stanąć ta świątynia, nie pozwolił Jezuitom z nią się śpieszyć; trzeba było czasu na zebranie siły i na zgromadzenie potrzebnego materiału, bo wszystkie kościoły jezuickie tem się jedynie odznaczały w kraju naszym, iż były wspaniałe, z wielkim przepychem budowanemi. Gdy Jezuitom w Żodziszkach nie stało jeszcze potrzebnych funduszków: do ich kasaty tego muru wyprowadzić oni nie zdołali; ślad przyszłego kościoła w samych fundamentach tylko pozostał.

Zbyteczną byłoby rzeczą mówić, iż gdy się księża Jezuiti tutaj usadowili wnet poszła zawzięta wojna z kalwinami, w Żodziszkach nasiedlonemi. Wojny tej duchownej skutki były zgubne dla różnowierców. Jezuiti ich tak mocno prześladowali, iż kalwini, nie mogący utrzymać się przeciw sile Towarzystwa, przymuszonymi się znaleźli w ucieczce szukać spokojnego od licznych prześladowań schronienia; niegdyś poosadzani przez Kiszczynę w Żodziszkach, powybywali swą własność, i z tego miejsca uchodzić musieli; zbor zaś ich murowany; porzucony — opustoszał.

Jezuiti, oczyściwszy się od różnowierców, opuszczonego od kalwinów zboru przerobić na swój kościół nie chcieli; zamyślali oni o murowaniu kościoła na założonych już fundamentach, czego dowodem były po nich pozostałe szopy napełnione ceglami, jako to czytałem w akcie lustracyi wyżej zacytowanym; i w tej właśnie chwili, kiedy się zabierali do tego dzieła, co Litwę jeszcze jednym pięknym pomnikiem architektury wzbogacić miało, owe straszne „non sint,“ — wyrzeczone przez Klemensa XIV., położyło koniec wszystkiemu. W 1773 r. bulla ze stolicy apostołskiej wydana ogłosiła światu upadek Jezuitów; w całym kraju skassowani, i z pięknych swych Żodziszek ustąpić musieli.

Nie obojętnym dla nas zapewne szczegółem we wzmiance historycznej o Żodziszkach, będzie wiadomość o osobach składających to collegium w chwili jego

kassaty; i tę wypisaną z owego autentycznego aktu lustracyi z 1773 r. czytelnikom moim tutaj załączam.

„Osoby in Collegio Żodziscensi communitatem, składające.

J. X. Chodźko przy dokończeniu lustracyi na starszeństwo ab officio zesłany.

J. X. X. Przeciszewski, przeszły rektor; Ciechanowicz i Brzozowski annosi et emeriti patres.

J. X. X. Juraha, prefekt szkół i kaznodzieja niedzielny; Liselich, kaznodzieja świąteczny; Lentz, misyonarz — doskonali i przykładni swej powinności kapłani.

Professorów trzech.

J. X. X. Gotoft — Rhetoryki y Poetyki; Janowski — Syntaxymy i Grammatyki Leys; Infimy — klerycy. Wszyscy doskonałością uczenia szkół i tradowania do nauk sposobów są dobrze zaleceni.

Nadto J. X. Gotoft ustawnem wydawaniem pożytecznych i estymowanych exhibicyj tudzież osobnych czasów tradowaniem jeometrii; a J. X. X. Janowski francuzkiego — Leys niemieckiego języka uczeniem dystyngwują się; J. X. Szwedowski — braciszek, zakrystyan i gospodarz kollegii.“

Po kassacie Jezuitów Żodziszki stały się własnością krajową, które to dobra Stanisław August darował generałowi artyleryi — Potockiemu; ten zaś je sprzedał Laskarysowi. Starożytny dom tych ostatnich zamieszkał w Żodziszkach; ów wspaśniały klasztor pojezuicki stał się rezydencyą Laskarysów. Powiadają, iż rodzina ta świetne bardzo prowadziła w Żodziszkach życie; że owe zewnątrz wspaniałe mury, o których wnętrza obijały się tylko głosy pacierza, powtarzane codziennie przez pobożnych i nauce oddanych ojców zgromadzenia: rozlegały się krzykiem wesołej zabawy, zbierających się tutaj bezprzestannie i suto podejmowanych gości. — Nie długo wszakże trwał stan takiej świetności dla Żodziszek. Po Laskarysach dobra te rozdrobniły się, wchodząc częściami w dziedzictwa kilku mniej zamożnych rodzin.

Kościół drewniany, pierwiastkowie przez Komara fundowany, gdy już całkiem postarzał i do upadku się nachylał; proboszcz przed 50 laty w Żodziszkach będący, niejaki X. Staniewicz, zamiast restaurowania drewnianego kościoła, mający obok plebanii spustoszone mury byłego zboru kalwińskiego, takowe własnym staraniem odnowił i na kościół katolicki obrócił. — Zbór ten od uchodzących przed prześladowaniem kalwinów opuszczony i długi czas pustką stojący, od pół wieku na świątynię znowu obrócony, dzisiaj jest kościołem parafialnym parafii żodziskiej.

Tyle tylko uzbierać potrafiłem wiadomości o Żodziszkach, najwięcej z ustnych podań; albowiem archiwa miejscowe, gdy zgorzały przed niedawnymi czasy, zaginęło źródło piśmiennych o tem miejscu wiadomości.

Dzisiaj Żodziszki należą do obywatela p. Konstantego Miłaczewskiego. Po skończonym niesporze poznałem się z dziedzicami tego pięknego miejsca, którzy przyszli na brzeg, aby obejrzeć mój statek podróżny. — Poznaliśmy się wzajemnie prędko, bo z tak grzecznymi i gościnnymi ludźmi, jakimi są dziedzice Żodziszek, łatwo i naturalnie znajomość się zabiera. Byliśmy zaproszeni natychmiast do domu; ofiarowano nam wszelką gościnność, z której wszakże skorzystać nie mogłem, mając dużo piśmiennego zatrudnienia, które codziennie ułatwiać nieodmiennie potrzeba było; a nigdzie się swobodniej te rzeczy nie ułatwiają jak tam, gdzie się czuje, że jest u siebie w domu. Mile wieczór przepędziłem w towarzystwie pp. Miłaczewskich: oprócz szczerzej i serdecznej gościnności, oprócz miłego i łatwego przyjęcia — ubawili mnie piękną muzyką, którą oboje ci państwo posiadają w wyższym już stopniu. Po mile spędzonym wieczorze pod poważnymi sklepieniami jezuickich murów, wśród grzecznej rodziny dziedziców pięknych Żodziszek, zaproszony na jutro na obiad, pożegnałem uprzejmie gospodarstwo o północy. Strudzony całodzienną pracą i podróżą, umęczony dnia minionego przygodami, do snu, co miał na nowo pokrzepić siły moje, ochoczo się zabrałem. Zaledwom usnął na dobre, ledwo się na dzień zabrało, kiedy mnie służba moja budzi, donosząc, iż posłany z listem jakimś pilnym potrzebuje mnie go wręczyć. — Posłaniec do mnie?? z kąd? od kogo? jak można było wiedzieć gdzie się znajduję, kiedy od kilku tygodni płynący po Wilij, nie dając nikomu znaku życia, zabiłem się był w dalekie i nieznajome moim strony? — może też jakie nieszczęście, odwołujące mnie napowrót? — były to zapytania, które w chwili przebudzenia się przez myśl moją lotem błyskawicy przebiegły. Wprowadzony jakiś nieznajomy człowiek do gumniska włościańskiego, w którym zakwaterowałem, podając mnie list przy niskim ukłonie.

— „To od księdza“ — rzecze.

Był to list pisany przez księdza proboszcza w Daniszewie. — Wypadałoby może, przez uszanowanie dla stanu, zamilczeć o nim, lecz gdy on rozwiązał kwestyę mojego pojawienia się w Daniszewie, zmuszonym się widzę wypisać tutaj słowa listu, odnoszące się do kategorii, która mnie imię bezbożnego w opinii tej wioski utwierdziła.

„W parafii daniszewskiej, pisze do mnie ks. proboszcz, jeszcze od czasów XX. Jezuitów, są tego przekonania, że gdy komu powiedzą — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — a słyszący nie odpowie, albo inną rozmowę rozpocznie, natenczas takiego człowieka mają za czarownika albo za bardzo złego człowieka. Jeżeli dzisiaj W. Pana wzięto za Antychrysta, to nie z innej jak z tej przyczyny,“ i dalej w postscriptum, przy końcu tego listu załączonym, piszący dodaje „że widać, ażeby nie zrazić naszych wyznawców pobożnych i wyszperać ich sekreta,

nie trzeba odpowiadać in secula seculorum, którego nie rozumieją, a biorą za przedrażnienie kościoła, ale takim językiem odpowiedzieć: na wieki wieków Amen; — a nie wezmą za Antychrysta.“

List otrzymany odkrył mnie tajemnicę wypadku, wynikłego z wczorajszych narad włościan w Daniszewie. Żem był poczytany za śmierć jadącą — to mnie powiedziały już były kobiety w Daniszewie; lecz żem został policzony za czarownika i Antychrysta, o tem się dowiedziałem zaledwo po raz pierwszy z owego listu, otrzymanego w Żodziszkach. — Do uwierzenia nie podobną zaprawdę rzeczą jest, aby w terażniejszym oświeconym wieku można jeszcze było spotkać się z myślą tak wsteczną; gdyby wśród wykształconego kraju, jakim jest Litwa, znalazł się był zakątek, w którym człowieka, co pracuje nad odkryciem ciekawych szczegółów ludowego u nas życia, wzięto za czarownika lub złego człowieka, a co śmieszniej jeszcze za Antychrysta. Nazwisko, podpisane na owym liście, zachowam przy sobie; ogłoszenie jego do rozwiązania wątpliwości powziętej o mnie w Daniszewie nie zgoła nie należy; z prawdziwą radością tylko powiem, iż jednego proboszcza w ciągu całej mojej podróży napotkałem, co się obojętnym okazał dla poszukiwań moich; reszta duchowieństwa, którą tak często odwiedzałem na brzegu Wilij, nauką, gorliwością dla swego powołania, współczuciem dla pracy mojej i gościnnością — wszędzie się odznaczała. Gdzie tylko wstąpił pod dach gościnny nadbrzeżnego probostwa, wszędzie zastał gotowość do pomocy naukowych przeze mnie żądanych, wszędzie znalazł serce otwarte, a w niem tę wrodzoną nam gościnność, co ostatnią szczyptę soli z wędrującym przybyszem radośnie podzieli.

IX.

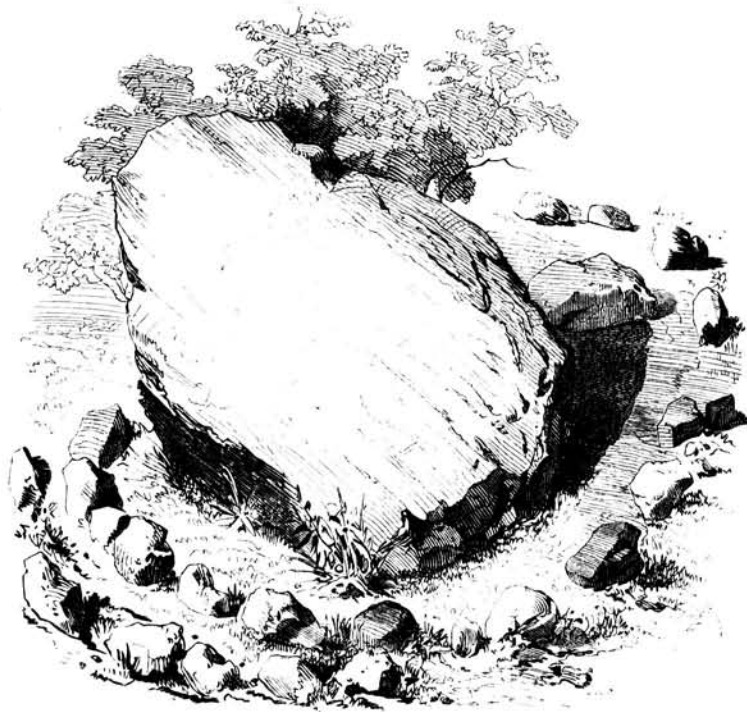
Nadszedł ranek, z nim zwyczajną koleją i praca dnia tego rozpoczęta została. Całe pół dnia spędziliśmy na odpisaniu zaległościów, na ułatwieniu korespondencji koniecznej. Po obiedzie u pp. Miłaczewskich puściliśmy się w dalszą drogę. Rodzina pp. Miłaczewskich, zawsze uprzejma, towarzyszyła mnie w naszej żegludze, przeprowadzając nas o mil parę do Tupalszczyzny, gdzie, zaproszony na herbatę, oglądać miałem dawny pogański litewski kamień ofiarniczy, na którym w staroży-

tności jakoby Znicz gorzał; niemniej tę sadzawkę i ten spad wody, u którego stał niegdyś młyn jezuicki, o których p. Ignacy Chodźko w swoich Brzegach Wilij tak pięknie i poetycznie pisze. Rodzina pp. Miłaczewskich, zaproszona przeze mnie na mój statek, przyjęła moje wezwanie, i około godziny trzeciej ruszyliśmy razem.

Wilija zawsze pośród malowniczych brzegów tutaj płynie. Na pół drogi pomiędzy Żodziszkami a Tupalszczyzną, znowu nowa zawada na rzece. Od lewego brzegu zawalona ona jest w większej połowie kamieniami; ciasne wrota przy prawym brzegu znajdujące się, są jedynem przejściem dla statków w tem miejscu. — Gwałtowny prąd wody szybko porwawszy statek, na którymśmy płynęli, przeniósł go przez owe niebezpieczne przejście na rzece; jest to druga rafa większa na Wilij — Rawiaką nazwana; zapewna z tej przyczyny, iż woda w tem miejscu rwie i pociąga żeglujące po rzece statki. Wilija w tem miejscu jest szeroką 19 sążni, głęboką w samych wrotach zaledwo wierszków 10, czyli cali litewskich 11, jak to widzieć się daje w atlasie na tablicy II. Przeszedłszy tę rafę, zatrzymaliśmy się na lewym brzegu rzeki w pięknym położeniu nie opodal wiejskiego domostwa, czysto, porządnie i bogato zabudowanego. — Podczas, gdy się p. Szantyr zajął pomiarem i zdjęciem na papier świeżo przebytej rafy, myśmy wstąpili pod dach owego domostwa. Mieszkał tutaj zamożny bardzo włościanin, leśnik p. Miłaczewskiego; zwano go Chwałko. Jest to człowiek bardzo stary, bo za 90 lat sobie liczący; zgarbiony, o kiju, trzęsący się, lecz rządnym i sprężystym jeszcze; — trzydzieści osób z rodziny znajduje się w jego domu, a przecie wszystkiemi zarządzić i wszystkich utrzymać w należytem porządku i przyzwoitej karności umie, co wcale nie jest rzeczą łatwą. Tu jest prawdziwy wizerunek bogatego włościanina litewskiego; obraz, do czego może dojść człowiek wieśniak, gdy pracuje, a Bóg mu błogosławi. U Chwałki, nad pięknym brzegiem Wilij, zabudowanie obszerne, porządne, czyste; chat mieszkalnych na pomieszczenie całej siemienistości jest kilka; — w jednej z nich, obszernej, światłej i czystej patryarcha tej wiejskiej rodziny sam jeden mieszkał. Za chatami mieszkalnymi idą świrny, za świrnami obory i gumna; — tuż za domem ogromna pszczelnia. Kilkoro koni, kilka soch wołów, trzydzieści sztuk bydła stanowiło dobytek tego gospodarstwa; a i grosza zapas być u niego musi. — Zajechaliśmy do Chwałki, jako do bardzo starego człowieka, w celu wypymania się go o dawnych dziejach tej miejscowości. Przyjął nas gospodarz gościnnie; poczęstował wódką, stół nakryty obrusem zastawił chlebem i miodem, i dopiero, gdyśmy za stołem na ławach zasiedli, począł nam stare dzieje opowiadać. Pamięć miał jeszcze czerstwą i dobrą; Jezuitów w Żodziszkach pamiętał doskonale, i z jego to opowiadania w znacznej części zebrałem szczegóły dotyczące się wiadomości o Żodziszkach. W ciągu rozmowy opowiadał nam o Szwedzie, o jego najściach na te strony i okopach,

znajdujących się na granicy jego ziemi. Dróżką, idącą przez łąny, porośnięte pięknym żytem, poprowadził on nas do nich. Były to dwa kurhany średniej wielkości zarosłe lasem; są ślady, iż jeden z nich probowano kiedyś kopać. Ja się do tej roboty nie brałem, bo słońce już układać się ku zachodowi zaczynało; a mieliśmy jeszcze przed sobą do przebycia Oszmianiec — rafę niebezpieczną, która się wieczorem nigdy nie przebywa; mieliśmy wizytę do oddania w Tupalszczyźnie i obejrzenie pogańskiego Znicza i kaskady, na której stały niegdyś owe jezuickie młyny. Stary Chwalko opowiadał mi, iż tych okopów szwedzkich dawniej było więcej; lecz że one pozniwały od sochy, którą uprawiając od wieków pole, wyorywano koście, a z nimi raz dobyto toporek żelazny. Z Prytulaki (tak się siedziba Chwałki nazywa) popłynęliśmy do Tupalszczyzny. Tam na nas czekała herbata z uprzejmością gospodarza nam ofiarowana; herbatęśmy prędko wypili, pożegnałem całe towarzystwo i popłynąłem dalej, bo mnie pilno było. Nie daleko od Tupalszczyzny, przy brzegu pochyłym, porośniętym pięknym sosnowym borem, zwał się Wilija na lewo zawracając, uroczy a razem niebezpieczny dla płynących po niej zakręt tworzy, statek się zatrzymał; myśmy z niego wysiedli i poszli do boru, aby obejrzyć ów kamień historyczny tam znajdujący się; poczem statek popłynął w rafę zowiącą się Oszmiańcem. W tym borze napotkaliśmy niespodzianie całe liczne towarzystwo dam i mężczyzn z Tupalszczyzny idące: jeszcze jeden dowód grzeczności nadbrzeżnych mieszkańców pięknej Wilij; całe bowiem zgromadzenie urządziło tę niespodziankę, w celu towarzyszenia mi w tej wycieczce. Szliśmy więc gromadnie i wesoło do owego kamienia.

Wśród tego poważnego sosnowego lasu, którym prawy brzeg Wilij był tutaj zarosły, na pochyłości góry, w okoleniu kamiennem, mającem do trzech łokci szerzyny, w kształcie podłużnego koła, leży bokiem kamień, mający wysokości pięć łokci i pół, obwodu łokci piętnaście, formy nieregularnego owalnego ostrokągu. Mchem starości, jakby siwizną, jest on wszędzie pokryty; na stronie północnej tego wielkiego kamienia okolenie jest zakończone podziemnym małym składzikiem, złożonym z dużego płaskiego kamienia, położonego na dwóch innych, rębem postawionych. Kamień ten przed trzema laty stał jeszcze, jak opowiadają miejscowi mieszkańcy tej strony, na własnej podstawie prostopadle do ziemi; lecz przeszły dziedzic tego miejsca, zamysłając z niego zrobić grobowy pomnik dla żony, zruszyć go rozkazał; wyrócono zatem kamień bokiem, lecz, gdy dla zbyt ciężaru dźwignąć go ani zmcować nie potrafiono, zaniechano tę myśl, a kamień wyrócony odtąd leży bokiem.



Kamień ten, będący na prawym brzegu rzeki Wilij, naprzeciw niebezpiecznej rafy Oszmiańca, w której od prawego brzegu w rzekę massa rozmaitej wielkości kamieni wchodząc, przejście przez tę rzekę utrudnia — ma swoje arcyciekawe podanie ludowe. — W pojęciu gminu, gdy w każdym mniej zwyczajnych zjawiskach, których sobie lud wytłómaczyć nie umie, szatan gra wszędzie rolę, bez którego mocy nic by się skutecznić nie dało: to naniesienie kamieni do rzeki lud szatańskiej sprawie przypisuje, i z najlepszą wiarą opowiada, iż gdy Jezuici zamyślali o budowie kościoła w Żodziszkach, gdy zabrakło im na miejscu kamieni na fundamenta: postanowili takowe z dalszych okolic sprowadzać. Szatan, któremu myśl budowania kościoła w Żodziszkach nie trafiała do smaku, bo szatan kościoła i krzyża jak wody święconej się lęka, nie mogąc przeszkodzić Jezuitom w tem przedsięwzięciu, bo dla ich świętości nie łatwo mu do nich przystąpić było, postanowił przez swoje szatańskie figle utrudnić im przynajmniej ten ich zamiar; w tym więc celu zebrał kolegów swoich i jednej nocy wszystkie owe kamienie, na które liczyli Jezuici, szatani przenieśli do wody i niemi rzekę założyli; niektóre nawet na drugi brzeg porzucali. Robota ta trwała przez noc całą; nadedniem, gdy szatan niósł gdzieś zdala od brzegu ów wielki kamień, aby nim rzekę ostatecznie zagrozić — dzień zaczęło; kur zapiał, a szatan go w tem miejscu upuścił. Podanie to ludowe pisarz Obrazów Litewskich dowcipnie w grę szatanów w metę zamienił; a u kamienia, o którym mówimy, szatana zczepił z braciszkiem jezuickim, tam modlącym się; zkąd przez świątobliwość tego brata odegnany, kamień ów na miejscu zostawił. Ciekawych tej powieści odsyłam do opisu p. Ignacego Chodźki Brzegów Wilij, w którym ich autor pięknie i dowcipnie to ludowe podanie w barwę powieści ubrał.

Uchylając tę powieść gminną, gdy z historycznego stanowiska, jako badacze starożytności, nań patrzeć zechcemy, powiemy, iż Znicz ów zasługuje w rzeczy samej na uwagę i godzien jest, aby mu się ciekawie przypatrzono. Nie jest to prosty kamień, rzucony losem na pole, kiedy go ręka ludzka tak starannie dobieranymi z sobą kamieniami okoliła, i w tem okoleniu urządziła schowek z plit kamiennych, z namysłem starannie złożony, z którego przed laty wygrzebano, jak mnie tutaj powiadano, dwa ofiarnicze młotki kamienne. Kryjówka ta dzisiaj mało już znaczna, gdy była wyraźnie składem narzędzi ofiarniczych; czemuż mógł być przy niej ów wielki kamień, jeżeli nie ołtarzem pogańskiej w Litwie wiary? Wiemy ze starożytnych dziejów kraju naszego, iż owe bogom poświęcone ołtarze stawianymi były wśród poważnych gajów, nad większych rzek brzegami. Kamień w mowie będący posiada cały ten charakter uroczysty, jakiego wymagała służba Boża w starożytnej Litwie. Ustawiony pośród poważnego boru, w rokosznem zaciszu, nie opodal od uroczego zakrętu pięknie płynącej rzeki, wątpić nie pozwala, iż był świątynią w sta-

rożytności; był tem miejscem uświęconem, do którego się pogańscy Litwini ze czcią i poszanowaniem zbliżali.

Ogień był najpierwszym i najdawniejszym mytem, który na Litwie, na Rusi Litewskiej i w całej Słowiańszczyźnie czczono. Słowianie pierwsi cześć oddawali Bogu przez palenie ognia; Litwa od Słowian ten religijny zwyczaj przejęła. Zkądby Słowianie ten myth przejęli; czyli go przyjęli z mytologii plemion istniejących dawniej przed sobą; czy sami naturalnym instynktem ogniovi cześć najwyższą pierwsi oddawać poczęli: zaciekanie się w podobnych poszukiwaniach byłoby rzeczą prózną; dosyć na tem, iż cześć ogniovi oddawana, stanowiła, jak to wiemy z historyi, myth w starożytności wszystkich niemal plemion, na kuli ziemskiej osiadłych. U Persów, oddających cześć Oromazowi, słońce i ogień były wyobrażeniem Wszchemocności Boga. Indyanie podobnież ogniovi się kłaniali. U Rzymian westalki podtrzymywały ogień święty. W Polsce znane dotąd sobótki, na Rusi zaś i na Litwie Kupało było wesolem świętem dorocznem, które się od pogaństwa w obyczajach ludowych przechowało; obchodzi się ono przez taniec i wesole śpiewy ludowe około różnieconego ogniska.* To współnictwo należnej czci dla ognia tak łatwo daje się tłómaczyć: Światło było najpierwszym przedmiotem, które niepojętym sposobem uderzyło umysł człowieka; — nie umiając on wytłómaczyć sobie przyczyn tych skutków i dobrodziejstw, jakie promienie światła zlewały na tę ziemię — ukląkł i uderzył czołem przed słońcem, przed księżycem i gwiazdami. Ogień — ten niepojęty przez pierwiastkowego człowieka żywioł, gdy mu to dobroczynne słońce i światło w ciemnościach zastąpił i ciepłem swem ogrzał, człowiek mu się z pokorą pokłonił i pielęgnował go starannie, jako myth, co mu przypominał dobroczynne, a niczem nie pojęte promienie ciepła i światła. — Może też pełgający płomyk ognia, co się tak dziwnie i subtelnie łącząc z powietrzem, w niem się rozrządza i niknie, pierwszym ludziom nastroczał symboliczną myśl o przestrzeni, o nieskończoności, jakby o drugiem, wiecznem, nieprzerywającym się nigdy życiu; a przez własność swą niszczącą przypominał im śmierć i zwykły upadek rzeczy doczesnych. — Tak musiał powstać na Litwie przyjęty od Słowiańszczyzny zwyczaj nieustającego ognia, podtrzymywanego przez kapłany, wybrane z ludu, którym Bogu cześć oddawano. Ogień ten zwano Zniczem,** „mianem czysto słowiańskiem, w Nowogrodzie Wielkim, w pół-

* Szczegółową i uczenie opracowaną wiadomość o Sobotkach dał nam p. Karol Rogawski w Rozprawie swojej: O mogiłach; do niej więc ciekawych odsyłam. (Biblioteka Warsz. za r. 1860 mies. Lipiec, zes. XLIII.).

** Pan Brzoza w swojej Pilokolni, ogłoszonej w zeszycie grudniowym Bibl. Warsz. za r. 1859, umieszczonej na str. 779, wręcz zaprzecza temu, iż się ogień gorejący na pogańskich oltarzach Litwy Zniczem nazywał, a opierając się na słowach kroniki Długosza „Vladislaus Rex ignem, qui perpetuus ab illis putabatur... et a Sacerdote eorum qui Zincz appellabatur, et qui Supplicationibus, ac de futuro rerum eventu Numen consulentibus falsa dabat... responsa custoditum“... dowodzi, iż kapłan strzegący ognia od nazwania litewskiego żnicz — wróżbiarz pochodzącego od wyrazu żinoc — wiedzieć: Zniczem się nazywał.

nocnej Rusi znanym, zniszczenie oznaczającym. Przymierze czci w tej stronie od wieków trwało, i Litwa nie wzdragała się na niszczący w swym ołtarzu całopalenia ogień słowiańskiego użyć miana. Przyjęcie tego miana Znicz musiało poprzedzić ochrczenie się Nowogrodu i Kijowa, a przetrwało wieki. Wygaszony nad Wiliją, jaśniał jeszcze czas jakiś na Żmudzi nad Niewiażą.“* I dalej w tejże książce na str. 111. autor jej wywód pierwiastkowy nazwiska Znicza tak prowadzi: „W Gnieźnie, Kołobrzegu, Wilnie i Nowogrodzie, pisze on, płonął niegasnący ogień Znicz na cześć Nij, otchłanią władającego. Radziłem się języka, a ten mi odsłonił niecenie i zniszczenie, z niczego niecenie (stworzenie) i to ninje miejsca i czasu próżnię, w której twórca tworzeniem się widomie objawia. A to odpowiada theozofskim coś, nic; istocie powszechnej, bezwarunkowej, co przez się i sama w sobie je i ma byt, a w ciemności zanikła, dopóki się nie objawiła jajem (motta) Nija nie jest jakim niższem podrzędnem bóstwem: bo jakżeby w stolicy Gnieźnie podrzędne istoty główną część stanowić miały; w Julinie Pomorskim płonął w kotle Znicz, a Julin była civitas summi dei. Ni, nic, z niczego stwarzające twór (stworzyciel) z nocy niecący światło, w nicestwie, ninie zawsze i wszędzie bydlący; a ten sam co je, jasz, jasson: co bie, boh, bóg, bies. Więcej jestestw w mowie znaleźć nie mogłem, tylko to jedno theozofskim wykładem objaśnione i wyrozumiane.“

Taka była pierwsza idea, na pozór abstrakcyjna, pierwiastkowych plemion, osiadłych na tej ziemi, o czci Bogu oddawanej. Lecz wszystkie ludy, jakkolwiek pierwiastkowe, dzikie i bez ogłady towarzyskiej: miały jednak w życiu swoim instynktowie sobie dane wielkie i uroczyste natchnienie o pojęciu, o wszechmocności bóstwa i o potrzebie oddawania mu czci należnej. Gdy się bliżej tej idei przypatrzyć zechcemy, kiedy z uwagą rozbierzemy to z niczego niecenie, tworzenie i tę próżnię czasu, w której twórca tworzeniem się widomie objawia, i to co przez się i samo w sobie je i ma byt, a w ciemności zanikło, to naostatek ni, nic, z niczego-stwarzające twór (stworzyciel), przyznać wypadnie, iż w niej się kryła myśl wielka, bez granic rzucona i prawdziwie czci Bożej ofiarowana — kiedy, gdy żadne rozumowanie ludzkie tam miejsca już nie znalazło, wiarą czystą jedynie tę myśl pojmować przyszło, a płomień był mytem, co wygadzał tej myśli. Dzień i noc w przyrodzeniu odnawiające się, dały w starożytności początek idei oddawania czci światłu i ciemności, w czym chciano upatrzeć myto zła i dobrego, cnót i występków. Czyliż ta myśl uczczenia światła i ciemności, rozwinięta w pogaństwie, nie spotkała się z pojęciem chrześcijańskim o potrzebie czystości sumienia, o aniele, stróżu duszy człowieka i o szatanie, co ją zgubić usiłuje, a ztąd o zbawieniu duszy i o jej wiecznem potępieniu?

* Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski — str. 68.

Nikt z ludzi myślących nie zaprzeczy temu, iż cześć bałwochwalcza u pogan być musiała systematem moralnym, kiedy ona swą siłą i przewagą kierowała masami i trzymała w porządku nietylko rodziny, plemiona, lecz i ludy całe.

Chrześcijaństwo szerzące się po Litwie, co krusząc i niszcząc bóstwa pogańskie, wieczny ogień zgasiło; a na miejscu tych krzyż zatknęło i naukę świętej wiary pośród pogańskiego ludu upowszechniło: w zasadach tej nowej nauki, co im nieśmiertelność duszy i wieczne po śmierci życie zapowiedziała, znajdować musiało, jak nową wiarą oświecony, niejakiś podobieństwo ze starą myślą, przywiązaną do wiecznie gorejącego przedtem pogańskiego ognia, kiedy po upadku Romnowy, gajów świętych, Krywe-Krywejtów, gdy nowi kapłani Chrystusowej wiary prawemu Bogu świątynie wznosić zaczęli, lud do nich uczęszczający w pojęciu nowo przez się poznanego Boga widział zawsze swego dawnego Znicza, kiedy wznoszących się chrześcijańskich kościołów na Litwie inaczej nazwać nie chciał, jak bażnicze. Nazwa ta pochodzi od słowa litewskiego bie-Znicze — bój się Znicza; bajme-Znicze — bojaźń Znicza; Ba-Znicze przez połączenie kościół oznacza; lecz w mowie litewskiej ba, może wyrażać wykrzyknik przestrzegający zbliżających się do Znicza, aby się lękali tego bóstwa i korzyli się przed niem.

Kamień ten, nad brzegiem Wilij w pięknym gaju leżący, któryśmy w tej chwili całym towarzystwem okrążali, a rysownik mnie towarzyszący w tej wycieczce wizerunek jego do albumu podróznego wykończył — stanowi jeden z najciekawszych zabytków archeologicznych w kraju naszym. Jest to niewątpliwie ostatni już dzisiaj ołtarz, jedyna jeszcze pamiątka, jaka nam pozostała po Litwie pogańskiej. Jeżeli od wieków kilku przestał on być świętością ofiarniczą: dzisiaj stał się niezawodnie drogim szczątkiem dla archeologii litewskiej, dla pamiątek krajowych, które jako świętość naukową zachować i starannie strzedz ją od zguby należy.

Podczas, gdyśmy nad leżącym ołtarzem pogańskim zebrani, o jego dawnym powołaniu rozmyślali, kształty jego podziwiali, i powierzchnię wymierzali — na Wilij czynność szła swoim porządkiem. Zaledwo statek rafę Oszmianiec przepłynął, przybił on do brzegu i poczęło się jej mierzenie i rysowanie. Wilija w tym niebezpiecznym dla żeglujących zakręcie, jest szeroką 24 sążnie, a zaledwo 12 wierszków głęboką. Przejazd przez nią jest trudnym z powodu, iż wśród wielkiego prądu wody, co pędzi na masę kamieni, szatańską jakoby mocą w rzece złożonych, trzeba statkiem zręcznie po ostrym zawrocie rzeki wykręcać, aby trafić we wrota pomiędzy kamienie.

Od dni kilku w ciągu mojej podróży słyszałem już o owej szarańczy leśnej, niszczącej drzewa szpilkowe, która idąc z Królestwa Polskiego od Kowna przez wileńską gubernię się szerzyła i w kierunku Wilij pod górę po tej rzece się posu-

wała. Wszyscy nadbrzeźni właściciele szpilkowych lasów byli w ciągłej trwodze, bo im klęska ta groziła utratą najbogatszej części ich majątków, jaką stanowią tutaj lasy. Ciągłe się na to nieszczęście skarżono i to był przedmiot ogólnej rozmowy, którego się codziennie wielokrotnie o moje uszy obijał. W gaju dopiero ukrywającym owego pogańskiego Znicza, po raz pierwszy spotkałem się z tym niszczącym lasy owadem. Trzeszczał gaj cały po nad głowami naszymi, jedzony przez owe robactwo; sypały się bez końca na ziemię drobne szczątki szpilek sosnowych, ciętych na kawałki przez ten owad, którego liczba tak była wielką i nieprzebraną, iż się w całym lesie na wszystkich gałęziach poplątane z sobą, jakby kłębki ruchome składały, a gryząc bezprzestannie szpilki, szmer ten straszny w powietrzu sprawiał. Wskroś odtąd po nad Wiliją ku jej ujściu szarańcza lasy sosnowe i jodłowe zjadała. — Ogolocone one z zieleniny, w największej części usychające, przedstawiały obraz zniszczenia, gdy wśród nich, jakby martwe trupy, stały jodłowe drzewa nagie. Tu rozróżnić trzeba dwa rodzaje szarańczy, odmiennej od siebie charakterem i własnościami: całkiem inna zjadała drzewa sosnowe, inna zaś współcześnie niszczyła jodłowe lasy. Owadów tych, poplątanych z sobą, jak się one znajdowały na gałązce sosnowej, kupę całą wzięliśmy pod bliższy rozbiór; za dotknięciem się palcem do gałęzi, cała ta poplątana kupa gąsienic w jednej chwili podniosła głowy, i cały jej kłębek otworzył się, jak się otwiera kielich od kwiatu. Robak wzięty pod rozbiór, przez lupę postrzegany, pokazał się robakiem, gąsienicą, na cał blisko długą, mającą grzbiet brunatno-zielonkowaty, po bokach wzdłuż dwa pasy czarne, brzuch zielonkowato-żółty, opatrzony kilką parami macek, mającą cztery nogi kolczaste z przodu i kleszcze przy głowie, w której błyszczy dwoje małych oczu, jak dwa czarne punkta. Szpilką ukłuty robak wydał z siebie posokę doskonale żółtą, lipką, natury żywicznej, co się w nim wyrabia przez pokarm szpilek smolnych, które ciągle objada, obejmując szpilkę łapkami, mackami się opierając na niej, podsuwa ją i gryzie szpilkę póty, aż ją zje do ostatka. Pomiot tych robaków jest twardy, podobnież ze smolnej substancji złożony. Był to owad znany w nauce entomologii pod nazwaniem *Tenthredo pini*. Gąsienice te, przeobrażające się w poczwarki, z których nareszcie wychodzi pełny owad w kształcie muchy, nie były tak straszne, jak się mieszkańcom nadbrzeżnym Wilij od razu zdawało; napadający wyłącznie na sosnowe lasy, nie zjada ich zupełnie, jak ów niszczyciel lasów jodłowych. *Tenthredo pini* zagraża tylko czasowem zmniejszaniem się przyrostu lasów, nie zaś całkowitem ich zniszczeniem, albowiem nigdy nie objada on wszystkich igiel na drzewie, zostawuje zawsze nietkniętymi najmłodsze, t. j. tegoroczne pędy, ogryzając tylko igły na przeszło i zaprzyszłorocznych. Sosna jest drzewem, co kontentuje się małą ilością igiel dla wciągania pokarmu z powietrza, i skoro igły na najmłodszych pędach

pozostaną, już drzewo uschnąć nie może. — Rozmnażanie się tego owadu nie trwa dłużej nad dwa lata. Straszniejszym bez porównania od poprzedniego jest *Phalena bombyx pini* — prządka mniszka, napadający wyłącznie na lasy jodłowe, którego pierwiastkowo rozmnożywszy się w Prusiech, przeszedłszy do Królestwa Polskiego, ztamtąd przez Kurlandyę do Litwy się dostał i współcześnie z pierwszym po nad brzegami już Wilij lasy jodłowe sprzątał; objada on igły jodłowe do szczytu, zaczynając od najmłodszego pędu, zaczem drzewa, nie mające przez co ciągnąć z powietrza pokarmu do życia, usychać muszą koniecznie. Cechy odróżniające go od poprzedzającego są następujące: gąsienica większa, szara, kosmata, poczwarki zawieszane na drzewie, otoczone są rodzajem jedwabnistego włókna, na wzór pajęczyny; pełny owad wychodzący z poczwarki jest motyl biały, kasztanowato poplamiony. Motyle składają w końcu lata w szczelinach kory jaja, wielkości główki od szpilki. Jaja te mają kolor brązowo oliwiany i położone na żar, eksplozyę sprawiają. Pe-ryod życia i mnożenia się tej ostatniej jest znacznie dłuższym od poprzedniej, gdyż ta, o której mówimy obecnie, przez pięć lat trwająca szarańcza, niczem nieobliczone poczyniła szkody w lasach tych krajów, przez które przechodziła. Nauka dotąd żadnych środków na wstrzymanie i zagubienie tej szarańczy nie znalazła; rodzi się ona nie wiedzieć z czego, mnoży się raptownie i całą siłą rusza w podróż, niszcząc po drodze będące lasy. Gdy jej siła już naturalnym porządkiem słabnąć zaczyna, ginie ona przez degenerację, a rozmaite pasożyty, jako *ichneumon* i inne nią się karmiący, niszczą do ostatka ten owad i tym końcem tylko owa leśna szarańcza ustaje. Pierwszy owad, któregośmy na sosnach widzieli, w 1857 roku zniknął sam przez się, gdy jego gąsienice pozasychały na drzewach.

Z tego gaju, niegdyś bogom poświęconego, a w tej chwili przez szarańczę jedzonego, bardzo niedaleko do owych byłych jezuickich młynów, które oglądać chciałem. Całe więc towarzystwo postanowiło mnie do nich jeszcze przeprowadzić. Z gaju po drodze niewielkiej szliśmy przez małą rozkosznie wychylającą się dolinę, mimo pięknie po nad brzegiem Wilij usadowionej wioseczki; od tej na prawo po krętej ścieżce wijącej się wśród lasu po nad malowniczymi parowami i rozdołami strasznymi; o sążni kilkanaście po nad powierzchnią rzeki znajduje się niewielka wklęsłość okolona górą, zarosłą lasem; w niej z pośrodku trzęsawicy, znajdującej się w dziwny sposób na tak wysokiej górze, wybijają obfite źródła krynicznej wody, które się w ślad w strumień zlewając, łączą się w jedno małe koryto i tak tworzą rzeczkę, co z góry kaskadą z szumem rozbijając się o korzenie odwiecznych drzew, którymi brzeg jest porosły, trącając się o kamienie, jakie na swej drodze napotyka, z góry ku Wilij leci. W tem miejscu uroczem, poruszane tym spadem wody, stały owe jezuickie młyny, które razem z ich wyjazdem, jakby ręką niewidomą trącone

(jak pisze p. Chodźko) na dół spadły, a które dzisiejszy dziedzic tego miejsca na nowo odbudować zamysła.



W tem to pięknem miejscu po raz ostatni pożegnałem przyjemne towarzystwo, które mnie towarzyszyło w tej wycieczce, i płynąłem dalej. Już zachód słońca był nad nami. Gdy chodziło mnie głównie o to, aby powrócić do porządku powziętego w pracach naszych, z którego grzeczność i uprzejmość mieszkańców tu-tejszych nas zwichnęła, zamieniając ją w wesołą zabawę; gościnnie ofiarowanego mnie odpoczynku w Tupalszczyźnie, pomimo, iż na chęci nam nie zbywało, przyjąć nie mogłem; odpłynąwszy od owego wodospadu o wiorstę, na pierwszym zakręcie od Wilij na jej brzegu zanocowałem.

Od pierwszej rafy, Prywitalną zwanej, poszły, jak mówiłem, wciąż brzegi wysokie natury piaszczystej; nigdzie odtąd żadnej łąki na siano, ani nawet miejsca na dobrą paszę bydła nie widać; i właściciele nadbrzeżni żywiołu byliby go nie utrzymali, gdyby nie przyrodzenie — ta nasza wspólna matka, co hojną ręką dostatkami szafuje i niespodziane przed człowiekiem zgromadza dary — nie była zaradziła temu niedostatkowi. Oto ztąd wciąż aż ku Kownu na dnie płytkim i kamienistym Wilij rośnie obficie w wodzie na półtora niemal łokcia długa, ścieląca się po dnie rzeki trawa, którą lud nadbrzeżny pospolicie mowrą nazywa. Jest to cienka, długa, włóknista łodyga, odziana gęsto drobnymi strzępiastymi listkami, zakończona białym niepozornym kwiatkiem, o pięciu, a czasem czterech listkach, ma-

jącym srodek żółty. Kwiatek ten przypomina nieco kwiat rumianku. Znaną ona jest w botanice pod nazwiskiem *Ranunculus aquatilis* (jaskier wodny). Roślina ta, jako nie mająca w sobie na pozór cząstek pożywnych, nie powinna być stanowić dobrej paszy; lecz przeciwnie się dzieje: bydłota nadbrzeżnych wsiów i dworów nią się jedynie karmią, z największą skwapliwością tę trawę pożerają. W nadbrzeżnych gospodarstwach krowy w porze letniej, gdy mowrą się pasą, najwięcej mleka dają.— Nam, płynącym po Wilij, nimeśmy nie przywykli do tego widoku, dziwnem i oryginalnem się wydawało widzieć całe stada krów pasące się w rzece jakby na łące i zanurzające głowy po szyję, aby wydobyć ze dna rzeki tę smaczną i posilną trawę. Karmienie bydła mowrą jest rzeczą znaną nie tylko na Wilij, lecz nią i we Francji karmią bydło. „*Ranunculus aquatilis*, pisze de Candolle, jest roślina, którą Francuzi w okolicach Strasburga z wody dobywają, suszą i nią bydło karmią.“ P. Baliński w statystyce Wilna,* wyliczając rzadsze rośliny z okolic Wilna, w liczbie 125 roślin tam wymienionych, nie wspomniał o mowrze, tej ciekawej i tak pożytecznej roślinie, której na dnie Wilij szukać trzeba. Prócz mowry, nie zwrócił uwagi szanowny nasz pisarz na inne jeszcze rośliny; zamieścił on w swym spisie tylko jedną *Salix phylicifolia*; kiedy pomiędzy przesłicznymi wierzbami, które tak często brzegi Wilij zdobią, naliczyłem cztery oddzielne gatunki, różniące się formą liści i składem drzewa od siebie. Róży polnej, znanej zwykle w ogrodach naszych pod nazwiskiem girlandowej (*Rosa canina*), napotyka się mnóstwo nad brzegami tej rzeki. Zbliżając się ku Kownu, dno Wilij w niektórych jej miejscach gęsto jest porośnięte baldaszkowym (*Butomus umbellatus*), którego gruba i twarda łodyga, gdy płynącej wodzie opór stawia, całe bukiety jej białawych kwiatów pokrywają powierzchnię rzeki. Krwiściąg zaś lekarski (*Sanguisorba officinalis*) często bardzo na łąkach nadbrzeżnych postrzegać się daje; i wiele jeszcze innych roślin, których tutaj nazwiska nie wypisuję, nie znajdujących się po nad naszymi mniejszymi rzekami, zauważałem na brzegach Wilij. Każdej z tych roślin exemplarz jeden wszedł do mego podróznego herbarza, i w nim dla nauki i dla pamiątki się zachował.

* Opisanie Statystyczne Miasta Wilna przez Mich. Balińskiego. Wilno 1853. str. 23—28.

X.

Śliczna rzeka nasza, która od smorgońskiego przewozu wkroczyła była na chwilę w środek powiatu świeściańskiego, dwoma małemi strumykami na tej przestrzeni zasilona, jakby zawstydzona z płochej chęci podobania się wewnętrznym powiatu mieszkańcom, dla której tam wkroczyła i odstąpiła od swego obowiązku wskazywania granicy przyległym powiatom, nagle się na zachód zwraca, i w tym pełnym wdzięku zakręcie za wioszczką Oszmiańcem, łącząc się z rzeczką Rudnianką, co płynąca między świeściańskim a oszmiańskim powiatami, z lewego brzegu do niej wpada, znowu granicę tychże dwóch powiatów stanowić zaczyna. Tutaj Wilija nie jest tak malowniczą, jak ta jej część, którąśmy, płynąc po niej przez dwa dni uwielbiali. Ma ona jednak zawsze brzegi wysokie i bogato kamieniami usłane, i pięknie porośłe; wdzięcznie się ona wśród nich wykręca: i to byłoby ładnem, gdybyśmy nie mieli porównać z czem lepszem; traci ona tutaj na wdzięku jedynie przez porównanie z całą tą częścią, którąśmy świeżo przepłynęli, a której prześliczne widoki tak rozmaite, tak bogate w malownicze barwy, świeżo zdobyły nasze uwielbienie. Płyniemy więc znowu pomiędzy dwoma powiatami; brzeg prawy stanowi granicę świeściańskiego — lewy zawsze oszmiańskiego granicę odznacza. Po ciepłym i pogodnym wczorajszym wieczorze, po spokojnej letniej nocy, nie można się było spodziewać dnia tak wietrznego, jakim jest dzisiejszy. Zarówno z naszym odplynięciem wszczął się wiatr przeciwny, wiejący nam od wschodu przez dzień cały tak dalece, iż przymuszeni byliśmy po razy kilka przybijać do brzegu, aby przeczekać falę, co nas z drogi zbijając, żeglugę utrudniała. W ciągu dzisiejszej podróży, która nie odznacza się wielkim interesem, napotkaliśmy po drodze, naprzeciw folwarku Dubok kamień na starorzeczu Orech nazwany; za nim przebyliśmy dwie rafy nic nie znaczące: jedna z nich Zybucha, druga Czeromcha się nazywa; wraz za nią dwa duże niebezpieczne kamienie, prawie obok siebie leżące, co z wody wyglądały: jeden Bohdanowicz, drugi Romanowicz przez flisów nazwany. Dalej, o milę blisko za temi kamieniami, rzeka dosyć duża Oszmianka z lewego brzegu do Wilij wpada. Przy tej rzece kończy się powiat oszmiański, a zaczyna się powiat wileński. W Markunach, wiosce p. Kotwicza, położonej przy ujściu rzeki Oszmianki, lecz już na lewym jej brzegu, pierwsze ślady mowy litewskiej napotkałem. Luboć

i po polsku kaźden z ludzi tutaj rozumie, wszakże litewska mowa, jako ojczysta, im więcej do smaku przypada; jest już ona mową domową, gdy nią lud cały między sobą rozmawia. Kiedy na prawym brzegu tej rzeki narzecze rusińskie ostatecznie ustało, jakby w jej wodach potonęło, a za nią lud litewskim językiem się odzywa, czysty wniosek ztąd wynika, iż Oszmianka stanowić musiała w starożytności tutaj granicę pomiędzy krywiczańską a litewską ziemią, rozdzielając Ruś Litewską od Litwy właściwej. Na prawym brzegu Wilij, w powiecie dzisiejszym święciańskim, dalej się ciągnęło krywiczańskie plemię; tam albowiem rusińskie narzecze kończy się ostatecznie zaledwo nad brzegami rzeki Żajmiany.

Od ujścia rzeki Oszmianki, przy którym zatrzymały nas nieco badania nad narzeczem dwóch narodowości bratnich, co złączone z sobą tyle wieków w jedności przetrwały, ciągle prześladowani wiatrem przeciwnym a zimnym, posuwaliśmy się powoli z męką naprzód. Już dobrze szarzało po zachodzie słońca, kiedy pośród wieczornego pomroku na lewym brzegu rzeki zabielały dwie nie wysokie, lecz kształtne bardzo w swoich rozmiarach wieżyce; przy nich foremny kościół z kopułką osadzoną na czystym, świeżo pomalowanym dachu — słowem: z wieczornego pomroku wystąpił przed nami wydatnie pięknej włoskiej architektury, niezbyt wielki murowany kościółek; za nim o dwóch piątrach murowana zabielała plebania; dalej za nią prosto i na lewo czerniały drewniane domy, które szeroki gościniec, idący z Wilna do Połocka, rozdelał między sobą. To jakieś miasteczko z kościołem! — Po nudno upłynionym dniu, którego żadnego szczegółu interes mającego Wam, czytelnicy moi, nie ofiarował, oprócz trzech kamieni i dwóch raf mało znaczących — zadrzało serce z radości na myśl samą, że się zbiór materyałów w mojej podróźnej tece dzisiaj powiększy. Kościoły i probostwa, jako świadki najwierniejsze przejść krajowych w ciągu kilku wieków; jako składy nietknięte pamiątek bądź pobożności, bądź historycznych wypadków w kraju; naostatek jako mające w archiwach swoich najbezpieczniejsze schowy dla zabytków piśmiennych: przedstawiają wszędzie najciekawsze pole dla badań i nauki; a cóż dopiero u nas, gdzie gdy wszystko się po kilkakroć przemieniło w kraju — kościoły jedne, zachowały dokładną tradycję przeszłości, a w ozdobach i sprzętach, nietkniętych od wieków, dawne formy sztuki i smaku krajowego przechowały.

Było to miasteczko Michaliszki.

Czem prędzej ze statku pobiegłem obejrzeć kościół, wstąpić do plebanii, poznać się z proboszczem, bo pod tym święconym dachem na Litwie zwykle pobożność, skromna prostota i szczerza gościnność przemieszkiwa. Tutaj się wcale na tej prawdzie nie zawiodłem. Mieszkanie proboszcza było na drugim piętrze w owej murowanej plebanii; sieni i szerokie schody tatarkiem posypane; służba plebanialna

czyściej niż zwykle przybrana — niejakaś uroczystość w tym dniu zdawała się zapowiadać. I w rzeczy samej: jakiś dobry anioł wyrzucił mnie na ten brzeg w wigilią Św. Antoniego, którą pojutrze, jako fest kościelny, w Michaliskach uroczystie obchodzić miano. Miałem więc dobrą zręczność przypatrzenia się Michaliskom w całej ich świetności. Chłopczyk mały otworzył mnie drzwi od pierwszego pokoju mieszkania proboszcza. Mężczyzna młody, wysokiej urody, w suknię duchowną odziany, z bratczykami stojącymi z uszanowaniem przed nim, czynił jakieś narady i wydawał rozkazy, dotyczące następnego święta; był to świeżo mianowany proboszcz, nowy jeszcze gospodarz w tej parafii, X. Strzelecki. Gdym mu powiedział kto jestem i czego szukam — przyjął mnie z największą uprzejmością i tą prostotą otwartego serca, które zdaje się mówić każdemu — bądź u mnie dobrym gościem; — wnet zabrał nas do plebanii i niedość, że nas nakarmił, napoił, żeśmy u niego wygodny odpoczynek znaleźli; lecz zatrzymał nas na swą uroczystość kościelną, chcąc, abym był świadkiem pobożnej wystawy, z jaką on dzień Św. Antoniego w Michaliskach obchodzić zamierza. W liczbie kilku księży, na ten fest zebranych, znajdował się, przybyły tu na celebę, dziekan ze Świra X. Skrobowski. Gospodarz plebanii zapoznał mnie ze wszystkimi swoimi gośćmi; tutaj poznałem młodego i energicznego X. proboszcza z Bystrzycy, u którego za dni parę gościć podobnie miałem. W ich świetle towarzystwie spędziliśmy na przyjemnej rozmowie cały wieczór.

Michaliszki, miasteczko na lewym brzegu dosyć niskim i piaszczystym Wilij położone, jest jednym z tych miasteczek, jakie się po Litwie zwykle napotykać zdarza; niczem ono od innych się nie różni: małe, drewniane, ubogie; całej summy w niem 62 domy, a w nich 351 mieszkańców; z tych, według ostatniej rewizyi, żydów głów 250, mieszkańców rzymsko-katolickiego wyznania 100, tatarzyn 1, drugie tyle możnaby położyć na kobiety. Rynek w niem kwadratowy, nieporządnie utrzymany, w środku którego są małe kramki. Jest w tem miasteczku urząd stanowego naczelnika policyi, niemniej stałe mieszkanie doktora i ów kościół z plebanią, w której gościemy od wczora. Dobra te należały przed laty, jak ustne podanie niesie, do rodziny niejakihs Michalskich, od której przeszły na dziedziczną własność Brzostowskich. Ci obszerne bardzo w tych stronach posiadając dobra, do lat ostatnich byli dziedzicami Michaliszek; naostatek za należnoście rządowe, przez lat 40 wytrzymane, za długi prywatnych osób pod konkurs oddane, na części rozszarpanemi zostały. Michaliszki, okupione przez obywatela Kotwicza, dzisiaj stanowią jego własność dziedziczną. Miasteczko to było niegdyś wioską, która się Wilea nazywała. W 1689 r., jak to widać z przywileju przechowującego się w tem miasteczku, Jan Władysław Brzostowski, referendarz W. Ks. Lit., Słobocki, Miadziolski, Orański,

Dawgowski, Bystrzycki etc. Starosta, za konsensem dwóch królów, podniósł ją do prawa miasteczka. Tym przywilejem, dającym prawo budowania się wszelkim wolnym ludziom na wyznaczonych placach, uwalnia on każdego nowoosiedlonego mieszkańca na lat 10 od wszelkich ciężarów; po 10. latach upłynionych naznacza opłaty tak od gruntu, jako i kapszczyznę z piwa, miodu, opłatę od rzezi, od zboża i t. d. Urządza sądy między mieszczanami i, stosownie do konsensu królów, nadaje miasteczku Michaliskom niedzielne targi i cztery jarmarki do roku. Takowy przywilej referendarza Brzostowskiego, służący miasteczku Michaliskom w 1815 r. do akt ziemskich powiatu wileńskiego przez Romualda Jasińskiego podany, syn jego Józef Brzostowski w 1714 r. potwierdził; następnie syn Józefa, a wnuk pierwszego założyciela miasteczka, Stanisław, pisarzewicz W. Ks. Lit., starosta bystrzycki, po raz drugi takowy utwierdził. Kilkakrotne pożary, któremi Michaliszki w różnych datach dotykanemi były, niszcząc je, doprowadziły do tego stanu ubóstwa, w jakim dzisiaj zostają; między innymi budowlami, jak miejscowe podanie głosi, zgorzał w nich i ratusz, który był miejscem sądenia się mieszczan między sobą, zgorzały kramy małe, co handel tego miasteczka ożywiały.

O miasteczku Michaliskach jużbyśmy skończyli na tem; nicby się o niem więcej do powiedzenia interesującego nie znalazło, gdyby w niem nie było tego pięknego kościoła, posiadającego trochę historycznych wspomnień. Zamożna na Litwie rodzina Brzostowskich odznaczała się zawsze pobożnością i smakiem; owoż kościół w Michaliskach, o którym mówić mamy, jest tego oczewistym dowodem. Jan Brzostowski, referendarz W. Ks. Lit., fundował tutaj pierwszy Augustyanów de paenitentia; następnie Lukasz i Cypryan Brzostowscy w 1622 r., jak się to widzieć daje z wizyt kościoła, na miejscu małego drewnianego kościółka, którego miejsce istnienia dzisiaj krzyż drewniany oznacza, wymurowali wspaniałą i piękną w rozmiarach świątynię. Dwaj Florentczycy rodem, architekt Pens i sculptor Pertti użyci byli do tego dzieła. Pierwszy wyprowadził w pięknych rozmiarach mury kościoła długiego sążni 15 i szerokiego sążni 9 o dwóch niezbyt wysokich, lecz kształtnych bardzo wieżach z okrągłym babińcem przed nimi.

Drugi bogatą sztukaterią i mnóstwem figur, w miarę i na właściwym miejscu użytych a zręcznie z sobą poukładanych, na podobieństwo kościoła Św. Piotra w Wilnie, wewnątrz kościół zappełnił. — W nim, oprócz dużego ołtarza, w którym umieszczony obraz stary Matki Boskiej Bolesnej, słynący łaskami, jest sześć ołtarzy pobocznych, różnych Świętych. Przy lewym boku od wejścia pod chórem jest kaplica Św. Józefa, zbudowana przez Józefa, syna Jana Władysława Brzostowskiego, a pod nią sklep niewielki z katakombami na groby rodziny Brzostowskich. W owej kaplicy znajdują się relikwie wielu świętych w trumience kształtnie zrobionej i bla-



chą posrebrzaną obitej, umieszczone na oltarzu. Pod nią nieduży obrazek Św. Katarzyny, bogato w srebro i kamienie oprawny ze słowiańskim napisem. Ma to być, jak miejscowe podanie niesie, obrazek z wojen moskiewskich, przez Brzostowskich przywieziony. Zakrystya nie posiada starych i bogatych sprzętów, ani sam kościół ich niema. — Niegdyś słynął ten kościół bogactwem sreber, lecz te, z powodu procederu zaprowadzonego z biskupem Kossakowskim przez XX. Kanoników Regularnych, gdy u Brzostowskich zlokowanemi zostały, o jakowe był się wywiązał długo trwający, jak to zaraz zobaczymy, proces pomiędzy zakonnikami a domem Brzostowskich, kościółowi powróconemi nie były. Resztę sreber i droższych sprzętów, jakie jeszcze kościół michaliski posiadał: w 1812 roku, w czasie odwrotu Francuzów z Moskwy zrabowany, ostatecznie postradał. Trumienkę nawet z relikwiami wyniósł nieprzyjaciel z kościoła, i gdy po oddarciu jednej z niej blachy przekonał się, iż okucie nie było srebrnem, rzucił ten święty depozyt, który potem znaleziono w lesie i powrócono do kościoła.

Kanonicy de paenitentia, w Michaliskach przez Brzostowskiego osadzeni, pięknym funduszem zrazu opatrzonemi byli; bo nie dosyć, iż fundator ich pierwszy folwark Miłaszuny czyli Łabudzie im zapisał, jakowy to zapis konstytucya 1653 r. potwierdziła; jeszcze Cypryan Brzostowski z małżonką swoją Rachelą Rajecką, mając nadane sobie od króla Jana Kazimierza lenne dobra Bujwidze, w 1653 r. dziedzictwa takowych zrzekli się, oddając je na fundusz XX. Kanoników Regularnych Michaliskich. Zrzeczenie to małżonków Brzostowskich na korzyść zakonników, król Michał Wiszniowiecki w 1673 r. przywilejem swym potwierdził; to znowu z zapisu księcia Marcina Gedrojcia, wojewody mścisławskiego, dostali Kanonicy Regularni majątek Widziniszki, gdzie z woli fundatora pobudowano kościół, klasztor dla XX. ka-

noników i infułacyę tam wybudowano. Bujwidze miały też kościółek filialny drewniany, przy którym dwóch zakonników ciągle mieszkało.

Kiedy tak się dzieje, kiedy zakonnicy nieprzewidujący klęski, jaka ich napotkać miała, pożywają spory kęs chleba przez dobrodziejów im hojnie nadany, biskup inflantski Józef Kossakowski odbiera siłą fundusz przez Marcina księcia Giedrojcia Kanonikom Regularnym zapisany.* W tejsze porze Michał hr. Brzostowski współ z krewnym swoim Michałem Radziszewskim zamyślać poczęli o odebraniu księżom Kanonikom majątków im przez przodków swych nadanych, tak z dóbr ziemskich Miłaszuny, jak i z lennych, Bujwidze zwanych. Zakonnicy michaliscy przełęcznieni nieprzyjacielskimi krokami, otwarciem przez biskupa inflantskiego rozpoczętemi, a nieznający jeszcze tajonych zamiarów Brzostowskiego, z całą ufnością złożyli mu w depozyt bogate kościelne srebra i sumę klasztorną, znajdującą się w gotowiznie, na co Brzostowski zakonników zarewersował. — Brzostowski i Radziszewski wspólnie z biskupem inflantskim, podstępnie przeciw zakonnikom w Rzymie działać musieli, kiedy obaj pod jedną i tąż samą datą, t. j. 1782 r. Septembra 6. dnia uzyskali od Stolicy Apostolskiej bulle: Biskup Kossakowski na zwrót sobie majątku Widziniszek — dwaj drudzy na odjęcie zakonnikom Miłaszun i Bujwidz. W skutek bull papieżkich, sub dole uzyskanych, obaj zajęli rzeczzone dobra.

Biskup, mający przy tem władzę duchowną w swoich rękach, w 1783 r. całą ruchomość i sprzęt tak kościelny, jako też i klasztorny zabrał, wolę fundatora zniszczył, osoby zakonne wypędził i bez sposobu do życia zostawił; plebaniję zaś i probostwo świeckie na miejscu XX. Kanoników ustanowił. Na jakową to krzywdę wyrażoną zakonowi przez biskupa inflantskiego, owoczesny infułat widziniski ks. Kazimierz Widmont, manifest zapisał. Wszczął się proces zawzięty. Kanonicy Regularni widząc się wyzutymi z funduszów, w 1784 r. zapozwali przed sąd ziemski trocki tak biskupa Kossakowskiego, jako Brzostowskiego i Radziszewskiego o niesłuszny zabor majątków; Brzostowskiego zaś raz jeszcze zapozwali o złożone u niego srebra i summy kościelne. Lubo sąd ziemski trocki bullę papieżką, z tytułu, iż ona nadań królewskich unieważniać nie może, dekretem swoim podniósł i jej skutki uchy-

* Ks. Przyjałgowski piszący Żywoty Biskupów Wileńskich, o zajęciu dóbr michaliszskich tak mówi: „Ksiądz Kossakowski zostawszy bisk. inflantskim, wyjednał z Rzymu pozwolenie, pod pozorem, że szczuple ma dochody, zając dwa klasztory XX. Augustyanów białych „Widziniszki“ i „Michaliszki“ z 700 chat do nich należącemi w dyec. wileńskiej, ale mimo wiedzy Massalskiego. Gdy zakonnicy żadną miarą ustąpić nie chcieli, Kossakowski zebrawszy chłopów z Powola i Żejm, oraz ochotników ze szlachty, uderzył na klasztor widziniszski, tak, że harmata i bomba były w robocie i wypędził mnichów. Wówczas Massalski, jak powiadają akta, w obec całej kapituły, swojemi ustami pełnemi wdzięcznej wymowy i z sercem pełnem pasterskich uczuć, wyraził całe oburzenie na niego, oświadczając, iż bronić będzie tego zakonu od napaści takiej, a pisma z Rzymu otrzymane uważać za fałszywe lub podstępem wyrobione. (Ob. „Żywoty Biskupów Wil.“ T. 3. str. 200—201.

lił; lubo o nieprawny zabor majątków Brzostowskiego i Radziszewskiego obwinił — dobra te zakonnikom wróconemi nie zostały. Pieniano się czas długi o owe dobra i jeszcze w 1806 r. prokurator generalny zakonu ks. Teofil de Block wchodził z nowemi prośbami na Michała Brzostowskiego i Michała Radziszewskiego o majątki przez nich zabrane; z Michałem zaś Brzostowskim raz jeszcze się prawował o zwrot jurydyki i summ niesłusznie przez niego przywłaszczonych. Obie te prośby księdza prokuratora generalnego drukiem ogłoszonymi w tamtej dacie były. Wszystkie zakonników usiłowania i zabiegi okazały się bezskutecznemi; albowiem ostatecznie majątek Miłaszuny pozostał przy Brzostowskich: Bujwidze zaś dostał Radziszewski. Proces o srebro kościelne i o summę zakonną podobnie przegrali; bo gdy przez zdradę jednego z zakonników, na jaką się skarży prokurator generalny w swoim objaśnieniu, rewers Michała Brzostowskiego wykradzionym z archiwum klasztornego i powróconym mu został, zakończył się on na stronę zakonników stratą depozytu.

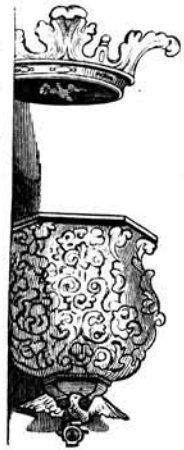
W pierwszej kassacie klasztorów na Litwie w 1832 roku z rozporządzenia rządu nastalej, w liczbie skassowanych dwunastu klasztorów XX. Kanoników Regularnych znalazł się i klasztor michaliski. Zakonnicy więc ustąpili miejsca duchowieństwu świeckiemu, przez które parafija michaliska administrowaną być poczęła. Kościół Michaliski, w tych przejściach nie mający stałego opiekuna, coby czuwał nad jego poprawkami, niszczał znacznie. Czas, co tak szybko upływa, zostawił po sobie ślady lat ubiegłych, kiedy rok kaźden, wytrącając nieznacznie po jednej cegielce z muru, lub robiąc niewidzialnie po szczyrbie w dachu, budowę tę doprowadził nawewnątrz i nazewnątrz do stanu niemałego zniszczenia. Kościół michaliski potrzebował koniecznej restauracyi; i owoż poprzednik dzisiejszego proboszcza, człowiek gorliwy, jak widać, lecz nie umiejący w tem sobie poradzić, przed pięć laty zajął się szczerze obnową kościoła; nazewnątrz starannie go otynkował, oczyścił, pokrył nowym dachem i wieże pokrył, wszystko pomalował czerwoną farbą — słowem kościół pięknie odrestaurował i odświeżył; obnowę zaś wnętrza powierzył gustowi i talentowi swego organisty, co się z największą wiarą w znajomość sztuki, podjął tej restauracyi; owoż ów organista, którego nazwiska żem nie zanotował, mocno teraz żałuję, mając przed sobą całe ściany, gipsową sztukateryą w najpiękniejszym rodzaju wykonane, brudne; a przez czas i niedbalstwo posługi kościelnej w wielu miejscach pokruszone, odbite lub przez wilgoć wpadającą do kościoła przez stare dziury w dachu odpadłe, nieznający sztuki gipsaturnicznej, wpadł był na myśl szczęśliwą — jak mu się zapewne zdało — zakrycia farbą wypukłości gipsowych; i tak brudnym błękitnym kolorem nierównej barwy — pociągnął ściany; na nich będące arabeski — zielono pomalował; owoce żółtą farbą pociągnął — ptaki pstro jakoś pobazgrał; aniołki zaś, których tam mnóstwo w rozlicznych, a pełnych pięknego

układu postaciach pomieszczono — cielistą farbą pokrył; włosy, brwi i zrenice czarną pomalował, białka zaś od oczu pracowicie pobielił. Tą koleją ze ścian pięknego przed tem kościoła stworzyła się jakaś mieszanina kolorów, jakaś pstrokata mozaika w najgorszym rodzaju, która przychodnia każdego w sposób rażący uderzając, nie pozwala mu domyśleć się od razu, co by mogło być powodem do tego zmieszania się najpiękniejszego utworu sztuki rzeźbiarza Włocha z niewyczajną peckaniną michaliskiego organisty.

Podczas tej obnowy kościoła, złodzieje wkradłszy się do grobowej kaplicy Brzostowskich, powydzielali z niej pomniki, które były rznięte na tablicach z angielskiej cyny; jeden tylko z nich pozostał nie wydarty Anny z Mieleszków Brzostowskiej. Świętokradzka ręka nieprzyjaciół cudzoziemskich, a następnie złych ludzi — mieszkańców tego miejsca — odarła kościół zarówno z bogactw jego, jak i z pamiątek familijnych domu Brzostowskich, będących własnością historii krajowej. Pozostał tylko jeden pomnik grobowy, umieszczony w samym kościele po lewej ręce od wejścia — po Michale Brzostowskim, podskarbin W. Ks. Lit., którym sobie dla pamiątki przerysować polecił.



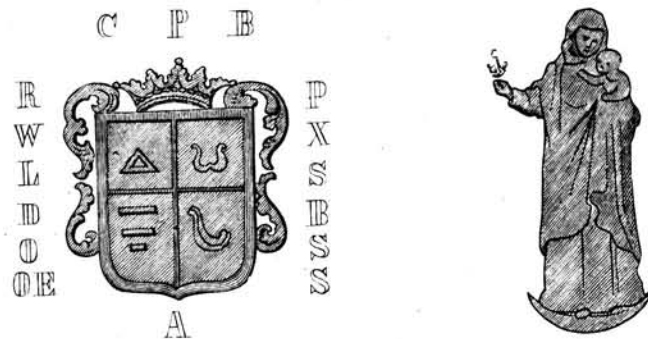
Przerysowałem jeszcze i ambonę, znajdującą się w kościele, której restaurator organista szczęściem jakimś nie dotknął; kształtem i rzeźbą przypomina ona wszystkim tę kazalnicę, z której to przed trzema wiekami znamenity ów Piotr Skarga złotą polszczyzną wernemu ludowi w Wilnie w kaplicy Św. Kazimierza opowiadał słowo Boże.



Pod prezbiterjum kościelnem jest dosyć duży sklep grobowy; w nim nie mało trumien rozmaitej wielkości, wszystkie prawie zgniłe. Wielu z nich wieko podnosiłem, a w każdej z tych nic innego, oprócz szczątków kości nie znalazłem. Kilka z nich zawierało ostatnie resztki księży, jak się ze szczątków pozostałych ornatów domyśleć można.

Największy interes historyczny, największą ciekawość miejscową stanowią tutaj dzwony, umieszczone na jednej z wież kościoła; na drugiej albowiem zegar się znajduje. Są to wielkie śpiżowe dzwony. Przystęp do nich bardzo jest trudnym niepodobna aby bez stosownego przyrzędu wszystkie na takiej wysokości dostatecznie opatrzyć można było. Za pomocą uprzejmego i gorliwego w niesieniu mnie pomocy X. Strzeleckiego, stanęło w godzin parę rusztowanie, z którego dzwon naj-

większy obejrzyć mnie się udało. Ma on na jednej stronie w odlewie wizerunek Matki Boskiej ze świętem dzieciątkiem na ręku; pod nią w dużym formacie tarczę poczwórną herbową Brzostowskich i ich kolligacyi; na około szesnaście liter pierwiastkowych oznaczających imię, nazwisko i tytuły fundatorów.



ODLEWY NA DZWONACH W MICHALISZKACH.

Z drugiej strony dzwonu napis następnny:

Aës campanium
 Ab hoste ...ore possesum et
 In arce Vilnensi per septennium captivum
 Triste ...ebam
 Nunc vero
 Auspiciis S. S. Joannis Casimiri Poloniae et Sveciae Regis
 Magnique Ducis Litvaniae
 Gloriosissimi
 Cura et virtute per Illustr. Mag. Dni.
 Cupriano Paulo Brzostowski Ref. et Notary M. D. L.
 Tunc Gubernatoris Metropolis Lithvaniae
 Vigilantissimi
 Anno Dni. MDCVII. die XX. Mens. Xbres
 Vindicatum
 Atque in formam hanc sumptibus ejusdem
 Animatum
 Et divae matri ex voto dicatum
 Jam cetum ad templum Michaliscens persono
 Deo optimo maximam Gloriam
 Deiparae Virgini honorem
 Serenissimo Regi Victricia saecula
 Magenati in seras posteritatis perennem
 Benedictionem.

Na dole około dzwonu:

In memoriam spoliolum Vilna a Mosco recuperata ac eptorum a Serenissimo Rege per Illustr. et Mag. Dni. Cupriano Paulo Brzostowski Refe. et Notario M. D. L.

Consessorum B. V. M. ex arce Vilnensi receptum et ab serenissimo donatum hanc campanam signum. Gratitude idem perillustrissis et Mag. Dni. Refe. M. D. L. fieri curavit et templo Michaliscensi addixit Vilnae die XI. Mens. Julii anno M. D. C. XVI.

Na boku pośród floresów trzy wyrazy:

Emericio — Mericiano — Fecit.

Napis ten na dzwonie odlany, oczewiście zaświadcza nam, iż go Paweł Cyprian Brzostowski chciał złączyć pamiątką narodową ze wspomnieniem wyprawy na Moskwę. Powiadają tutaj, że czwarty dzwon bez porównania od tych większy przy przeprawie jego przez Wiliję zatopionym został i tam dotąd się znajduje. Lekarz tutejszy p. Minikowski, świadomy wszelkich miejscowych podań i sam ich zbieracz, wszystkich mnie uprzejmie udzielił. Pokazywał mi nawet miejsce na Wilij, w którym ma się znajdować ów wielki dzwon utopiony.

Obecny proboszcz michaliski, X. Strzelecki, pojmujący dokładnie jaką krzywdę smakowi włoskiemu zadał litewski organista przy restauracyi wnętrza kościoła w Michaliskach, zamyśla szczerze o nowej odnowie tego kościoła.

Kościół michaliski ma swoje dwa bractwa: Ś. Anny i Rożańca Ś. bullami Stolicy Apostolskiej, a mianowicie Benedyktów XIII. i XIV. utwierdzone, które to bulle, w archiwum kościelnem przechowują się. Obchodzi on corocznie kilka festów, w liczbie tych fest Ś. Antoniego jest jednym z większych. W dniu tym zaledwo nastał ranek a już się lud okoliczny na ulicach miasteczka i przed kościołem zbierać zaczął. Tutaj, na Litwie czystej, bo od rzeki Oszmianki, jakby od jej naturalnej granicy, wszystkie ślady typu tej narodowości już widzialnie występują; zacząwszy od języka którego tutaj użycie napotykaemy, aż do rasy ludzi a mianowicie kobiet, wszystko jest odmiennem od sąsiedniego krywiczańskiego plemienia. Tutaj kobiety są wysokiego wzrostu, w znacznie bardzo większej części blondynki; nosy mają małe okrągłe, nie zaś jak tamte duże i foremnie zarysowane, twarze długie i ściągłe. Różnica ta, na pozór mało znacząca, jest wszakże bardzo ważną i charakterystyczną dla każdego kto poszukiwania swoje z zastanowieniem i uwagą rozwijać przywykł; w jej albowiem odcieniach wypatrzyć należy tę drobną odmianę, co rasy plemion rozróżnia z sobą. Strój kobiet różni się także znacznie od stroju używanego przez nasze włoski, na dziewczętach mniej się to daje spostrzegać; albowiem i tutaj jak u nas noszą chustki na głowie, tylko większe i inaczej zawiązane, noszą gorsety, pstre fartuszki, lubią paciorki i błyskotki i dużo używają kwiatów na głowie, które im są większe, im nieforemniejszą głowę czynią: tem większą elegancyę i staranność w ubiorze wyrażają. Widziałem w kościele kilka strojnych dziewcząt, co miały po dwie ogromne

piwonije na głowie. Młode mężatki różniły się od dziewcząt czepkiem muślinowym i chusteczką, co ich ramiona przykrywała. Poważne zaś kobiety, te wiejskie matrony, inaczej się wcale stroją; — nie znajdziesz tutaj naszej płóciennej namiotki, ani szarej siermiężnej świtki; noszą one na głowie kapturki, kabaciki bogate i dostatnie. — Kapturki te noszą w formie jakby infuły biskupiej z bogatej sztofy lub błyszczącej lamy zrobione, niewielką chustką u czoła około głowy okrążone, z pod której wychodzi dwoje uszu z teje bogatej materyi, u wielu lisztewką muślinową lub koronką ugarniowanych, co stanowi wyższy stopień elegancyi. Na kolorowej spodnicy i pstrym bardzo fartuchu noszą one surducikę z ciemnego granatowego sukna, z aksamitnym kołnierzem, błyszczącemi guzikami do stanu zrobione, wyżej kolan zakończone i z tyłu mocno nafałdowane; u niektórych widziałem pelerynę przytym surduciku. — Mężczyźni niemniej czysto są ubranemi; noszą oni jakieś surduty z szarego sukna, których krój niezdecydowany, środek trzyma pomiędzy starą kapotą a nowotnym surdudem, wszyscy w długich butach, często pasem czerwonym po wierzchu przepasani.



Kiedy w ciągu tego opowiadania tylokrotnie wspomniało się o domu Brzostowskich — raz jeszcze wróćmy do tego imienia i powiedzmy, iż o parę wiorst od miasteczka jest dwór Michaliszki — świetna niegdyś tej znanej w kraju rodziny rezydencya, której dzisiaj szczątki zaledwo pozostały.



Pałac w nim, co przed laty słynął gościnnością i hucznym życiem, — co otwierał swe podwoje bezprzestannie gościom różnej kondycyi i dostojęstwa — bo jak wieść niesie i królów on przyjmował — w 1812 roku przez Francuzów spalony, kiedy z powodu pokrzyżowanych interessów familii Brzostowskich nie mógł być na nowo wyrestaurowanym, w ruinie pozostał. W tej ruinie, bez drzwi i okien zakończonej w wykręcane facyaty, są jeszcze ślady pańskiego zbytku i gospodarnej wygody. Na piętrze w pokojach mieszkalnych pozostałe w szczątkach kominki ze sztukaterią, odrzwi i inne ozdoby, świadczą o pierwszym, drugiego ślady widzieć można w obszernych, ciągnących się nietylko pod domem lecz i poza domem podziemnych sklepach, obszernych korytarzach i suterrenach, na sklepieniach, na których dzisiaj gęsty chwast i wysoka pokrzywa porosły.



Okolo pałacu są jeszcze ślady, lecz już zaledwo tylko ślady ogrodu, co okrążał niegdyś tę pańską rezydencję. Jest jeszcze kilkadziesiąt drzew starych, co od znikłych tutaj szpalerów pozostałe, dzisiaj jakby nie w porządku i od rzeczy nie na miejscu swoim stoją. Są jeszcze kanały i sadzawki zarosłe trawą i jakieś ślady tarasów i nasypów ziemnych. Nie opodal od tych zwalisk stoi jeszcze mały murowany lamus dwupiętrowy, zamknięty żelaznami mocno okutymi drzwiami; dwie stare lipy pomiędzy którymi on stoi, objęły go gałęziami do koła. Przetrwawszy wieki, przeżywszy swą świetność, z tąż samą obojętnością przechowuje dzisiaj stare porwane chomąty, z jaką przed laty zamykał może bogate składy zbroi rycerskiej i innych krajowych pamiątek, jak nie mniej składy kosztownych sreber i klejnotów domowych.

Wszystkie ruiny są bez wątpienia szanowną własnością krajową — są to jakby relikwie historyczne; lecz widok każdej z nich napełnia smutkiem serce człowieka gdy mu przypomina wielką przeszłość jego upadłą, ukazującą się terażniejszym pokoleniom w ostrych szczyrbatych czarnych wyłomach, o które się roztrącająca bezprzestannie słaba myśl dzisiaj odległych żyjących a zkarłowaciałych duchownie ich potomków, bogatych owoców nie zapowiada dla ludzkości.

Smutno zaprawdę tutaj pomiędzy starymi zwaliskami, wśród których człowiek dzisiejszy, całkiem im obcy, błakający się po nich, gdy dawnej świetności nie sprosta, westchnie tylko boleśnie i nieraz gorzko zapłacze za czasem upłynionym. I my, smutni, pod wpływem tego wrażenia, wracajmy czemp prędzej do gościnnego probostwa naszego. Tam pośród współczesnych sobie życiem i myślą łatwiej się wzajemnie zrozumiemy.

Odwiedziłem dnia tego p. Minkowskiego w jego własnym domu. P. Minkowski jest też kolekcjonistą; posiada on niewielki zbiorek rzeczy rzadszych; ma trochę etrusków, trochę starej saskiej porcelany, z pomiędzy której zasługuje na uwagę filiżanka z pokrywką, na kubku której jest popiersie Stan. Augusta, malowane w medalionie, na okół niego znajduje się napis: „Stanislaus Augustus Rex.“ — Na płaszczyźnie spodka otwarta księga, przy niej laska sprawiedliwości z jednym palcem w górę podjętym, wieniec laurowy i wszystkie attributa, oznaczające pamiętną ustawę prawa, w roku 1791 uchwalonego. Filiżankę tę zaliczyćby można dzisiaj do rzadkich już zabytków, które w owej dacie odznaczały ten świetny akt w kraju. Znamy karabele, guziki od fraków, noszące tę datę; wstęgi od ubiorów damskich i całe nawet suknie, z dewizą do tej okoliczności przyjętą. Filiżanka w mowie będąca dowodzi nam oczewiście, iż musiały być też sprzęty i naczynia stołowe robionymi z powodu tej radosnej krajowej uroczystości. Do tej filiżanki dobrał był p. Minkowski stosowną łyżeczkę srebrną, a także rzadką, którą poraz pierwszy zdarzyło

mi się tutaj widzieć. Na niej był wizerunek wypukły księcia Józefa Poniatowskiego w mundurze, burką przykryty, taki, jakim go zwykle malują; nad tym wypukły napis: Józef książę Poniatowski; niżej pod popiersiem znana wszystkim dewiza tego bohatera. Pan Minkowski w tych dwóch przedmiotach połączył stosownie wielkie imię synowca z najpiękniejszą chwilą panowania jego stryja. Gdy postrzegł pan lekarz, że mnie się ta łyżeczka podoba, dobył z biórka drugą podobną i mnie ją na pamiątkę ofiarował, która się znajduje dzisiaj w zbiorze moim pamiątek krajowych.

Istnieje w tej okolicy daleko znane i przez wszystkich powtarzane przysłowie: „podniósł się jak żyd michaliski.“ Badałem na miejscu źródła, z kądby ono początek wzięło i coby znaczyć miało. Wytłómaczono mnie, iż kiedyś michaliscy żydzi trudnili się kradzieżą koni; jeden z nich ujęty, o tę zbrodnię przekonany, gdy poszedł na szubienicę, dał początek owemu przysłowiu.

Nabożeństwo w Michaliskach się ukończyło. Zaproszeni przez proboszcza liczni goście się zeszli się do plebanii na obiad, po którym raz jeszcze podziękowawszy za uprzejme przyjęcie, z żalem odmówiwszy serdecznym prośbom i naleganiom gościnnego proboszcza o przenocowanie choćby jeszcze jednej nocy u niego, w dalszą puściłem się drogę. Statek zaledwo około godziny 5. odbił od brzegu. Niepogoda, zimno i wiatr przeciwny ciągle towarzyszyły mojej podróży. Zaledwośmy wyszli na rzekę — kiedy się wszczął szturm tak gwałtowny, iż statek mój, miotany falami Wilij, straszyć nas zaczął wywrotem. Trzeba było przybić do brzegu nie ujechawszy pół wiorsty nawet i czekać, aż się rozhukana woda uspokoi.

Nie przyszło jednak do tego; bo lubo szturm przeszedł, wiatr jednak nie uspokoił się, a zimno trwało ciągle; w nudny więc sposób, bo ciągnięci za linę, powoli postępować naprzód musieliśmy. Dziadulo nasz dwudniowym odpoczynkiem w Michaliskach znudzony, gdy dwie czarki jedną po drugiej z tęsknoty wychylił, język mu się rozwiązał i począł śpiewać pieśni, których dotąd z ust jego wywołać nie podobna było. Korzystając z tej zręczności, starałem się wydobyć od niego pieśni, przysłowia lub gusła flisów, odnoszące się do żeglugi po Wilij; lecz się przekonałem, z wielkiem zadziwieniem mojem, że w języku flisów do żeglugi po tej rzece dzisiaj żadnych stosownych śpiewów nie ma. Nie ulega wątpliwości, iż wszystkie nazwania raf, kamieni, uroczysk wodnych, jak: Prywitalna, Rawiaka, jak Ziaziulka, Łastówka, Bohdanowicz, Romanowicz i t. p. pochodzą albo od jakichś przypadków na nich zdarzonych z osobami, których one nazwiska noszą, bądź od podobieństwa, jakie sobie same naturalnie dały, jak n. p. Prywitalną — od tego, iż ją, jako pierwszą rafę, każdy sternik chlebem i solą wita; Rawiakę, iż rwie i sta-

tek do siebie wciąga — nie kto inny, jak ludzie tutaj żeglujący, prowadzący statki po Wilij, w starożytności poprzyzywać musieli. Lubo od daty zaprowadzenia przez Napoleona I. w Europie systematu kontynentalnego, handel ogólnie sparaliżowanym został; a wprowadzenie cła na zagraniczne, mianowicie kolonialne towary przerwało ten wielki i ciągły stosunek z Królewcem, za pośrednictwem którego ludzie handlujący po Niemnie i Wilij na wicinach i strugach cały ten kraj w potrzebne nieodbicie zamorskie artykuły opatrywali: od tej daty naznaczają starzy ludzie upadek handlu na rzece Wilij. Dzisiaj do zadziwienia nawet ona jest pod tym względem martwą; miasta, miasteczka nad jej brzegami położone, żadnego nie okazują życia ani ruchu. Raz wiosną, gdy zejdą po niej przez zimę przygotowane z borysowskiego powiatu lasy, nastaje na Wilij odrętwienie i martwa jakaś cisza. Ztąd sterniki i flisowicze, nie mający nic do roboty; nie stykając się, jak na innych rzekach, bezprześcannie z sobą: nie wyrobili żadnej nowej legendy, nie wysnuli wątki do nowej pieśni; lecz jakby przeżywając stare odwieczne podania i szanując w nich swoich praociców pamięć, powtarzają je ślepo; a ciekawość nawet wrodzona ludziom, nie nęci ich do zbadania powodów, jakie dały początek tym rozlicznym nazwaniom. — Szczegóły te z powyższych przyczyn, jak się zdaje, zaginęły dla nas na zawsze, choć nazwiska ich, z ust do ust podawane, zostaną jak sama Wilija na wieki.

Wśród największych niepowodzeń dla żeglugi naszej, zziębli i znudzeni zanicowaliśmy w pierwszym gumnie na brzegu, do którego nam się za ledwo po nocy dobić udało.

Dzień nadchodzący odkrył przed nami piękną bardzo okolicę: były to Wartacze — wioska na wysokiej górze położona, z której się ukazał rozległy i piękny widok; u stóp jej Wilija malowniczo się zawracała. Od rana wszczął się wiatr niepomyślny żegludze mojej i coraz się powiększał. Zamieniony w wicher, tak rozdrażnił wody łagodnie i spokojnie płynącej Wilij, iż rzeka wrzała, szumiała i burzyła się bez przestanku, a rozrywając się w szerokie rozdoły, groziła niebezpieczeństwem każdemu, kto by chciał z nią iść w zapasy. Sternik nasz odbił od brzegu; statek mój rzucany na wszystkie strony, nie słuchał już rozkazów jego, lecz wpadłszy we władzę rozhukanej wody, co chwilę znalazł się zagrożonym albo wywrotem, lub też uderzeniem się o kamień. Trzykroć odbijaliśmy od brzegu, próbując azali nie popłyniemy — i trzykroć wracaliśmy nazad, bo nie było podobieństwa płynąć dalej. Dzień cały na miejscu przestać nam przyszło, albowiem szturm coraz powiększający się, trwał aż do wieczora. — Na te nasze manewry wodne, na to passowanie się kilkugodzinne z dwoma groźnymi żywiołami, jakimi były wiatr przeciwny i rozhukana woda, patrzyła z góry cała ludność wiejska, zebrana na brzegu. —

Gdyśmy mimowolnie nazad, lubo z innego jej końca do tej wsi wylądowali, nie mając co robić, poszedłem zabrać bliższą znajomość z jej mieszkańcami, porozmawiać z nimi o ich biedzie i ich kłopotach. W tej klasie ludu, jak i w każdej, znajduje się nie mało biedy i kłopotów, a poskarżenie się na nie, wygadanie się z nich przed obcym, który z cierpliwością ich wysłuchać raczy — co im się rzadko zdarza, bo żalów włościańskich nikt zwykle słuchać nie lubi — ulgę im w cierpieniach przynosi. Zdarzyło się, iż w niej pośród poważnych mieszkańców, znajdowała się duża gromada dzieci różnego wieku, zacząwszy od wyrostków jeszcze próżnujących, od podrastających dziewczynek — do dzieci u piersi, noszonych na ręku przez matki; wszyscy mnie okrążyli ciekawie, jak zjawisko jakieś, jakby rozbitka, którego wiatr niepomyślny na ich brzeg wyrzucił. — Od rodziców przeszła kolejno gawęda do dzieci — i począłem jednego po drugim examinować z nauki najwłaściwszej, najpotrzebniejszej chrześcijańskiemu człowiekowi; każdego z kolei musiał mnie powtórzyć pacierz. Tutaj się przekonałem dotykalnie, że w tej dyecezyi duchowieństwo gorliwiej od innych czuwa nad rozkrzewieniem nauki kościoła, kiedy każde z dzieci tej wioski, jak starsze tak i młodsze, najpiękniej, bez pomyłki, odmówiło mnie pacierz. Jakże wielka była radość rodziców, jakże nieopisane niczem szczęście dzieci, kiedym każde z nich za to, iż ono pacierz umiało, z moich podróżnych zapasów obdarzył świętym medalikiem lub krzyżykiem.

Po południu, gdy wiatr zdawał się zmniejszać, raz jeszcze próbowałem płynąć. Z największym wyteżeniem sił żeglarzy i całej czeladzi podróżnej, ledwośmy wiorstę jedną ująć potrafili, kiedy przyszło znowu stanąć przy prawym brzegu Wilij i tam nocy czekać; przybiliśmy więc o 4. godzinie na nocleg. Wyszedłszy na wzgórzysty brzeg Wilij, ujrzałem w oddaleniu dwór, przy samym zaś brzegu szereg dużych kurhanów. Dwór ów był dworem pana Narwojsza — nazywał się Ryzhory. Do rewizij kurhanów przystąpiłem natychmiast; trzy z nich rzędem nad samym brzegiem położone, jednostajnej wielkości, duże, mające obwodu po 22 sążni, przez wierzch sążni 9; w około kamieniami sporemi szczelnie obłożone, jakby obmurowane, zwyczaj, którego w usypywaniu kurhanów starożytni mieszkańcy Rusi Litewskiej odleglejsi od granic Litwy nie używali — ciekawość moją zaostrzyły. Z wielką pracą i. m. m. rozkopane, nic w sobie nie zawierały. Ze względu na porządek i na staranność, z jaką sypanemi były przez podstawę z kamienia, umocowane nad brzegiem tak znamienitej rzeki, jaką jest Wilija, wnosić by można, iż one być mogły kurhanami strażniczemi. Czynność około rozkopania kurhanów trwała do ciemnej nocy, po czem wszyscy zmordowani, potrzebowaliśmy tak dalece odpoczynku, iżśmy odmówić musieli grzecznym zaprosinom pana Narwojsza. Po przeciwnej stronie Wilij, w powiecie wileńskim, w majątku Woronie, pani marszałkowej

Górskiej, znajdują się podobne kurhany, lecz do ich kopania czasu mnie nie stało. W tej okolicy bawiąc mimowolnie dzień cały, robiłem starania około zebrania pieśni gminnych z tego zakątka świeściańskiego powiatu; jak niemniej z powiatu wileńskiego, położonego na przeciwnej stronie rzeki. — Tak wielka rzeka, jak Wilija rozdzielająca dwa powiaty między sobą, stanowiąca już granicę w odcieniach obyczajowych i na różnicę w pieśniach ludowych wpływ swój wywiera.

Wegetację brzegów Wilij możnaby podzielić na dwie różne od siebie części, mające całkiem odrębny charakter. Brzegi jej niskie, wśród których ona z początku od swego źródła powiat borysowski i wilejski przepływa, porośłe są, jak już wyżej rzekłem, pięknymi trawami, rozłożystemi wspaniałymi kilkowiekowymi sosnami lub dębami, podnoszącymi swe gałęzie do góry śmiało i swobodnie. Brzegi wyższe, malownicze wprawdzie, złożone z piasku, czasem gliny lub wapiennego kamienia, choć gęsto porośłe, mają jednak roślinność słabą, skąpą i niedokonaną. Puszczy obszernych tutaj nie widać, a wszystko, cokolwiek z drzew poważnych na tych brzegach kamienistych rośnie, jest karłowate i pokręcone. Dęby, leszczyna, jesion, jarzębina, wierzby, olchy, zarastają te brzegi; z krzewów kalina, loniceros, róża i porzeczka dzika w obfitości tam znajdujące się kwitnące — ozdabiają brzegi tej rzeki. Liczonemi są te pochyłości po nad Wilją, na których lasy sosnowe silnie i bujno rosną. Gleba to i dla rolnictwa nieprzyjazna; nigdzie w tej nadbrzeżnej części kraju nie widziałem pięknego urodzaju, nigdzie nad brzegiem Wilij wzorowego gospodarstwa. Wilija, płynąc tutaj wśród wysokich brzegów, nie wzbiera się ani podnosi się tak wysoko, ażeby rozlewem wód swoich, jak Nil dobroczynny, skrapiała i użyzniała nadbrzeżne pola; tutaj, jak zwykle na piasku, słabo posiewy rosną; każde zboże rzadko i nisko rośnie; sianożęci, ani nawet obfitych pastwisk nie widać nigdzie.

O godzinie 6. rano byliśmy już w Bystrzycy. Bystrzyca na lewym brzegu Wilij, przy ujściu do niej małej rzeczki Bystrzyczanki, w powiecie wileńskim położona, jest jedną z tych licznych królewskich, które Brzostowscy posiadali. Począwszy od Żodziszek aż do Niemenczyna brzegiem Wilij, a daleko bardzo w głąb tej części kraju, napotykać się dają same Brzostowskich dzierżawy, bądź dziedziczne, bądź królewskie; a wszędzie ślady albo wspaniałego ich życia w zwaliskach pałaców; lub pobożnych skłonności w fundacjach i uposażeniu kościołów. — W Bystrzycy, ponad Wilją, jest kościół murowany.* Kościół ten równie jak i michaliski, należał niegdyś do XX. Augustyanów de paenitentia, czyli Kanoników Re-

* Kościół w Bystrzycy należy do najpierwszych fundacji poczynionych w Litwie przez Władysława Jagiełłę po przyjęciu przez niego wiary chrześcijańskiej. (Żywoty Biskupów Wileńskich przez Xiedza Przyjałgowskiego T. I. str. 18.)

gularnych. Kto ich tutaj fundował? kiedy oni wprowadzeni byli? z miejscowych archiwów dowiedzieć się nie podobna; — lecz że bardzo oddawna Kanonicy w Bystrzycy zamieszkali — upewnia nas o tem data ich kassaty; albowiem w wizycie kościelnej z 1822 r. znalazłem pojaśnienie, iż jeszcze Zygmunt I. w r. 1528 Augusta 14. dnia po skassowaniu w Bystrzycy Kanoników od pokuty, fundusz na suffragana wileńskiego przeznaczył, oddając mu z kościołem część miasteczka Bystrzycy, znajdujące się w niem karczmy i następujące folwarki, t. j. Dudy, Milen, Dziwie i Olszec, z tym warunkiem, ażeby następni suffragani utrzymywali przy kościele bystrzyckim trzech księży, dyrektora dla szkoły i sług kościelnych. Takim funduszem zaopatrzony proboszcz bystrzycki ks. Antoni Żółkowski, biskup molieński, suffragan, prałat, dziekan katedralny, officyał generalny wileński w 1760 roku kościół ten wymurował. Wykończył go wewnątrz i konsekrował p. t. Podwyższenia Św. Krzyża ks. Tomasz Zienkowicz, biskup aryopolitański, suffragan, prałat, dziekan katedralny wileński. Z czasem, gdy probostwo bystrzyckie, nie wiedząc jaką koleją, z suffraganów wileńskich spadło w ręce prostych proboszczów, i fundusz jego uszczuplonym został: nastąpiło powoli stopniowe zaniedbywanie kościoła.

Kościół murowany w Bystrzycy nie ma żadnego czystego stylu; jest to kompozyt, w którym gdzieniegdzie występują proporcye włoskiego smaku, zmieszane z formami stylu kościołów, najczęściej w Polsce stawianych. Budowa to długa na 18, a szeroka na 9 sążni, mająca z frontu dwie kształtne dosyć wysokie wieże, pomiędzy nimi dosyć wysoką facyatę, okrągławo zakończoną z krzyżem na wierzchu. Prezbiterium w tym kościele od zachodu owalną ma formę; nad niem znajdują się kopuły blachą obite z krzyżami i gałkami onych połączanemi, dachówką pokryte.



Kościół ten dzisiaj potrzebuje znacznej reperacyi, na zewnątrz mianowicie: krokwie na nim połamane grożą prędkim upadkiem dachu; gzemsy od wilgoci poobrywane, a nigdzie w około porządnego oparkanienia. Wewnątrz kościoła nie znalazłem żadnych pamiątek, któreby o jego dawności świadczyć mogły; na wieży

tylko znajdują się trzy dzwony pięknego odlewu. Na największym z nich znowu napotykamy Strzemie — herb Brzostowskich; nad nim w około napis:

P. P. L. C. B. L. V.

An. 1704 haec campana Ecclesiae ofer
M. J. B. S. AD. M. D. G. B. V. M. L. Loc.

Na drugim, mniejszym, wierzchu okrążają, jest rząd kami. Z frontu, po obu stro-
dują się wmurowane dwie kun-
pominający nam arbitralną władzę, jaką mieli niegdyś słudzy kościoła nad wiernym
jemu ludem. Oto i wszystko, co o kościele bystrzyckim powiedzieć można.



pod floresami, które go u
główek anielich ze skrzydeł-
nach drzwi wchodowych, znaj-
nice, ostatni zabytek, przy-

Z kolei przystąpiłem do dalszych badań, do zbierania pieśni gminnych i po-
dań miejscowych. Co do pieśni: poszło tutaj łatwiej, niż gdzieindziej. Zarząd wiej-
ski (Selskoje uprawlenje), dostarczając kobiet i dziewcząt, znanych w tej włości
śpiewaczek, ułatwił nam tę trudność. Dziewczęta i kobiety, przyjęciem mojem ośmie-
lone i przeze mnie traktowane, jedna przed drugą dyktować zaczęły naprzemian
swoje sielskie piosnki; spisaliśmy ich nie małą liczbę na różne okoliczności. Tutaj
wielka znajduje się rozmaitość w pieśniach gminnych; już nie powiat, nie partya, lecz
każda niemal okolica co innego śpiewa przy swych obrzędach poważnych, przy uro-
czystościach ludowych lub przy pracy. Począwszy od granic powiatu święciańskiego,
lud prosty coraz jest obojętniejszym na podania miejscowe; obojętność ta z biegiem
Wilij, zbliżając się ku wielkiemu miastu, jakim jest Wilno, znacznie się powiększa.
Zauważałem to w mojej terażniejszej podróży; tutaj, w Bystrzycy n. p. niczego do-
wiedzieć się nie podobna; czy to przez obojętność dla wspomnień miejscowych,
czyli przez jakieś nieprzebaczone lenistwo — ojciec niechętnie opowiada swą prze-
szłość synowi; syn zaś leni się pytać ojca o ubiegłych czasach, i tak na każdym
pokoleniu przerywając się ta nić, co nas z przeszłością wiąże, wyrobiła u ludu zu-
pełną obojętność dla dawnych podań i ich całkowite zaniedbanie. Ileż to wysiłku
trzeba było, wieleż pytań różnorodnych tworzyć i rzucać przyszło, nim się czegoś
dopytać, zanim przypomnieć ludziom tutejszym się udało o ich miejscowości, nace-
chowanej niejakiem wspomnieniem. Badani przezemnie w taki sposób włościćanie,
zaledwo przypomnieć zdołali, iż o wiorst kilka od Bystrzycy, w starej, poroślej od-
wiecznymi dębami puszczy znajduje się wysoka i stroma bardzo góra — Zamkowsz-
czyzną nazwana; że tam, jak ludzie powiadają, był kiedyś zamek. Tego mnie tylko
brakowało. Lubo zamek ten, o wiorst kilka od brzegu będący, leżał za zakresem
poszukiwań moich, przywiązanych tylko do brzegów Wilij; wszakże tym razem od-

stąpiłem od swego założenia; biorę ludzi, najmuje konie, zabieramy z sobą narzędzia miernicze i jedziemy do Zamkowszczyzny. Wiorst kilka po najgorszej, jaką tylko wystawić sobie można drodze na włościańskich wozach ujechawszy, stanęliśmy w zaścianku rządowym — Linomargi nazwanym. Ztamąd, pod przewodnictwem leśnika miejscowego, idziemy na piechotę do lasu. O wiorstę może, w starej, odwiecznej jodłowej, dębami przemieszanej puszczy, do tego stopnia z sobą gałęziami zrosłej, iż wśród dnia zawsze w niej ciemno i chłodno — wznosi się góra tak stroma, że się na nią z tej strony wdrapać nie podobna było; leśnicy oprowadzili nas naokoło i przez miejsce przystępniejsze za ledwo wdarłem się na jej wierzchołek. — W tak wielkiej gęstwinie nie podobna było odgadnąć ani pojąć od razu jej formy; śledzona jednak w cząstkach, nie zostawiała wątpliwości, iż ręka ludzka kiedyś nad nasypami na jej grzbiecie pracowała. Rozstawiono miernicze narzędzia, i gdy po pomiarze uczynionym cała tej góry forma na stolik wyszła, przekonałem się, iż to były w rzeczy samej okopy mające kotlinę 800 kwadr. sążni powierzchni, okrążoną wałem nasypowym, na 7 sążni i pół po nad kotliną wysokim bez żadnego wyraźnego wchodu do kotliny. Na zewnątrz zaś o 8 i pół sążni od wierzchołka nasypu na wschód i południe znajduje się fossa, a w niej czternaście jam doskonale kwadratowych, mających każda około półtora sążnia w kwadrat. Góra ta zaledwie ma powierzchnię na zamek obronny, posiada zaś wszystkie charakterystyki ofiarniczego horodyszczka. Było to więc w starożytności miejsce poświęcone bogom, w którego głębokiej kotlinie gorzał ogień nieustający. Coby znaczyć miały na fossie owe jamy, jakie ich miało być przeznaczenie w starożytności — odgadnąć z pewnością nie umiem, a domysłów i wniosków moich w tym względzie czynić nie odważę się. — Zamkowszczyzna owa, obmierzona i zrysowana topograficznie, postąpiła do teki pamiatki krajowych, zbieranych przezemnie w tej podróży. Na grzbiecie owych okopów, okrążających kotlinę ofiarniczą, znalazłem kilka pniów spruchniałych od olbrzymich dębów; były to jeszcze ostatnie resztki owych świętych gajów, co w pogańskiej Litwie okrążać miały wszelkie miejsca, na służbę bogom poświęcone; jeden z nich na samym grzbiecie okopu dzisiaj zwalony, którego pień tylko wygniły wewnątrz pozostał, był ze wszystkich swoich rówieśników najpoważniejszym dębem; pień albowiem jego, zmierzony przeze mnie, miał obwodu 9 arszynów i 8 wierszków; szczątek tego pnia obrąbany zabrałem z sobą do mojego zbioru starożytności krajowych.

Wracając z tej archeologicznej wycieczki, deszcz ulewny z częstymi grzmotami zachwyił nas w drodze, przemokliśmy do nitki; na domiar przykrości, gdy włościanie uciekający od deszczu konie pędzili bez pamięci po górzystej i pełnej jam i kamieni drodze, każdego z nas, szczęściem iż bez przypadku, po razie z wo-

zem się przewrócił. Wróciłem prosto do plebanii, bo tam się byłem rozkwaterował. Ks. proboszcza nie zastaliśmy w domu; wyjechał on był do Wilna; lecz po zawarciu z nim znajomości w Michaliskach, gdy wiedział, iż Bystrzycy nie minę, zostawił swemu komendarzowi polecenie przyjęcia nas w plebanii. Rozgościliśmy się zatem u ks. komendarza, człowieka nadzwyczaj gościnnego, któren nas uprzejmie przyjął; nie tylko że plebanię nam na odpoczynek otworzył, że nas napoił i nakarmił, lecz jeszcze zaopatrzył nas w przedmioty spiżarniane, na których nam zbywać zaczynało, a których tutaj za pieniądze dostać nie podobna było.

Włościanie spodufaleni ze mną kilkogodzinnem obcowaniem, rozochoceni nagrodami, dawanemi przeze mnie, zaczęli wydobywać z zapomnienia dalsze podania o miejscowości; o trzy wiorsty za Bystrzycą, w górze Wilij, mówili oni, są szwedzkie mogiły; lecz te nie tak ciekawe jak drugie, co były za rzeką w pow. święciańskim przed nami, bo z nich to Szwed, jak opowiadali włościanie, strzelając przez rzekę do kościoła, mury jego burzył. — Po powzięciu tej wiadomości natychmiast z memi ludźmi, z rydlówkami, wzięwszy z wioski przewodnika, udałem się na owe okopy szwedzkie. Było to grobowisko pogańskie, złożone z kilkudziesięciu kurhanów, porosłych staremi dębami i sosną; jeden z nich rozkopany, gdy formalnie nic w sobie nie zawierał, odebrał mnie ochotę do rozkopywania dalszych, tem bardziej, iż deszcz i wiatr gwałtowny, robocie naszej przeszkadzał ciągle.

XI.

Skończyliśmy czynność naszą w Bystrzycy i ku wieczorowi wszystko do odjazdu było gotowem. Pożegnaliśmy gościnnego księżynę, któren nas aż do rzeki odprowadził. Statek odbija od brzegu, lecz daremne wysiłki dziaduli — sternika, próżne usiłowania wiosłarzy; wiatr coraz gwałtowniejszy od przodu statkiem naszym kołysze, w bok go rzuca i nazad odpycha; spuszczone linkę, aby za jej pomocą ciągnięty przez ludzi, mógł statek ruszyć naprzód; lecz ani podobieństwa: wiatr silniejszy od naszych usiłowań, nie puszcza go naprzód, i kiedy się tak passujemy

z tym nieubłaganym żywiołem, gościnny ksiądz podproboszcz, idący ciągle za nami brzegiem rzeki, namawia nas, abyśmy wrócili do plebanii.

— „Będziecie państwo, powtarza on ciągle, jak we własnym domu, bez najmniejszej subiekty; napijemy się sobie herbatki — bo kto to widział w taki wiatr puszcząć się na wodę.“

Po kilkakrotnem podziękowaniu ze statku księdzu za grzeczność jego, gdy ten nie mógł iść dalej, a ksiądz z brzegu ciągle powtarzał swoje zaprosiny — nic nam nie pozostało do uczynienia, jak z nich skorzystać; wróciliśmy zatem do plebanii, gdzie się ziściły słowa księdza podproboszcza, bo bez żadnej ceremonii, jak we własnym domu, napiwszy się herbatki, znaleźliśmy najwygodniejszy nocleg.

W mieszkaniu proboszcza przechowuje się duży róg jeleni, wydobyty kiedyś tutaj ze dna rzeki Wilij. Nie jednokrotnie w różnych stronach Litwy z dna rzek i jezior dobywane, od długoletniego namoknięcia poczerniałe i zsitowaciałe jelenie rogi, nieraz z całemi czaszkami, potwierdzają świadectwo Rzączyńskiego, iż zwierzen, którego dzisiaj w kraju naszym w stanie dzikim całkiem nie znamy, w starożytności nie był gościem na Litwie, że go lasy litewskie dawniej rodziły i hodowały.

Młody chłopczyk, do usług pokojowych w plebanii użyty, w chwilach wolnych od posługi, zręcznie bardzo z łozy, nad brzegami Wilij rosnącej, wyplatał koszyki i kapelusze i jam dostał lekki bardzo i pięknie wypleciony kapelusz, co dla mnie, jako dla historyografa tej rzeki, najstosowniejszą, bo z nadbrzeżnej wierzby plecioną — pamiątkę stanowił.

Dziewiętnastego Czerwca o godzinie 4. zrana pożegnaliśmy plebanię bystrzycką, co nam tak serdeczny w podróży naszej przytułek ofiarowała. Na przestrzeni rzeki od Michaliszek do Bystrzycy, przepłynęliśmy wodne uroczyska lub niebezpieczne kamienie następne: za wsią Murzyłami — kamień Kazak; niedaleko od Kazaka — uroczysko wodne Kazianka. Za zaściankiem Pałonkami dwa kamienie Makrahuzy; przy wsi Żołomud uroczysko wodne Żołomud. Następnie o wiorst kilka za Bystrzycą na wysokim wzgórku, na prawym brzegu rzeki, znajduje się zaścianek Szalmeta, a około niego Wilija, zwracając się na prawo, tworzy czwartą z kolei niebezpieczną rafę, od nazwiska rzeczki, z lewej strony do niej wpadającej, Szalnajdzią nazywającą się. Zawsze pośród malowniczych brzegów Wilij płynąc, po kilkogodzinnej podróży stanęliśmy u wrót owej niebezpiecznej rafy. Tu się rzeka, objęta wzgórzystemi brzegami, porośłemi pięknym sosnowym gajem, rozszerza na 60 sążni; — wysepka nieduża piaszczysta, dziwacznej formy, rozdziela tę przestrzeń na dwie nierówne połowy; strona jej lewa, ku ujściu rzeczki Szalnajdzi, mająca trzy ogromne kamienie, wyglądające z wody i dno nadto miałkie, czyni przejazd całkiem

niemożliwym; trzeba się więc brać od zaścianku kręto na prawo; zręczność w przed-
kiem wykręceniu się na drogę pośród pędu wody, stanowi całą sztukę w przeby-
ciu tej rafy. — Trzeba zatem znać dobrze drogę i przytomnie kierować statkiem,
ażeby bez szkody potrafić wywinąć się pomiędzy licznymi zawadami z kamieni, co
uderzeniem się i szkodą każdemu w nią wchodzącemu grożą; przy zakończeniu wy-
spy znowu się rozdwojona rzeka łączy z sobą, i koryto ścieśnia na sążni 20, które
to zwężenie woda szybko i z impetem przebiega. Kiedy mój statek w tę rafę wcho-
dził, trzy płyty kupieckie, które nie zdołały się szybko wykierować na drogę, pę-
dem wody uniesione, siedziały na owych kamieniach w bardzo rozpaczliwej postaci;
albowiem gdy pierwszy z nich osiadł, drugi, pędzony niebacznie, wpadł na tamten;
trzeci, goniąc za nimi, wpadł na drugiego — i tak wszystkie trzy razem przed-
stawiały obraz nieładu i nieporządku, na jaki tylko nieostrożność sternika, albo
ślepy przypadek narazić mogą. Rafa Szałnojdzia, tocząca swe wody po łożu ka-
mienistym, wszędzie ma dno widzialne; w najgłębszym jej miejscu zaledwo 1 ar-
szyn i 8 wierszków w tej chwili kiedyśmy ją mierzyli i rysowali zapuszczona sonda
nam wskazała.

Od rafy Szałnojdzia blisko jest bardzo do Bujwidzów. — Zaledwośmy kilka
uroczych zakrętów przepłynęli, kiedy nam się pokazały na lewym jej brzegu w ca-
łej okazałości piękne ruiny opustoszałego pałacu w Bujwidzach. Przybijamy do
brzegu i spieszymy do roboty; p. Januszewicz z podróżną teką w ręku już rysuje
zwaliska, ja zaś oglądam te rozwaliny i zbieram o nich wiadomość.

Bujwidze, majątek niegdyś lenny od Jana Kazimirza nadany Brzostowskiemu,
którego się oni w 1653 r. zrzekli na fundusz XX. Kanoników Reg., był jednym z tych,
o które się toczył z zakonnikami przed długie lata ów zawzięty proces, wzmianko-
wany przezemnie wyżej, gdy była mowa o Michaliskach. Po długich prawnych
sporach, jakieśmy to już widzieli, w ostatniej instancji OO. Duchowni proces prze-
grali; bo gdy Brzostowski wyrobił sobie na te dobra prawo dziedzictwa, stały się one
jego własnością. Brzostowski oddając siostrę swoją w zamęcie Michałowi Radzi-
szewskiemu, przez jakieś układy rodzinne ustąpił mu Bujwidze. Odtąd majątek ten
jako dziedziczna własność Radziszewskiego, zamieszkały przez niego, zmienił się
w rezydencję. Radziszewski, człowiek stosunkowy, spokrewniony ze wszystkimi
najpierwszemi imionami i władzami Litwy, mając Bujwidze niedaleko od Wilna po-
łożone, dla utrzymania swojej pozycji towarzyskiej potrzebował odpowiedniej eg-
zystencji — i dla tego to na uroczem nad Wiliją wzgórzem przy ujściu do niej
nie wielkiej, lecz wesoło płynącej rzeczki, Bujwidzką zwanej, według planu Wa-
wrzyńca Gucewicza, wspaniały pałac, którego dzisiaj szczątki w Bujwidzach ka-

żdemu widzieć się dają, z niemałym kosztem pobudował. Po Michale Radziszewskim objął dziedzictwo na Bujwidzach syn jego Stanisław, żonaty z Abramowiczówną i czas jakiś tutaj mieszkał; potem gdy się przeniósł na mieszkanie do Ilij — Bujwidze oddano w dzierżawę, a pałac ów niegdyś ludny, wielkim poczem dworzan napełniony i wystawnem życiem ich przeszłych dziedziców ożywiony — zamknięty — pozostał w stanie spokojnym. Był on niegdyś składem rzadkich i bogatych sprzętów, skarbnicą dla przedmiotów sztuki i nauki. Sam jeszcze podziwiałem piękność pozostałych w tej rodzinie szczątek w ogromnych i kosztownych gobelinach, w prześlicznych starych saskich porcelanach, w obrazach wielkiej wartości, w zbiorach niepoślednich minerałów i t. d. Lecz taki bywa częstokroć niestatek w losach i przeznaczeniu człowieka!

Nie wiele lat temu — pamięć nasza jeszcze tej epoki zasięga, kiedy ten pałac cały i świetny, dzisiaj odarty ze swych ozdób, bez okien, drzwi i dachu; w zupełną ruinę jest zmienionym; niedoperze i dzikie kuny w nim się lęgą, a ostatnich dziedziców poczciwe imię, wprawdzie zapisane na kartach nowoczesnej historyi, na obcej ziemi gorzko pracować musiało na swój kawał codziennego chleba.



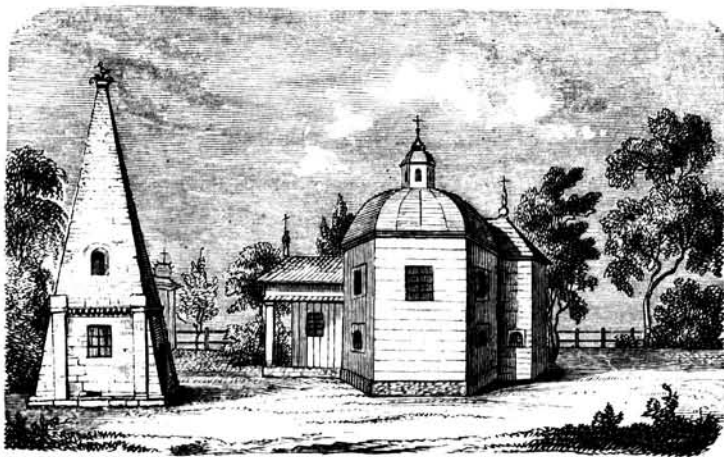
Majątek ten już od dwudziestu kilku lat jest własnością rządową. Teritorium dworne i wszelkie budowy gospodarskie, za ogrodem będące, drewniane, lecz porządnie w murowane słupy zarzucane i w dosyć dobrym jeszcze stanie znajdujące się, w tej chwili oddanemi zostały rządowemu włościaninowi. Ten na czynszu w tem miejscu osadzony, na pola i ogrody obrócił dworne dziedzińce, zaorał piękne pałacowe trawniki, obojętnie rąbie dzisiaj na drwa wspaniałe w ogrodzie topole, sadzone niegdyś i pielęgnowane z trudem i pracą ręką kilku pokoleń dziedziców tego pięknego miejsca; i z obojętnością największą czerpie wodę ze strumyka, któren biegnąc po starannie ułożonych z kamienia kaskadach, swoim szmerem ożywia ten wspaniały ogród.

O kroków kilkaset tuż za ogrodem w przeciwnym kierunku pałacowi jest pięknej architektury drewniany parafialny kościół. Przed nim obszerny kwadrat, którego dwa przeciwne boki zapełniają niewielkie drewniane domki architektonicznie z gustem budowane; znajdują się w nich dzisiaj mieszkania służby kościelnej, szpital dla kalekich, mieszkanie miejscowego felczera. Szeroka i poważnemi drzewami usadzona prosta aleja prowadzi z pałacu do kościoła, a most na arkadzie murywanej, rzuconej ponad mruczącym strumykiem, której zwaliska dzisiaj w rzeczce leżą — łączył ten przybytek Boga z owym wspaniałym siedliskiem ludzi. Kiedy Michał Radziszewski zajął u XX. Kanoników Regularnych majątek Bujwidze, chcąc usunąć z niego mieszkających tam jeszcze przy kościółku filialnym dwóch zakonników de paenitentia, ażeby całkiem zerwać stosunek księży z Bujwidzami, w 1793 roku wszedł w układy z kapitułą wileńską o przeniesienie parafii z kościoła stwołowickiego do Bujwidz. W tym celu uczynionym dokumentem zapewnił on na utrzymanie proboszcza w Bujwidzach corocznie po 100 złotych procentu od summy 1000 złotych lokowanych na Dorohobylu, niemniej przyjął obowiązek sprowadzania każdorocznie sześciu księży na fest N. P. Szkaplernej i onych „sumptem własnym utrzymania dla nabożeństwa przez trzy dni; a in casu niezatrudnienia się utrzymaniem własnym, tedy obowiązkiem na to wypłaty złotych 200 do rąk plebana i na exekwie złotych 48. Na lampę, która dzień i noc palić się winna przed Najświętszym Sakramentem, łożu topionego funtów 80.“ — Tyle tylko w tym dokumencie fundacyi dla kościoła. Udzielnie zaś dla szpitala na utrzymanie ubogich postanowił rocznie: „Żyta beczkę komisijną i cztery ośminy — t. j. garncy 216; jęczmienia pół beczki, czyli garncy 72, owsa tyleż; grochu ćwierć beczki; okrasy funtów 30, soli garncy 10 i pieniędzy na rok złotych 60.“

Do powyższego funduszu postąpionego przez Michała Radziszewskiego, — JX. Dziurdziewicz gdy zapisał na utrzymanie altarzysty przy kościele bujwidzkim 22,000 złp.; z tych 20,000 lokowanych na Jatrze, majątku Kaszyca, położonym w powiecie nowogrodzkim — 2 zaś tysiące u samego Radziszewskiego, marszałka stwołowickiego: Kapituła przychyliła się do prośby Michała Radziszewskiego: filię w Bujwidzach uczyniła kościołem parafialnym, z którego zakonnicy, radzi nie radzi ustąpić musieli.

Stanął w tej dacie i nowy kościół w Bujwidzach. Kościół ten jak na świątynię drewnianą jest bardzo kształtnie a przytem śmiało i sztucznie zbudowany; środek jego stanowi ośmiokąt foremny, którego węgły nie zpuszczane z sobą na zamki, jak zwykle w budownictwie drewnianem się dzieje; lecz za pomocą jakiegoś niewidzialnego środka na wewnątrz spajane mocno i szczelnie się trzymają. — Nad temi ścianami wznosi się drewniana wysoka i śmiała kopuła; na niej przezroczy-

sta latarnia, okryta podobnież mniejszą kopułką, a na tej krzyż foremny żelazny. Od jednego z boków tego ośmiokąta ciągnie się podłużna nawa, w której umieszczonym jest wielki ołtarz; z przodu na obszernym ganku na czterech kolumnach wspartym, jest przysionek; pod nim po obu stronach drzwi wchodowych stoją kolosalnej wielkości dwie statuy z drzewa rzniete: jedna z nich przedstawia Ś. Kazimierza, druga Ś. Stanisława biskupa i męczennika. Nad gankiem na dachu stoi figura Ś. Heleny trzymającej duży krzyż w ręku.



Kościół ten wewnątrz malowany jest olejno. Cały układ wewnętrznych ozdób jego zostaje w harmonii z sobą i nie razi niczem przybywającego doń poraz pierwszy człowieka. Malował ten kościół niejakiś Gosiecki, nie znajony nam wcale z nazwiska malarz. W średniej ośmiokątnej części kościoła w stosownym kierunku do ścian jego, na kolumnach porządku doryckiego, wznosi się szeroka, śmiało umieszczona galerya. Kościół ten żadnych historycznych wspomnienia godnych nie zawiera pamiątek. Ze świętościów są w nim relikwie Świętego Floryana, męczennika, złożone na bocznym ołtarzu w szklanej trumience, które Brzostowski z Rzymu przywiózł osobiście. Na prawej tylko ścianie, o czem przemilczeć mnie nie wypada, jako o rzeczy noszącej typ swojej epoki, znajduje się w drewnianej ramie za szkłem, jak to największa moda była w owej dacie, na białym atłasie pellami wyszyty najniezgrabniej allegoryczny obraz śmierci i odrodzenia się. Na pierwszym planie tego haftu leży drzewo zrąbane i wywrócone; przy niem grota; a w niej napis: „Le vrai repos.“ — Za leżącym drzewem kilka jodełek młodych rosnących, a nad całym obrazem wyszyte są dwa następne wiersze:

„Te małe drzewka wzrosną i wydadzą cienie,
Ja stare padłom, bo tak chciało przeznaczenie.“

Jest to robota którejś z rodziny p. Radziszewskiej — pamiątka z ostatnich czasów upłynionego stulecia.

Na smętarni na prawo od wchodu na samym rogu znajduje się kaplica grobowa Radziszewskich, dziwaczego kształtu, całkiem opuszczona i nadrujnowana. Jest to czworobok murowany, na wszystkie strony jednostajną wysokość i szerokość mający; stanowi on niejako podstawę, na której wznosi się podobnież z muru wysoka bardzo piramida czworoboczna wązko w górze zakończona; na niej, zamiast krzyża, co zwykle u nas kościoły i kaplice oznacza umieszczonem jest duże gniazdo z rodziną żywych bocianów. Takie niewłaściwe zakończenie dachu w domu Bożym uderza zaprawdę każdego.

W podstawie tej piramidy znajduje się kaplica, oświetlona przez dwa półokrągłe okna, w bocznych od wejścia do niej ścianach umieszczone: w niej na przeciwległej ścianie od wejścia jest ołtarz cały z żuźla żelaznego w postaci grotty robiony, we wklęsłości której spoczywała trumienka z relikwiami Ś. Floryana, dopóki do kościoła przeniesioną nie została; na lewej stronie ołtarza są dwa obeliski z muru; pod niemi dwie czarne marmurowe tablice ze złotemi na nich napisami; są to grobowe pomniki po dwóch żonach Michała Radziszewskiego; jednej Morawskiej, drugiej Brzostowskiej z domu. Kaplica ta jest całkiem zdelabrowaną; sufit w niej przegniły i na wylot przełamany, grozi co chwila ostatecznym upadkiem; w. ołtarz z żuźla układany znacznie nadniszczony. Obróconą ona jest obecnie na skład rzeczy kościelnych i na zapasy niejakiś budownicze; pośród latarni i choraławek kościelnych, całunów, mar w nieładzie rozrzuconych, znajdzie się tam zapas niemały gontów od jakiejś fabryki pozostałych i kupę wapna, jakieś drabiny i t. p. Z tej kaplicy niewygodne i nieforemne schody spuszczone na dół prowadzą do grobowego sklepu rodziny dawnych dziedziców tego miejsca. I tutaj znalazłem wielką obojętność w urzędzeniu ostatniego spoczynku dla resztek tych ludzi, którzy za życia z taką troskliwością czuwali nad losem tej świątyni. Sklep był ciemny, trącił tchliną, bez żadnej posadzki; piasek w nim był tak głęboki, że się noga po kostki zagłębiała, a poziom tak nierówny, że z pewnością po nim stąpać nie można było. Na tym piasku stały trzy trumny duże, a dwie małe dziecinne. W jednej z większych z drzewa czerwonego nakształt mahoniu ozdobionej w srebrzyste antaby, na której z przodu była blacha z herbem; w głowach druga większa. Napis na niej oznajmował, iż to były zwłoki Radziszewskiego. Trumna na głucho zabita, otworzoną być nie mogła; lecz za to ciekawością zdjęty podniosłem wieko drugiej obok stojącej z podobnegoż drzewa pięknie i ozdobnie wyrobionej, na której oprócz ozdobnych antab na wieku, z jednej strony był monogram M. K. — z drugiej blacha z podwójnemi herbami Radziszewskich i Morawskich. Na wieku trumny z góry — blacha bronzowa pobielana długa, podobnież z cyfrą i arabeskami, z aniołami

placzącemi na wierzchu, trupią głową zakończona na spodzie, na niej drukowanemi literami wryty długi napis, któren przy pomocy zapalonych pochodni gdy odczytałem, znalazłem w jego treści najważniejsze szczegóły życia i całą pochwałę przymiotów tej pani, której zwłoki zamykał ów szczupły domek dla zmarłych. Napis ten był następujący:

Pełna Religii, cnoty i sławy W. Imc. Pani
MARYA z MORAWSKICH RADZISZEWSKA
Chorażyna Powiatu Starodubskiego, R. 1749 D. 9. Lipca w Wiżunach
URODZONA

Przy mnogich od Boga i natury darach na życie prawdziwie Chrześcijańskie y Towarzyskie
WYCHOWANA

W pobożności, skromności y obyczajów niewinności od wszystkich
DZIWIWONA

Zwiedzając różne obce Kraje z JW. Teofilą z Xiążąt
RADZIWIŁŁOW MORAWSKĄ

Pisarzową W. X. Lit. Bratową swoją w stolicy świata Rzymie od
KLEMENSA XIV.

upominkiem z świętem błogosławieństwem złączonym
OBDARZONA.

R. 1773 D. Marca w Wenecyi J. W. Panu
MICHAŁOWI RADZISZEWSKIEMU

Chorażemu Starodub.

ZARĘCZONA

R. 1776 D. 16. Czerwca w Nieświeżu temuż

ZASŁUBIONA

Zostawiwszy Karola syna, Teofilę i Konstancję córki, Matką w kształtowaniu
dziatek i czułą i przykładną będąc

WIDZIANA

Nakoniec R. 1787 D. 20. Kwietnia w Nieświeżu zasilona Sakramentami śś. na inne życie
PRZENIESIONA

TU

W Grobie familii co do zwłoków swoich od małżonka swego R. 1787 Lipca 22. d.

ZŁOŻONA

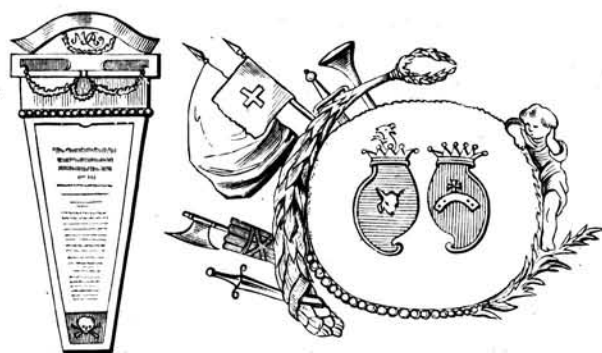
Na pamiątkę czasów przyszłych

PODANA

czeka powszechnego zmartwychwstania.

Kto czytasz pomnij że umrzesz, a za tych, co już umarli — módl się.

Przed bramą od cmentarza, oprowadzony lekką sztachetą, stoi krzyż drewniany na tem miejscu, gdzie przed laty, t. j. w ów czas, gdy majątek ten należał do księży Kanoników, znajdował się mały drewniany filialny kościółek, przy którym dwaj księża tego zgromadzenia mieszkali zawsze, jak to już wiemy. Po zbudowaniu



Ozdoby na trumnie Radziszewskiej.

nowego kościoła stary rozebrano, a krzyż, o którym mowa, ludziom ciekawym swojej przeszłości, wskazuje dzisiaj miejsce, na którym stał ów kościół dawny.

Po obejrzeniu ruin pałacu, kościoła i kaplicy, gdy nam nic już do oglądania tutaj nie pozostało, zrobiłem wizytę miejscowemu księdzu proboszczowi, którego przez dwadzieścia lat z górą zostający na tem probostwie, był świadomym wszelkich szczegółów, dotyczących miejscowości. — Zazierając do każdego domostwa, ponad brzegiem Wilij będącego, zbierając w nich rozmaite szczegóły, dotyczące celu mojej podróży; jak ów przezorny kwestarz, co jadąc od komina do komina, zbiera wiadomości i o ludziach po jego drodze mieszkających — ja również rozpytywałem się o tych, którzy byli na mojej, chcąc się nauczyć, czem mogę w tej mojej wycieczce stać się komu przyjemnym i pożądanym gościem; dowiedziałem się, iż ów proboszcz w Bujwidzach, pomimo lat podeszłych, bo ich liczył, jak się zdaje, za 60 — był zapalonym myśliwym; że rozprawianie o łowach, o psach i broni, najulubieńszym było dla niego przedmiotem. Po krótkiej zatem rozmowie o przeszłości tego miejsca, z powodu fuzyi stojącej w alkierzyku, nawróciło się jakoś nieznaśnie gawędę na polowanie. Proboszcz uradowany, iż przed nim tę beczkę otworzono, ożywił się widzialnie: zapomniał o Bujwidzach, o swoich Brzostowskich i Radziszewskich, o których mnie tak poważnie przed chwilą rozprawiał, a poszła mowa bez końca o psach, lisach, zającach, cietrzewiach i wszelkiej zwierzynie. Opowiadał mnie z interesem, jak w pośród ruin pałacowych kuny strzelał i całe noce tracił na ich dopilnowanie — słowem poznaliśmy się doskonale, i zrozumieliśmy się prędko. Proboszcz nie odstąpił mnie na chwilę, a dowiedziawszy się, iż mam broń moją na statku, przejęty chęcią jej oglądania, i chcąc mnie oddać grzeczność za grzeczność, postanowił nas odprowadzić nad brzeg rzeki. Szliśmy więc razem ku Wilij, zawsze rozprawiając o myśliwstwie. Gdyśmy stanęli na brzegu, zaprosiłem proboszcza do statku na szklanekę herbaty i na dalszą pogadankę; poczem ksiądz wrócił do ple-

banii — myśmy poszli dalej z wodą. Płynący na nim, gdy mi z oczu znikły Bujwidze, unosiłem z biegiem rzeki bolesne wrażenie, jakie na mnie wywarł widok tej ruiny, wznawiający w pamięci upadek rodziny, którą tak dobrze znałem i którą szczerze szanowałem.

W dniu tym żegluga nasza ożywioną była na wodzie, z powodu mnóstwa płytów, śpieszących z drzewem, bądź towarowem do Kowna, bądź opałowem do Wilna. Życie na wodzie całkiem ma inny typ od lądowego; tu się ludzie inaczej krzątają, całkiem są inne warunki zabezpieczenia prowadzonego towaru; — jedna chwila, jeden wiatr niepomyślny, którego przewidzieć, ani się ochronić od niego niepodobna, może trącić o kamień lub wyrzucić na brzeg, zniweczyć usiłowania i pokrzyżować nadzieje handlujących ludzi; to też nie żartem się i oni krzątają okolo tej pracy; ze szczególniejszą znajomością dróg na wodzie, nieraz krwawym potem okryci, usiłują przeprowadzić w całości powierzony ich straży kapitał. Szkoda i wielka szkoda, że na jednym tylko splawianiu towaru z góry na dół kończy się ruch handlowy po tej pięknej rzece, której fale tak szeroko i tak dumnie toczą się przez kraj obszerny pośród nadzwyczajnej piękności brzegów. Wymijając bezustannie płyty, między którymi nieraz zręcznie wywijać i wykręcać się nam przyszło, pośród krzyku flisów i głośnego pluskania wody, jakie sprawia w płytach drygalka, poruszana energicznie przez sterników, przebyliśmy przy wsi Wilkińcach małą rafę — Dziewiczy-korohod zwaną, i szczęśliwie ominęliśmy niebezpieczny kamień Wolk, leżący w rzece za tą rafą, poczem stanęliśmy w Balingródku.

Tutaj przystankować musiałem nie we właściwym miejscu do brzegu, albowiem lina od przewozu spuszczoną jeszcze nie była, z powodu, iż się na nim z przeciwnego brzegu ludzie podróżni zabierali do przejazdu. Wysiadłem z mego statku i stojący na brzegu przypatrywałem się zbliżającemu się ku mnie przewozowi. — Stała tam, pomiędzy innemi furami, długa bryka drabiasta, parą końmi zaprzęzona; wory na niej naładowane przypomniały mi znany na Litwie ów wóz, jakby Bernardyna, kwestarza. Nie omyliłem się tym razem, bo gdy się przewóz do brzegu zbliżał, odkryłem na nim, pod białym płóciennym szlafrokiem i białym kapeluszem, otyłego Bernardyna, jowialnie kręcącego się i rozmawiającego z ludźmi, znajdującymi się na przewozie. Gdy przewóz przybił do przypromka, a podróżni z niego ruszyli:

— „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“ — odezwał się Bernardyn do mnie stojącego nad brzegiem.

— Na wieki wieków — odpowiedziałem mu na to. — Skądże to Pan Bóg prowadzi? — zapytałem.

— „Jestem brat Hilary, kwestarz z klasztoru Bernardynów Traszkuńskich zbieram na odnowienie ołtarza Matki Boskiej Szkaplernej. — Może i Dobrodziej

będzie łaskaw co zaofiaruje — rubelka — nie więcej! wykrzyknął jowialnie brat Hilary.“ —

— Kwestarzom się zwykle nie odmawia — rzekłem mu na to; lecz rubelk — to pieniądze; zwłaszcza dla biednego podróżnika, jakim ja jestem.

— „Jakże godność Dobrodzieja?“ — zapytał Bernardyn.

— Kwestarz jestem — zdejmując kapelusz, i pokornie mu się kłaniając nawzajem, na to odrzekłem.

— „Ha! ha! ha! zaśmiał się rubasznie Bernardyn na to moje powiedzenie, sądząc z orszaku towarzyszy moich podróży i z liczby sług, co mnie otaczała, że sobie z niego zażartował.

— „A na jakiż to ołtarz Dobrodziej kwestuje?“

— Na ołtarz, na którym wszyscy swoją ofiarę składać powinni: na ołtarz nauki. — Ofiarą złożoną do mojej kwestarskiej karbonki jest piosnka ludowa, albo przysłowie jakieś gminne, lub podanie miejscowe, albo wiadomość jakaś historyczna. Pomyśl bracie Hilary, jaką mnie możesz dać jałmużnę; bo inaczej, gdy mi na moim nie położysz — nic ci na twój ołtarz nie dam.

— „No — kiedy tak, to powiem Dobrodziejowi starą modlitwę Żmudzina do bożka Perkuna zanoszoną, ażeby nie bił jego swemi gromy, ale bił Guda, t. j. każdego innego człowieka, mówiącego innym, a nie zaś żmudzkiem językiem lub też litewskim“.

— Zgoda! — rzekłem i złożyłem Bernardynowi żądanego rubelka; on zaś podyktował mnie piosnkę następną:

„Perkunas Diewajti!
Ne muszkie Żemajti!
Muszkie tą Guda,
Kajp szuni ruda.“

Tak się pokwitowali z sobą dwaj kwestarze nad brzegiem pięknej Nerysy. Brat Hilary, nasypawszy mnie kwestarskim obyczajem błogosławieństw bez liku, pociągnął po piasku do Traszkun.

Balingródek, dzisiaj dziedzictwo obywatela Turcewicza; jest to liche miasteczko na prawej stronie Wilij, na brzegu bardzo piaszczystym, przerzniętym małym strumykiem, któren tutaj do Wilij wpada, przez Ignacego Balińskiego założone. Na takiej niewdzięcznej posadzie osnute, nic dziwnego, że nie mogło ono wzrosnąć ani podnieść się, nie mówię już do stanu kwitnącego, lecz nawet do pozycyi bardzo miernego miasteczka. Przy tym małym, nic nieznaczącym strumyku, kilkanaście lichych małych domków żydowskich, nieforemnie bez szyku na piasku rzuconych, bez ogrodów, bez najmniejszej zieloności, a w nich ubóstwo i nędza — oto jest wierny

obraz owego, miasteczkiem zowiącego się Balingródką. Wśród tej nędzy na tymże samym piasku, bez najmniejszego ogrodzenia, jakby na pustyni jakiej, wznosi się kościół murowany z kwadratową, niezbyt wysoką, wieżą, od frontu powierzcza nieotynkowany dotąd. W niej nadedrzwiemi głównemi od frontu we wklęsłości prostokątnej, wewnątrz otynkowanej, czarnymi literami olejną farbą napisano: Ignacy i Elżbieta Balińscy zbudowali R. 1825.



Kościół ten filialny, wewnątrz ubogi, odznacza się wszakże znajomością i niezłym dobozem obrazów; tak n. p. w zakrystyi, przez którą do niego wchodziłem, napotkałem obraz Św. Sebastjana, bodaj oryginał szkoły włoskiej; obraz to stary i bardzo dobrego pędzla. W kościele na chórze niewielki obrazek — wyborna kopia z ładnego jakiegoś oryginału — zatrzymuje wzrok przechodnia swoją pięknnością. Przedstawia on Mateusza Ewangelistę, piszącego, siedzącego na ziemi w pozycji naturalnej i w niczem nie wymuszonej, kiedy tymczasem za nim anioł prześlicznie zrobiony, dyktuje mu słowa Ewangelii. Po dwóch stronach wielkiego ołtarza znajdują się dwa obrazki niezbyt dużego formatu — oba szkoły petersburgskiej; — pierwszy po prawej stronie nade drzwiami od zakrystyi jest kopia z Murylla; przedstawia on Matkę Bożką ze Św. Dzieciątkiem na ręku; po przeciwnej — jest obraz Zwiastowania Matki Bożkiej; koloryt w nim jaskrawy — cecha główna szkoły petersburgskiej; rysunek wszędzie dobry i poprawny. Anioł lekko, przezroczyście i z gracją jest malowany. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz dużego rozmiaru, przedstawiający w naturalnej wielkości wizerunek Św. Ignacego; na nim alba z blachy srebrnej, koronka na dole u alby, ornat i manipularz na ręku pozłociste i w piękne różnokolorowe kwiaty nazewnątrz wypukło wyrabiane. W tym obrazie powita

łem odrazu starą moją znajomość. Przypomniiał on mnie młodzieńcze moje lata, albowiem przed restauracją b. uniwersyteckiego kościoła Św. Jana w Wilnie, wykonaną podług planu profesora Podczaszyńskiego, kiedyś jeszcze do szkół chodził, a ów kościół taki, jakim po Jezuitach został, jaśniał bogatym w sztuczne ozdoby wykonaniem licznych ołtarzy, widywałem go w bocznym ołtarzu po lewej stronie.

Za kościołem o kroków kilkaset jest plebania, w której mieszka stale wikary; na przeciwnym zaś brzegu Wilij znajduje się dwór dziedziców tego miejsca.

Nie wiele nam czasu zabrało oglądanie Balingródka. Świeżo to nad brzegiem Wilij położona osada, nie miała jeszcze czasu do uzbierania wspomnień, do nabycia powagi wiekami uświęconej, ani do historycznej dojrzałości. Gdyśmy w niej nie znaleźli nic, coby godnym było poszukiwań, po krótkim więc obejrzeniu tam kościoła, po zrysowaniu go, popłynęliśmy dalej. Za Balingródkiem, około wsi Bryżów przepływa się przez małą rafę — Marmusle zwaną, a niedaleko za tą z prawego brzegu rzeka Żejmiana z Wiliją się łączy. Żejmiana z głębi święciańskiego powiatu po nizinach płynąca, po litewsku już nazwana, bo zemaj-ejna w litewskim języku ma znaczyć: że nisko, żłobiasco, po błotach płynie, rozgraniczająca powiaty wileński i święciański z sobą — stanowiła po tej stronie Wilij, jak po lewej Oszmianka, granicę dwóch narzeczy: rusińskiego z czysto litewskim. Nad brzegami Żejmiany różnica tych dwóch narzeczy nie tak się wybitnie odznacza i czuć daje, jak nad Oszmianką, gdzie na brzegu pierwszym kończy się ostatecznie rusińska mowa, a u drugiego Litwini już swoją mówić zaczynają. Od Michaliszek na lewym brzegu Wilij poszła już, jak wiemy, Litwa właściwa. Na przestrzeni zatem tych wiorst 40, w których po przeciwnym brzegu do ujścia rzeki Żejmiany właściwie jeszcze się Ruś Litewska ciągnie, stosunki plemienia litewskiego — bezprzerwanie zamieniane przez rzekę Wiliję z bratnią sobie Rusinów ziemią, zatarły znacznie na prawym jej brzegu rusińską mowę. Do tego mnogość małych miasteczek, znajdujących się na tej przestrzeni, w których zwykle, nie jak w wioskach, lud miejscowy się trzyma: lecz przybysze obcy, różnej narodowości ludzie osiadający, swoim językiem gdy mówić zaczęą, powoli i nieznacznie, przez zamianę ciągłych stosunków z ludem wiejskim mieszać zaczynają narzeczę; bo jako duże miasta tak i małe miasteczka na swoją skalę stają się głównym i centralnym punktem życia i ruchu tej okolicy, w której są położone; do nich się zbiega wiejski lud sąsiedni ze swojemi potrzebami do codziennego życia przywiązani nie, aby im narzucić swoje prawa i zwyczaje, lecz ażeby się zastosować do obyczajów miasta. Tą drogą w sposób niewidzialny, niedający się poczuć od razu nikomu, wszystkie wady miasta, jako próżniactwo, opilstwo, zbytek i wszelka rozpusta nieznacznie a codziennie wynoszone cząstkami z miejskiej ludności, coraz się więcej wcielając w spokojne ży-

cie wiejskiego ludu, każąc go zlemi przykładami, prostotę, spokojność duchową w nim mącą i pierwotną ich czystość zacierają. Z tego, jak mi się zdaje, głównie powodu, w tej części nadbrzeżnej naszej rzeki na prawym jej brzegu narzecze ruśńskie ustaje prawie zupełnie, a język polski staje się przeważnym. Tutaj każdego z włościan, mniej czy lepiej go umiejącego, sili się, aby z przybywającym mówić po polsku; zawsze kaleczoną mową, albowiem do akcentu litewskiego nawykli, przeciągle i śpiewając, polską mowę kaleczą niemilosiernie; oprócz niepotrzebnych dodatków, jakich w mowie często używają, jako to: „dak cóż, oto już!“ i t. p. spółgłoską *k*, zamieniać zwykli polskie *ch*; wyraz, kończący się na *ę* — oni spółgłoską *m* kończą, i tak: kuchnia — u nich jest kuknia; kocham — jest kokam; nie chcę — nie kcem; i w. j. Wśród poczciwego i pobożnego ludu, mówiącego wciąż podobną polszczyzną, odtąd przyszło mnie płynąć aż do ujścia naszej Wilij.

Wilija, po zejściu się z rzeką Żejmianą, zmordowana swą powinnością, rozgraniczania dwóch powiatów z sobą, przekazawszy ten nudny obowiązek młodszej swej siostrze Żejmianie, sama z niego oswobodzona, pochylając się kręto na lewo, nieco ku południowi, wesola i śmiejąca się, ku ulubionemu sobie Wilnu pobiegła. Wśród pięknych i coraz piękniejszych brzegów, których malowniczej postaci opowiedzieć ani opisać nie podobna, nie opodal od ujścia Żejmiany mija się duża cegielnia na prawym wysokim brzegu Wilij, na ziemi obywatela Parczewskiego położoną. Wspominam tu o niej jako o zakładzie interesującym z tego powodu, iż z wyrobionej z niego cegły stanął ów wspaniały kościół w Niemenczynie, o którym mówić jeszcze będę. U stóp tej cegielni duży złośliwy kamień, o który się płynące statki nieraz uderzają, podnosi swą głowę z ponad wody. W dziejach żeglugi po Wilij znanym on jest wszystkim sternikom pod nazwiskiem Cegielnika. Tak płynąc dalej, wchodzi się w piątą z kolei siabrową rafę, Baranem zowiącą się, o której, jako o bardzo niebezpiecznej, Dziadulo, nasz sternik, chcący w oczach naszych swoją opinię umiejętnego żeglarza po Wilij coraz wyżej podnieść, ciągle nam opowiadał; myśmy w nią weszli około godz. 6. po południu. Przejście to niebezpieczne jest blisko na półwiorsty długim; pierwszy w niem zakręt, w którym się rzeka do 20 tylko sążni i szerzynie zwęża, ostrokończatym cyplem ziemi, od lewego boku w nią wchodzącym, sformowany wielką kupą kamieni na tym cyplu wchodzących aż do środka rzeki, od przyrodzenia nałożony, czyni to miejsce niebezpiecznym; trzeba się przytomnie i szybko z rudlem sprawiać, aby się na niej wśród bystro biegnącej wody zawrócić i nie zbić się z drogi; od zawrotu albowiem woda z równą szybkością niesie statek, mimo dużych z wody wyglądających kamieni, o które bardzo łatwo zawadzić można, jeśli przytomność sternika w porę temu zaradzić nie potrafi; i znowu go wpędza w nową ciałninę z obu stron bogato kamieniami nałożoną, po której rzeka

już właściwem sobie na 52 sążnie szerokiem korytem płynie. Z tej ostatniej Wilija na prawo się powraca, odtąd niebezpieczeństwo ustaje.

Wszystkie te rafy niebezpieczne, tak jak i rzeka, w ogólności nie są głębokimi; w najgłębszem ich miejscu żadna nad dwa arszyny nie przechodzi. Woda przy brzegach tocząca się po kamykach jest całkiem miłą; wszędzie białe dno przez wodę dostrzedz można.

XII.

Przebywszy rafę Baran, znowuśmy ją mierzyli i rysowali, poczem poszliśmy dalej, zawsze wśród najpiękniejszego przyrodzenia. Na prawo ciągnęło się wysokie pasmo gór lasem i krzewami porośłych, poprzerzynanych niekiedy przepaściami rozdołami, lub urozmaiconych czasem śmiejącą się pochyłością, spuszcającą się ku Wilij; na lewo — płaszczyna; na niej pola uprawne, a wśród tych jakaś siedziba dobrze obudowana. W rzece pasła się porozrucana tam i owdzie trzoda bydła zanurzając głowę do wody po ulubioną sobie Mowrę; na brzegu, na dużym kamieniu, siedziała młoda, wysokiej urody, przystojna, czysto odziana dziewczyna, co pasła to bydło; przy niej na ziemi mniejsza dziewczynka; starsza szyla koszulę — obie zaś razem, dla przepędzenia czasu, piskliwym głosem śpiewały jakieś swoje pieśni. Taki był obrazek wiejski tego miejsca, wśród którego wstrzymał się raptem zwyczajny pęd statku po Wilij i Dziadulo oświadczył, że tutaj blisko nas znajduje się ta skała z krzyżem, o której on nam tylokrotnie w ciągu tej podróży opowiadał.

— Przybijaj Dziadulo do brzegu! wołałem — i prowadź mnie do niej!

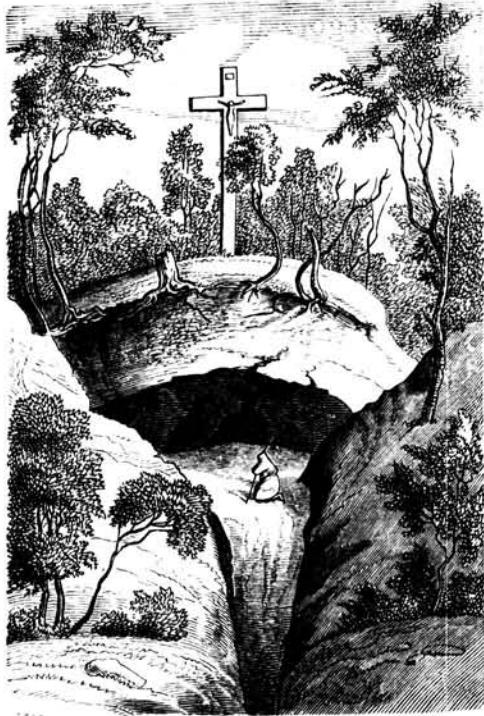
Dziadulo przystaował statek, sam z niego wysiadł i poszedł naprzód — ja za nim pobiegłem. Kroków jakich czterdzieści wzdłuż rzeki po samym jej brzegu uszedłszy, Dziadulo zatrzymał się i palcem mnie wskazał na wąską ścieżkę, wśród gęstego lasu, wiodącą na górę. W rzeczy samej był to widok nowy i niezwykajny na Litwie, a przytem tak okazały i wspaniałe, któreń mnie w pierwszej chwili w zdziwienie wprowadził. Litwa, która z rąk Twórcy w pierwszej swej formacyi skromnej

i prostej, nigdzie skał ani nadzwyczajnych kaprysów przyrodzenia nie dostała, tutaj przychodnia każdego zdumiewa kawałem skały śmiało wychodzącym z pod urwiska góry, pod którym wyłobienie we dwóch jego bokach uformowane, stanowi pod nim grocie, przedzieloną cyplem naturalnym od tej skały, zawieszonym w powietrzu, nie opierającym się o ziemię. Kawał ten skały wśród lasu o 55 kroków w górę od powierzchni rzeki, na powietrzu jakby zawieszony, ma wysokości 6 arszyn 11 wierszków; obwodu zaś w części okrągło wystającej ma 17 arsz. 3 wierszki; otwór groty znajdującej się pod nią ma wysokości 2 arsz. 14 wiersz. Jest to skała natury wapiennej; z góry i z boków tej skały przez jej pory przeciskająca się z niewidzialnych źródeł woda bezprzestannie kroplami na dół spada. — Na jej wierzchu darń, wychodzi aż na krawędzie, z pod którego korzenie rosnących na niej drzew z sobą posplatane, jakby tej skały malowniczą koronę stanowią. Na jednym z jej wyłobiołów rośnie rodzaj mchu gębczasty, puszysty, delikatny, jakby pella koloru ciemnozielonego.

Skała ta nie samą tylko ciekawość przybyszów ją odwiedzających nęci. Po ciąga jeszcze ona do siebie urokiem świętości, którą jej lud przyznał w tych stronach; woda z niej kroplami sącząca się, miała jakoby własność uleczenia chorób oczu; ktokolwiek z cierpiących oczy nią przemył, uzdrowionym został. Ztąd ludzie różnego stanu piechotą przychodzący i pojazdami przyjeżdżający, z pobożną wiarą tłumnie się tutaj zbierają. Właściciel tej skały, znany w Litwie ze swych pożytecznych dążeń, obywatel p. Aleksander Parczewski, chcąc uczcić to miejsce, postawił na niem piękny krzyż z figurą Pana Jezusa, ze skarbonką u spodu. Skała ta, niedaleko od dworu położona, stanowi cel ulubionej przechadzki właściciela i jego rodziny; zowie się ona powszechnie tutaj Świętą Skałą, lub niekiedy Skałą Lucyańską, od nazwiska przyległej wioski tak nazwanej.

Święta Skała nie jest pozbawioną legend gminnych. Ludzie prości łączą tutaj podanie, iż gdy jakaś pani na to miejsce przyjechawszy, wodą ze skały spadającą pieskowi swemu oczy wymyła, woda ta straciła własność pomagania ludziom. Drugie o niej podanie jest, iż gdy jeden z flisów, ciekawością zdjęty, odbił był kawałek tej skały i chciał go z sobą powieść, płyt jego topić się zaczął i póty nie poszedł z miejsca, aż go flis napowrót nie odniósł.

Kiedym Skałę Świętą odwiedzał, u jej podnóża klęczał starzec siwobrody, w kapotę płócienną całą i czystą odziany; ręce miał złożone, oczy w górę ku krzyżowi podniesione; tak się on modlił do Nieba nie słowy: bo usta jego w tej chwili nie poruszały się; lecz modlił się on rzewną modlitwą duszy. Uradowałem się szczerze, widząc tego pobożnego pielgrzyma. Spotkałem nareszcie to, czego tak gorąco pragnąłem, rzekłem do siebie w myśli; on mnie o dawnych czasach, lub o swoim



życiu jakąś historję zapewne opowie. Był to starzec dobrze za siedemdziesiąt lat mający, urody miernej, budowy ciała zdrowej, lica miał rumiane, siwe długie włosy w nieładzie rozrzucone, pokrywały jego głowę; miał on długą siwą brodę, przez plecy torbę, a w niej składy swe podrózne. Zdrowego oblicza, a zdrowszej jeszcze duszy, ten starzec pędził swoje życie od lat wielu na ciągłej modlitwie, w bezprzerastannej rozmowie z Panem Bogiem, w oderwaniu się od świata, w odwyknięciu od ludzi. Pojmował on doskonale, co ten świat człowiekowi tylko dać może, i nic nie pragnąc od niego, żył szczęśliwie, niezależnie całkiem od ludzi i okoliczności; żył on wolny od chwil burzliwych, które namiętność w człowieku tworzy; daleki od trosk, kłopotów i nieszczęść, jakie interes, zazdrość i złość ludzka po drodze życia bliźnim ściele, miał on duszę czystą, a ogromny zapas chrześcijańskiej miłości bliźniego nosił w swem sercu. Te dwa bogate dary zgromadził on w sobie przez pobożną modlitwę, której się wyłącznie oddawna poświęcił. Bogobojnym obowiązkom oddany, odbywał bezprzerastanną pielgrzymkę do naszych miejsc świętych. Był on nieraz u Matki Boskiej Częstochowskiej, w Poczajowie, w Białyniczach, w Żurowicach; modlił się przed ciałem błogosławionego Bobolego w Połocku, do Św. Donata w Krasławiu, do Św. Justyna w Miadziolu — a Matka Bozka Ostrobramska była domową jego Panią i Matką.

W chęci przejścia na drodze pobożnego staruszka, gdy będzie ze swej wieczornej modlitwy wracał, i bliższego z nim zapoznania się, gdy p. Januszewicz Śtą Skałę rysował, pomimo, iż gościnną Marysia pasąca bydło, z którą się bliżej zapoznałem, gdy mnie ona podanie o Św. Skale opowiadała, do swej wioski nas na nocleg uprzejmie zapraszała, co prędzej rozwinąłem mój obóz podróżny nad brzegiem rzeki u stóp Skały Św.; zapalono ogniska i rozłożono się z całym podróżnym gospodarstwem. Po dosyć długiem oczekiwaniu skończył starzec nareszcie swoją modlitwę, i opierając się na kiju spuścił się powoli na dół.

— Zbliźcie się do nas, pobożny człowiecze, i podzielcie z nami odpoczynek i podróżną strawę — siedzący około ogniska do starca donośnym głosem rzekłem

— „Bóg wam zapłać, łaskawe panisko — zawracając się ku mnie, odpowiedział starzec; — chleb suchy i modlitwa: to moja strawa; twarda ziemia — to posłanie, a niebo pokryciem dla mnie.“

— Któż jesteście? zapytałem.

— „Pobożny włóczęga, któren Bogu za siebie i za bliźnich modlitwę swoją ofiaruje.“

— Przecież: gdzieście się rodzili? gdzieście młodość waszą przebyli? co was, staruszku, do tej pobożnej włóczęgi po świecie nakłoniło?

— „O! wiele by o tem wam mówić, moje dobre panisko; siła lat ubiegłych pokryło przeszłość moją i oddało ją niepamięci; a jak często jest dobrze zapomnieć, co się kiedyś działo: w ów czas człowiek jakoś spokojniejszy, jakoś mu mniej na sercu markotno. Za młodu służyłem memu krajowi, potem służywałem panom i oto już lat blisko trzydziestu, jak służę Bogu i Matce Jego Przenajświętszej. W pierwszych mych służbach różnie mnie się powodziło: nieraz dusza cierpiała, nieraz serce się krwawiło. W dzisiejszem mojem powołaniu tak mnie za to dobrze, tak na duszy błogo, tak na sercu lekko, że już Wam dobre moje panisko i powtarzać nie chcę, co się ze mną kiedyś działo“ — poważnie odpowiedział mnie starzec.

— Przecież — dokąd staruszku idziecie?

— „Idę bardzo z daleka, od mojej matki Urszuli; dążę do Ostrej Bramy — mego stałego miejsca modlitwy.“

— Któż to jest ta matka Urszula? opowiedzcie mnie proszę.

— „O! ciekawa to bardzo historia o tej Urszuli; jest to kobieta pełna pobożności i cnót chrześcijańskich; za młodu, niebaczna, popełniła ciężką winę; lecz Bóg jej musiał tę winę przebaczyć, gdy pozwolił za nią, za kratami klasztoru, odpokutować i dał jej tyle siły i mocy duchowej, że się przerobiła na świętą niewiastę, jaką jest dzisiaj. — Niemasz nieszczęśliwego, któren by z rąk jej nie otrzymał wsparcia; niema smutnego, którego by ona duchową radą nie pocieszyła; rozpa-

czających w nieszczęściu nawet rozumną a bogobożną mową na drogę prawdy i pociechy wraca, słowem: moje dobre panisko! jest to anioł zesłany od Boga na ziemię, aby Jego święte dobrodziejstwa między nas grzesznych ludzi rozdzielał.

Po tej odpowiedzi starca tem więcej ciekawość moja zaostrzoną została; tem mocniej poczułem, iżem w podróży mojej natrafił właśnie na to, czegom tak gorąco pragnął, t. j. na historię jakąś interessującą, przez którąbym mógł urozmaicić poważne a nieraz suche przedmioty, jakie się kolejno w tece mojej gromadziły w ciągu tej wyprawy. Podałem starcowi kieliszek wódki, którym się on pokrzepił, i powtórzyłem moją gorącą prośbę, ażeby mnie opowiedział żywot matki Urszuli.

— „No! kiedy już tak chcecie, moje dobre panisko — to wam opowiem o matce Urszuli. Z prawdziwą ochotą lubię opowiadać o tej świętej zakonnicy, bo chciałbym, ażeby wszyscy znali jej czyny, a każdy ażeby cześć oddał jej cnotom.“

Tu się starzec oparł na kiju i zabierał się do opowiadania historyi o matce Urszuli. Wszyscyśmy z ciekawością okrążyli rozniecone ognisko. Starzec miła jeszcze organ mowy mocny; zębów mu w gębie brakowało, i dla tego niektóre słowa niewyraźnie domawiał; — lecz mowa jego tak była udatną, słowa jego miały tyle mocy, prawdy i wdzięku, że go z podziwieniem słuchając, złorzeczył tej tajemnicy, co pokrywała przeszłość jego, albowiem w niej się kryć musiały ciekawe szczegóły życia człowieka, któren, jak widać z rozmowy jego, nie był ordynaryjnym tylko żebrakiem.

Starzec zaczął pełne interessu opowiadanie o swoich losach i rodziny, w której usługach zostawał, o dworze podczaszynej, o jej wnuczce pannie Urszuli, o jej ucieczce z domu babki, której wypadek ten zgon przyspieszył, o smutnem życiu, owdowieniu i pokucie w klasztorze. Powieść tę, żywo przypominającą dawne czasy i obyczaje, pomijamy, spiesząc ku dalszym opisom naszej podróży.

Skończył nareście pielgrzym obrazek, i kłaniając mi się pokornie.

— „Dosyć na dzisiaj, moje dobre panisko, rzecze; — już słońce zachodzi, pora do spoczynku“, — i ukloniwszy się mnie nisko a poważnie, poszedł w swoją stronę brzegiem rzeki odemnie.

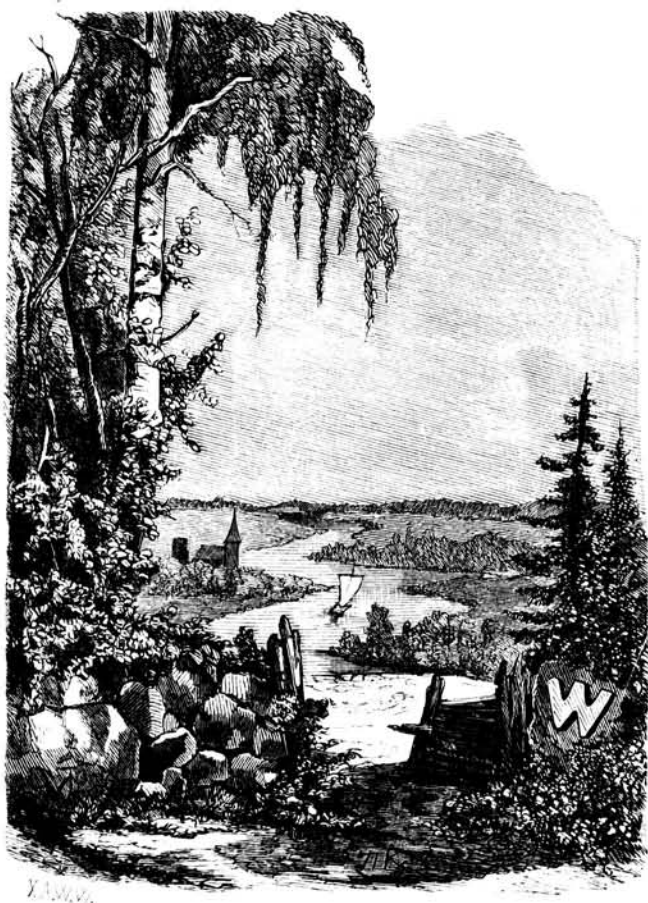
Starzec powoli niknął z przed moich oczu pośród krzaków i zarośli, któremi brzeg rzeki w tem miejscu jest bogato urozmaicony; a jam śledząc za nim wzrokiem, chwycił w pamięci szczegóły świeżo opowiedzianej historyi, abym ją mógł kiedyś tak dobrze powtórzyć, jak mi ją mój pielgrzym przed chwilą opowiedział.

Marysia, która z ciekawością słuchała opowiadania starca, po jego oddaleniu się, widząc nasz ambaras w obraniu miejsca na nocleg, raz jeszcze powtórzyła gościnne zaprosiny do swojej wioski, którym już odmówić nie podobna było. Przyjeliśmy to litewskiej dziewicy wezwanie, i gdy młoda, roztropna i wysokiej postawy pasterka popędziła przed sobą wracające z pola bydło, myśmy zwinęli nasz obóz podróżny, poczem za minut kilka gorzał już ogień mojej czeladki na brzegu rzeki we wsi Lucyanach przed gospodą szwagra Marysi, włościanina Stefanowicza. Lucyany jest to nieduża, lecz porządnie zabudowana wioska, na prawym brzegu Wilij, o wiorstę zaledwo od Św. Skały odległa, w pięknym bardzo miejscu położona; należy ona do dziedzictwa p. Aleksandra Parczewskiego. — Niedaleko ztąd znajduje się i dwór tego obywatela, znany w Litwie z piwowarni, na wielką bardzo skalę prowadzonej, która porterem, piwem bawarskiem i innemi miasto Wilno i połowę Litwy zaopatruje. Gospoda Stefanowiczów przyjęła mnie chętnie, ofiarowała mi uprzejmie nocleg taki, na jaki im tylko stało. — Podczas, gdy się służba krzątała około wieczerzy i około urządzenia noclegu, zasiadłem przed chatą mego uprzejmego gospodarstwa. Włościanie ze wsi, którzy na odgłos mego przybycia na dziedziniec gospody się zebrali, okrążyli mnie do koła i poszedł rozhovor długi. Obrazek ten sielskiej włościan gościnności miał coś w sobie rzewnego. Próznoby się silić na opis tej jego pięknej strony, jaką stanowi prostota i dobroduszość wiejskiego ludu. — Tę stronę pojmie tylko serce człowieka, gdy się jemu odda, a wszelkie wyrazy będą tylko ckliwą jego pochwałą. Dobrzy ci ludziska wygadali się przedemną ze wszystkich bied i kłopotów, które ich w życiu dotykały i trapiły. Skarżyli się, iż grad ich posiewy nie dawno był pobił i poniszczył; temu padł wół i rozprzągnął mu sprzężaj gospodarski; tamten tanio sprzedać musiał beczkę zboża, bo mu już kuso przyszło z wypłatą powinności publicznych, a wszyscy razem żalowali, iż pan ich, którego ojcowskim rządóm nad niemi sprawiedliwość oddawali, w tej chwili odjechał był dla poratowania zdrowia za granicę. Stefanowiczowa, gospodyni domu, bardzo mi się podobała; kobieta jeszcze młoda, grzeczna, uprzejma, roztropna, czysto po polsku, jak lud cały tutaj, rozmawia, choć akcentem litewskim, śpiewając i przeciągając, odpowiadała mnie na wszystkie moje zapytania, a następnie, rozgadawszy się, prawiała mnie o sobie i o wszystkim, co ją dotyczy: że Pan Bóg ją nawiedza smutkiem, odbierając jej ciągle dzieci; i to nawet, które trzymała w tej chwili na ręku, było chore; że się nigdy na interessach poprawić nie mogą, bo co roku im się jakieś nieszczęście w gospodarstwie przytrafia. Tutaj znowu natrafiłem na wspomnienie cnót drugiej Urszuli; tutaj spotkałem w ustach włościan najpiękniejsze — na jakie tylko może zasłużyć czysta i poczciwa dusza — wspomnienie o naszej znakomitej litewskiej artystce — pannie Róży Parczewskiej. Na-

zywają ją włościanie tutejsi swoim aniołem, któren, gdy im zszedł z tego świata, strasznie wiele pociechy dla nich ubyło; bo ona, jak mówią ludzie, o nikim nie zapominała nigdy; kaźden u niej znalazł radę, pomoc w potrzebie lub pociechę w utra-
pieniu. Wysoki talent w malarstwie był stroną głośną, którą jaśniała ta niewia-
sta na Litwie; boć przecie Bóg rozdaje pomiędzy ludzi wyłącznych wielkie talenta
na to, ażeby ich imię głośne na całym świecie przewodniczyło i przyświecało resz-
cie ludzi, nadając im kierunek moralny. Gieniusze rzadziej pojawiające się, talenta
częściej rodzące się, przynoszą z sobą na tę ziemię jakieś posłannictwo dla postępu
i dla szczęścia ludzkości całej, którego dopełnić muszą; bo świat zapełniony samemi
tylko ludźmi pospolitemi, zwyczajnemi, nie odświeżany żadną nową myślą, ani oży-
wiony wzniosłą ideą, mającą pożyteczny kierunek, prędko by zestarzał, zbutwiał
i spleśniał, jak pleśnieje woda, świeżym źródłem nie ożywiona. — Panna Róża Par-
czewska, urodzona 15. Września 1799 r., w młodości rysunkowi miniatur oddana,
nad temi długo pracowała. Miniatury pędzła tej artystki znane są nietylko na Li-
twie wśród rodzin prywatnych, a jej przyjaznych, jakim ta artystka ze swoich robót
dary pamiątkowe czyniła: lecz i galerya cesarska w Ermitażu kilka takowych po-
siada. Od miniatur przeszła Róża Parczewska do robót olejnych. Sceny święte
stały się wyłącznym przedmiotem dla jej pędzła — celem zaś prac tej artystki były
najczęściej obrazy do nowo wznoszących się kościołów na Litwie, do których oka-
zała ze swego talentu ofiary czyniła. Po szczegółową wiadomość o jej pracach ma-
larskich, odsyłamy ciekawego do mów pogrzebowych, mianych po tej artystce, dru-
kowanych w Wilnie w 1854 r., w których one z bliższą ich znajomością porząd-
kiem są wyliczonemi. Miłość bliźnich, dobroczynność, gotowość do wszelkich ofiar —
cnoty z największą skromnością cicho wykonywane — były stroną moralną, mniej
głośną tej osoby. Trzeba było, jak mnie się to zdarzyło, po Wilij popłynąć, zajrzeć
w jej rodzinną okolicę, gdzie ona oddana cała sztuce, ostatnie lata swego pożytecz-
nego żywota zakończyła, posłuchać głosu ludzi, którym jej chrześcijańskie cnoty
szczęście przynosiły: żeby poznać i ocenić całą wartość moralną, jaką Bóg ozdobił
tę kobietę. Panna Róża Parczewska umarła d. 20. Października 1852 roku. Zwłoki
jej pochowanemi zostały w kościele niemenczyńskim. Cześć tej kobiecie, co umiała
u ludu wiejskiego pozyskać taką miłość! musiała ona być prawdziwie chrześcijańską
niewiastą!

Talenta w tej rodzinie nie ograniczyły się na jednej tylko siostrze: brat
rodzony dopiero wspomnianej artystki p. Konstanty Parczewski posiadał także wy-
soki talent muzyczny. Grał on na skrzypcach biegle i z wielkiem bardzo czuciem;
namiętne od młodości zamięłowanie swego instrumentu było w nim jakby tą smutną
przepowiednią, iż skrzypce go kiedyś na obcej ziemi karmić miały. Na długie tu-

łactwo skazany, nie dożył nawet tej chwili, ażeby mógł umrzeć na własnej ziemi. Jakby przez powinowactwo jakieś duchowe, co niewiedomie talenta łączy i kojarzy z sobą w sferach ducha, córka wielkiego mistrza naszego, Karola Lipińskiego, została żoną Parczewskiego. Dzisiaj wdowa z córką wróciła do ojczyzny ich ojca i mieszka w tej Litwie, której p. Konstanty Parczewski, od chwili swego z niej wyjścia, więcej nie oglądał.



XIII.

Lucyanach od rana zabraliśmy się do spisania pieśni ludowych, śpiewanych w powiecie wileńskim. Tutaj lud wyrozumialszy i roztropniejszy, od naszego, nie stawiał tak wielkich i niepokonanych trudności, jakich w tym względzie doświadczałem wyżej, w górze rzeki. — Przy traktamencie i małym datku, po niedługich wcale ceremoniach, ciotka jakaś samej gospodyni i znajoma nam od wczoraj Marysia siadły do dyktowania pieśni; mnóstwo mnie one ich naśpiewały, pan Szantyr swoim zwyczajem takowe spisywał. Kiedy się już śpiewaczek zapasy wyczerpały, gdy ustało spisywanie pieśni ludowych, pożegnawszy moją grzeczną gosposię opuściłem gościnną wioskę. —

Niedaleko od wsi Lucyan napotykają się na rzece małe rafy, kolejno po sobie idące, następne: pierwsza z nich nazywa się Psiarnia; druga — Tańcy; trze-

cia — Filut; wysokie urwisko na lewym brzegu — Wysoka Pioniacha nazwana; czwarta pod Niemenczynem — Ciecieruki. Ku Niemenczynowi brzegi Wilij zaczynają być mniej pięknymi; tutaj już pozycja więcej płaska, gdzieniegdzie tylko wyniosłością urozmaicona. W tej okolicy rybołówstwo na Wilij przybiera charakter porządniejszy; rzeka jest podzieloną na części, które rybacy, najwięcej żydzi, trzymają w dzierżawie. Terrytorium, na wiorst dwie lub trzy ciągnące się, oplaca się dosyć drogo; przedsiębiorca ma prawo po tej przestrzeni próbować szczęścia w wodzie od brzegu do środka rzeki; bo znowu za wodę od środka do przeciwnego brzegu płaci drugi i w tamtej połowie na swoją dolę szczęścia próbuje. Wszyscy rybacy pilnują srogo swoich granic, których przekroczenie nieraz zawziętą kłótnię wywołuje, a nierzadko bojem się kończy. — W tej części Wilij, płynącej zawsze płytko i po kamieniach, po obu jej brzegach co chwilę widzieć można jakieś małe z kolców lub z kamieni chwilowo urządzone jazy, jakieś siatki i bucze pozastawiane — słowem, rozmaite przyrządy, na jakie się dowcip rybaków zdobyć potrafił. Rybę, w podobne przyrządy złowioną, a mianowicie niewielkie szczupaki, sznurkiem pod skrzel przez paszczę przeprowadzonym przwiązują do kolka wbitego na brzegu; — tak dowcipnym fortem ryba przytrzymana żyje i pluska się w wodzie dosyć długo nie będąc panią siebie, jako już należąca do rybaka. Podobną garstkę szczupaków w przejeździe moim przez to miejsce kupiłem u jednego z tych rybaków, i tak przywiązane do mego statku płynęły ze mną przez dzień cały. Wiosną i w jesieni rybakom praca obficie się wynagradza; bo ryby dużo zwykle łowią, Wilno wszystko zjada i dobrze płaci.

Część ta Wilij jest gęsto nasiedloną; nie widać wprawdzie po brzegu wiosek, lecz za to pojedyncze zaścianki, bądź szlachtą, bądź włościanami zasiedlone, co chwila jeden po drugim następują. Nie dojeżdżając do Niemenczyna, o wiorstę od tego miasteczka, na lewym brzegu Wilij, znajduje się Niemenczynek; — jest to piękny i czysty dom na samym brzegu Wilij pobudowany — własność oficera leśnej straży. Fruktowy niewielki ogródek i w nim trochę kwiatów różnobarwnych mieszkanie to okrążają; wszystko szczerlnie oparkanione, zamcyste i czysto utrzymane znamionują wojskowy porządek ich właściciela. Kiedy mój statek mijał to domostwo, powstał jakiś krzyk na brzegu, wołanie, usiłujące go zatrzymać; statek zatrzymano, a wołający nań był to niegdyś mój professor historyi przy b. uniwersytecie wileńskim, a dzisiaj kolega w Towarzystwie naukowem wileńskim — znany z uczonych pism swoich p. Paweł Kukulnik, któren z rodziną swoją z Wilna zwykle wyjeżdżał tutaj dla spędzenia lata na wsi, wśród zdrowego powietrza, jakiem całą pierśią oddychał nad pięknym brzegiem Wilij. Wzajemna radość stała się wypadkiem tak niespodziewanego spotkania się naszego; p. Kukulnik przedstawił mnie

żonie swojej, która zeszła była na dół, aby oglądać mój statek, poczem zaproszeni zostaliśmy do domu na obiad. Po dobrym obiedzie, po kilkugodzinowej światłej i przyjemnej pogadance, co jak poranna rosa roślinność całą, — ona moralne siły w człowieku pokrzepia, ruszyłem dalej, a pan professor popłynął z nami do Niemenczyna.

Niemenczyn, miasteczko rządowe, o trzy mile odległe od Wilna, w powiecie już wileńskim leżące, na trakcie pocztowym, idącym ze Święcian do Wilna, pomimo iż lichą ma powierzchowność, jest bardzo starą i oddawna znajomą posiadłość na Litwie. Bierze ono swoje nazwisko od małej rzeczki Niemenczy, tamże do Wilij wpadającej. Źródłosłów jej nazwania jest litewski. Wyprowadzają tę nazwę od *nie mana* — (nie moje) i *czynaj* — (tu) co znaczyłoby — tu nie moje lub tu cudze, z kąd niektórzy uczeni chcą wyprowadzić wniosek, iż w starożytności rzeczka ta stanowić mogła granicę dzielnicy któregoś z książąt litewskich. Trzy było Niemenczyny w tej okolicy, leżące obok siebie: pierwszy Jezuitów, należący do kościoła Śto-Jańskiego — Pod-krzyżem przez nich przezwany, dzisiaj własności hr. Tyzenhauza;* drugi — własność niegdyś dziedziczna Massalskich, którego Czerwonym Dworem przezwany, zamienionym został z kapitułą wileńską, przez ks. Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego, na Werki, stołowe dobra biskupów wileńskich, dzisiaj jest dziedzictwem p. Aleksandra Parczewskiego. Trzeci, ten właśnie, o którym mówić mamy, jest to miasteczko dzisiaj rządowe; nadane ono było pierwiastkowie przez Władysława Jagiełłę na fundusz probostwa niemenczyńskiego. Przez kilka wieków stanowiło ono owe bogate, do 40 tysięcy złp. rocznego dochodu wynoszące beneficjum; w 1803 dopiero roku biskup Strojnowski, będący rektorem uniwersytetu wileńskiego, wyrobił był u cesarza Aleksandra I., iż mu na pomnożenie dochodów uniwersytetu rozkazał oddać dziesięć najbogatszych beneficjów, w liczbie których znajdował się i Niemenczyn.

Gdy Niemenczyn wcielonym został do funduszu edukacyjnych uniwersytetu wileńskiego, rada uniwersytetu chciała takowe beneficya rozdawać jako emeryturę wysłużonym profesorom tegoż uniwersytetu ze stanu duchownego; lecz się część jego członków tej myśli gdy oparła, zapadła na radzie uchwała, iżby dochody z tych beneficyów postępowały do kassy uniwersytetu, wysłużeni zaś profesorowie stanu duchownego ażeby dla porównania ich ze świeckimi, z nich po 1500 rubli rocznie emerytalnej pensji pobierali; jakowe to postanowienie owoczesny minister oświecenia narodowego gdy utwierdził, stało się ono na przyszłość prawem dla uniwersytetu.

* O tem to właśnie Niemenczynie Sarbiewski w odzie swojej: „Pochwała ciszy zakonnej“ wspomina. — Ob. „Przekłady poetów polsko-lacińskich“ Wł. Syrokomli. T. V. str. 91.

Mała to jest i licha bardzo drewniana mieścina; dwie tylko murowane budowle to jest stacya pocztowa i karczma zajezdna ją ozdabiają. Trzecim w nim i najwspanialszym murem jest dom Boży: kościół zaledwo ukończony.

Kościół w Niemenczynie należy do liczby tych siedmiu pierwiastkowych fundacyi na Litwie, które Władysław Jagiełło na pamiątkę przyjęcia przez siebie wiary katolickiej wespół z królową Jadwigą w różnych miejscach swego kraju fundował w 1387 roku. Pierwiastkowy kościół z drzewa zapewne był pobudowanym i konsekrowanym pod tytułem Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi i Świętych Wojciecha i Jerzego. Wiemy o tem tylko z kronik i podań historycznych; pierwiastkowy albowiem przywilej Jagiełły na tę fundacyę, nie wiadomo przez jakis koleje zaginął, w nowem nadaniu w roku 1525 uczynionem przez Zygmunta I. zachowującym się dzisiaj w autentyku na pergaminie z wiszącą u niego pieczęcią w archiwum kapituły wileńskiej, król o zaginięciu poprzedniego przywileju tak się wyraża: „per incuriam aliorum plebanorum aut quadam alio sinistro eventu est perditum.“ — Zygmunt III. w r. 1623 a Stanisław August w 1776 powyższy przywilej potwierdzili. Aleksander Jagiellończyk do nadania pierwszego fundatora dodał proboszczom niemenczyńskim łąki zwane Okwiany, znajdujące się pomiędzy rzekami Wiliją i Niemenczą.

Beneficium niemenczyńskie tak dobrze uposażone, zostawało najczęściej w ręku wyższych dygnitarzy kościoła, jako biskupów i prałatów kapituły wileńskiej; miewało ono na swem probostwie kolejno to ludzi wielkiej zasługi, to imiona głośne z nauki; i tak pomiędzy znamienitościami, które kolejno to probostwo posiadały, zaliczyć się godzi trzech sekretarzy królewskich. Pierwszym był ksiądz Jan Kunicki, notariusz króla Zygmunta I. Od r. 1617 do 1651 ksiądz Wojciech Żabiński, prałat, dziekan i oficyał wileński, sekretarz Zygmunta III. był plebanem niemenczyńskim. Około r. 1680 znowu sekretarz królewski, kanonik i oficyał wileński, ksiądz Piątkowski, był tutaj proboszczem. W ostatnich dopiero czasach probostwo niemenczyńskie zdobyły imiona znakomitych pisarzy naszych. Stanisław August oddał był je ulubieńcowi swemu biskupowi łuckiemu, Adamowi Naruszewiczowi, któren z okazji otrzymanego tego probostwa napisał piękną odę.* Historyk ten i poeta był przez lat kilkanaście proboszczem w Niemenczynie. Później kiedy beneficium niemenczyńskie wcielonom zostało do funduszów uniwersytetu wileńskiego, na żądanie rektora Jana Śniadeckiego, znakomity litewski naturalista, ksiądz Bonifacy Jundziłł przyjął administracyę tego probostwa; a w 1824 r. od uniwersytetu wileńskiego otrzymał na probostwo niemenczyńskie prezentę uczony autor słownika łacińsko-polskiego, ksiądz Floryan Bobrowski.

* Tom I. str. 222.

Pierwszy kościół drewniany istniał do r. 1680, w którym to roku, gdy pierwotny całkiem się przez starość do upadku był nachylił, owoczesny proboszcz niemenczyński, ksiądz Cherubin Jankiewicz — nowy drewniany kościół swoim kosztem wybudował, a Mikołaj Słupski, biskup gracyanopolitański takowy konsekrował. Dopiero w pożarze wynikłym w Niemenczynie 20. Sierpnia 1842 r. wspólnie z miasteczkiem zgorzał kościół niemenczyński ze wszystkimi sprzętami i z całą zakrystią.*

Pod tę porę, kiedy tem nieszczęściem kościół dotknięty został, proboszczem w Niemenczynie był rektor seminarium wileńskiego, X. Antoni Kitkiewicz. Strata domu Bożego przejęła głębokim smutkiem pobożnego kapłana; wnet powziął on myśl wymurowania nowej świątyni na miejscu pogorzałego kościoła, i przyzwaawszy Boga na pomoc, wspierany dobrymi chęciami swych parafian, szczególniejszemi wsparty pomocą gorliwego obywatela, p. Aleksandra Parczewskiego, rozpoczął swe dzieło. Gromadzić się zaczęły potrzebne materiały, jakoby cudownem jakimś zrządzeniem zbierały się zasoby i gromadziły się fundusze, tak, iż w 1848 roku Maja 15. dnia ręką rządcy owoczesnego dyecezyi wileńskiej, a dzisiaj arcybiskupa i metropolity wszystkich kościołów katolickich w Rosyi, JWX. Wacława Żylińskiego, kamień węgielny do tej budowy położony został, na którym urósł ten piękny kościół pod nazwaniem Ś. Michała Archanioła, mający 17 sążni długości, 8 $\frac{1}{2}$ szerzyny, o jednej wysokiej i kształtnej wieży od frontu, któren dzisiaj Niemenczyn zdoła.

Kościół Niemenczyński wewnątrz zręcznie łączy dwie sprzeczności z sobą; jest on wzorem wykwiintnej prostoty, a razem dziełem okazałego stylu. Rozmiary jego są wielkie i wspaniałe, lecz żadnej w nim niema ozdoby zbytecznej, przesadzanej, jak to po naszych kościołach bywać zwykło; wszystko w jednostajnym stylu składa spokojną harmonję z sobą, tak, iż kaźden widzi, że to nie resztki ani pozostałości z innego jakiego składane, stosowane z sobą, lecz że wszystko umyślnie do tego kościoła jest tylko robionem, a kaźden szczegół wył onany z taką precyzją, z tak wielką elegancją i smakiem, że nic on do żądania niepozostawia. W wielkim ołtarzu jest dużego rozmiaru olejny obraz Przemienienia Pańskiego, kopija z Rafaela, wykonany przez ś. p. pannę Różę Parczewską.

Kiedym podziwiał kościół w Niemenczynie, ksiądz Kitkiewicz już nie żył; nie mogłem ucałować ręki kapłana, co w tej świątyni Bogu poświęconej, ze zgromadzonych przez żebraninę cegiełek, zostawił dla kraju piękną i świetną pamiątkę. Miesiąc zaledwo upłynął od daty śmierci ks. Kitkiewicza. Bóg mu dozwolił życia, jakby dla skończenia tego dzieła; stworzył ks. Kitkiewicz kościół i gdy go ostatecznie zakończył, Bóg go powołał po nagrodę do siebie, jakiej mu ludzie dać nie mogli.

* Obacz historyczną wiadomość o kościele niemenczyńskim, napisaną w 1846 r. przez X. S. K.

W tej chwili pracowano nad murowaniem niewielkiej kaplicy, wznoszącej się kosztem pana Aleksandra Parczewskiego, przeznaczonej na groby rodzinne tej rodziny. Ma ona stanowić jeden z rogów w projektowanym przyszłym oparkaniu tego kościoła.

O milę za Niemenczynem, omija się na prawym brzegu majątek Lubów. — Była to niegdyś ulubiona rezydencja księdza Mikołaja Tyszkiewicza, kanonika katedry wileńskiej, proboszcza kaplicy Św. Kazimierza. Tutaj zwykle pobożny ten prałat lato przepędzał. — Po Mikołaju Tyszkiewiczu, przy podziale fortuny jego, Lubów się dostał Wincentemu Tyszkiewiczowi, referendarzowi W. X. Litt., znanemu na Litwie założycielowi gimnazjum w Swisłoczy. Po nim drogą układową, wziął te dobra brat jego stryjeczny Dominik Tyszkiewicz. Wincenty, syn Dominika był następnie dziedzicem Lubowa, od którego nabyła te dobra siostra jego pani Slizieniowa, dzisiejsza Lubowa dziedziczka. Lubów za czasów kanonika Tyszkiewicza, urządzonym był jako rezydencja możnego, lecz staroświeckiego właściciela; bo w staroświeckim urządzeniu się inne wcale niżli dzisiaj, zachowywano warunki. Kiedy gust tegoczesny za ozdobą powierzchowną goni — staroświeccy ludzie wygodę mieli na pierwszym celu; to też i w Lubowie był mały, lecz wygodny domek drewniany, w którym kanonik mieszkał, a któren zwykle pałacem nazywano. Liczne i głębokie kanały w pewnym szyku pokopane, okrążające dziedziniec, napełnione były rybą; stare odwieczne drzewa cień dawały, a duża o dwóch piętrach we wspaniałym stylu murowana brama z pokojami na górze, z mieszkaniem obszernym na dole, wprowadzająca przybyłego gościa na dziedziniec, mieściła liczny dwór jego; albowiem oprócz sekretarza, kapelana, oprócz rządców i dworzan, trzymał ksiądz kanonik liczną muzykę; która mu wieczorami codziennie w ogrodzie grywała. — Od owej murowanej bramy rozpoczął był kanonik zabudowanie swojej rezydencji; po niej miał się murować odpowiedni pałac, lecz gdy mu w owym drewnianym małym domku na starość wygodnie i potulnie było — nie przybrał się ks. kanonik do budowania pałacu; na bramie tylko zakończył swoje przedsięwzięcie. Po ks. kanoniku długo u następców jego, którzy tutaj rezydencji swojej nie mieli, też same budowy bez opieki utrzymywały się. Młodsze dopiero pokolenie dziedziców, gdy w Lubowie zamieszkało, przekształciło starą kanonika siedzibę na nowoczesną rezydencją. Zniknęło wszystko, co osiemnastego wieku smakiem trąciło, a gdy żartowniś jakiś z powodu niestosownych rozmiarów pomiędzy murowaną bramą a drewnianym pałacem dowcipnie powiedział, iż lękać się godzi, aby kiedyś pałac przez bramę nie uciekł, rozbito tę dwupiętrową bramę; bo też mówiąc prawdę przez lat wiele zaniedbaną gdy była, mur w niej rujnujący się, nader już wielkich reparacji potrzebował.

Za Lubowem naprzeciw zaścianku Bretaniszek, znajduje się w Wilij niebezpieczny kamień Karszunem zwany. Dalej naprzeciw dworu Biry wyspa (Sołka*) a przy niej rafa Olchowiec. Dalej za nią następuje rafa Zarawok. Przed tą rafą, jakkolwiek mniej niebezpieczną, gdy nas noc ciemnościami swemi okryła, bezpieczeństwo radziło przestać u brzegu, czekając nowego dnia ukazania się. W miejscu, gdzieśmy się mimowolnie zatrzymali, zapasy duże drewna na brzegu złożone, obwieściły nam, żeśmy byli o wiorstę tylko od owej papierni, założonej niegdyś przez Auera, po którego smutnym upadku przeszła na własność bankiera Hejmana, a dzisiaj jest ona zakładem należącym do fabrykanta Piehlau. Tu przestaliśmy do dnia; gdy słońce zaledwo ozłociło piękny poranek, przepłynęliśmy będącą przed nami rafę, przebyliśmy zaraz za nią następną, Byry zowiącą się. Po kilku uroczych zakrętach jeszcze, po których woda szybko statek nasz niosła — na zielonej, drzewami zarosłej, wysokiej górze, stanął przed oczami naszymi, jakby czarodziejską siłą w powietrzu zawieszony, ów wspaniały pałac włoskiej architektury, z kształtną przy nim wieżą, rezydencja księcia Witgenstejna w Werkach, którego piękne formy znane są wszystkim z Albumu Wileńskiego p. Wilczyńskiego. Na brzegu u podnoża góry w zakładach gospodarskich, w obszernym domu dla podróżnych i dla przybyszów na pohulanek z miasta przeznaczonym, gdzie i ja przybiłem dla odpoczynku przed Wilnem i dla uregulowania się z pracami memi, które przed komisją naszą produkować miałem, już się wszystko krzątało około dziennej pracy; tutaj u podnoża tej wspaniałej, jedynej może w kraju naszym góry, żyli ludzie całkiem obojętni na podania, jakie się spełniły kiedyś na jej wierzchołku. Nic to ich nie obchodziło, że w puszczech jej wierzchołek zarastających z grzechu popełnionego przez Krywe-Krywejtę — urodziło się dziecko, które, aby pokryć winę ojca, — za którą go ciężka kara czekała, w strojnej w świecidelka kolysce na wierzchołku tej góry, w tym właśnie miejscu, gdzie dzisiaj rezydencja się znajduje, na drzewach zawieszona, a przez polującego na onczas księżęcia znalezione i wychowane, stało się owym arcykapłanem, znanym w dziejach Litwy pod nazwiskiem Lizdejki, od którego jakoby znakomity dom Radziwiłłów ród swój wieździe, że od płaczu dziecięcia, po litewsku werkt się zowiącego, pochodziło nazwisko tego miejsca, przy owym zdarzeniu przez księcia nadane. — Nie wiedzieli oni o owej wielkiej bitwie, stoczonej w 1390 r. pomiędzy Krzyżakami, dowodzonemi przez marszałka zakonu Engielharda Rabe ze Skirgajłem, namiestnikiem Władysława Jagiełły, dowodzącym Litwą; ani

* W języku ludowym duża wyspa na rzece Wilij Soła się nazywa, mniejszą przez zdrobnienie Solką nazywają. Gdy zechcemy szukać początku tej nazwy, podobieństwo jej z insula lub isola najprędzej nas uderzy. Podobieństwo to języka litewskiego z włoskim w nazwaniu wyspy, czyby nie wspierało owego domysłu historyków o Palemonie, którego gdy ze swojemi towarzyszami wylądował na brzegu rzek naszych, dał pierwszy początek pokoleniu litewskiemu.

o tem, że w 1659 r. Hetman nasz Wincenty-Korwin Gosiewski po bitwie pod Werkami dostał się był w niewolę Jerzemu Dolhorukiemu: wszystko — cokolwiek na tle przeszłości stanowiło historję tego miejsca — wszystko to było rzeczą martwą dla mieszkańców tego pięknego nadbrzeża. — Żyli oni tutaj, jak żyją wszędzie u nas ludzie, walcząc tylko z obecnie nas dotykającymi troskami. Gdzież można było poznać od nich wiadomości o urodzeniu Lizdejki przed wiekami, kiedy zapytani przezemnie, nie wiedzieli, czyli dzisiaj, współcześnie z niemi żyjący młody książę znajduje się obecnie w Werkach, i co się na górze w książęcej rezydencji działo — całkiem nie wiedzieli.

XIV.

Werki od najdawniejszych czasów należały do książąt litewskich. Władysław Jagiełło po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, gdy na gruzach pokruszonych pogańskich bałwanów i na miejscu zgaszonego Znicza w Wilnie kościół katedralny Św. Stanisława fundował, w 1387 r. nadając ziemne fundusze biskupstwu Wileńskiemu, do tychże i Werki wcielił. Piękna i wspaniała góra, panująca nad całą okolicą, u stóp której okazała rzeka poważnie się wywijając długim i szerokim szlakiem ku Wilnu bieży, zdrowe na jej wierzchołku powietrze, przepełnione tysiącem wyziewów aromatycznych, jakie gęste dziewicze lasy i kwitnące na niej krzewy, dawały — było zapewno powodem, iż biskupi litewscy miejsce to za letnią rezydencją dla siebie obrali. Mieszkanie biskupów wileńskich z drzewa pobudowane, stać miało dawniej na najpiękniejszym brzegu tej góry, t. j. tam, gdzie się dzisiaj okrągła altana znajduje. W 1519 roku umarł tutaj Wojciech II. Radziwiłł, biskup wileński. Król Polski Władysław IV. po dwakroć w czasie swojej dwukrotnej bytności w Wilnie, to piękne miejsce nawiedzał. Około 1633 r. biskup wileński Abraham Wojna poraz pierwszy króla w swojej letniej rezydencji przyjmował; w 1639 r. powtórnie król będący w Wilnie na zaprosiny biskupa Wojny, Werki odwiedził i przez tegoż suto podejmowany dzień tam bawił. Jak Werki w on czas ładnie wyglądały i jakie przyjemne wrażenie na królu i otaczających go panach sprawić musiały, wyraża to list

Sarbiewskiego, znajdującego się podówczas w orszaku królewskim, pisany z Wilna do Stanisława Łubieńskiego, biskupa Płockiego, w którym ten poeta o Werkach tak się wyraża: „Biskup wileński zaprosił króla do Werek, gdzie świeższe powietrze, dziwnie piękny widok na rzekę, wybrzeża, ładne pagórki i długie pasmo lasów, zdrowie i dobrą myśl daćby powinny; wszelako jak sądzę, tam był pierwszy powód królewskiej choroby.“ — Abraham Wojna w tychże Werkach w 1649 roku życia dokonał.

Gdy budowy drewniane w biskupim dworze przez czas postarzały i ku upadkowi się nachyliły, w 1700 r. biskup Wileński Konstanty-Kazimierz Brzostowski pierwszy pałac w Werkach wymurował. W ośmdziesiąt lat potem Ignacy książę Massalski, wszedłszy w umowę z kapitułą wileńską przez zamianę na Czerwony-Dwór uczynioną, został dziedzicem Werek, umowa ta z kapitułą przez sejm i nuncyusza potwierdzoną została.*

Książę Massalski po nabyciu Werek, rozległe dla tego miejsca zakreślał plany; mając synowicę w zamęciu za księciem de Ligne, postanowił zrobić z Werek ordynację dla de Lignow i aby to przyszłych ordynatów siedlisko, wspaniałem uczynić, rozpoczął na wierzchołku góry budowanie nowej rezydencji. Wawrzyniec Gucewicz; w ówczas młody architekt, którego swe pierwsze wykształcenie w nauce, winien był księżęciu Massalskiemu, a następnie profesor uniwersytetu użytym został przez biskupa do prowadzenia tej fabryki. Według planów Gucewicza pomiędzy 1780 a 1790 r. stanęły z muru dwie oficyny przeciwległe; jedna z nich na lewo od wjazdu, ta sama, która przerobiona i dodatkami ozdobiona, z piękną wieżą z jednego, a rozkosznym ogrodem zimowym z drugiego końca powiększona, stanowi dzisiaj owe wspaniałe książąt Witgenstejnów letnie mieszkanie; druga — na prawo, co dwór ich mieści. Z frontu stał wspaniały pałac o dwóch piętrach z flagłami, z wielką kopułą pośrodku; długi szereg plaskorzeźb, mistrzowsko odrabianych, przedstawiających rolnictwo, zdobił zewnętrzne ściany tego pałacu.

Pałac w Werkach nigdy ostatecznie wykończonym nie był. Pod ten czas, gdy go budowano, książę biskup mieszkał zawsze w oficynie. Tam prowadził on to wspaniałe i wystawne życie, o którym nam naoczni jego świadkowie, jakby o dziwach jakichś, jeszcze opowiadali, gdzie nie kontent książę biskup z tej liczby gości, co sami go w Werkach odwiedzali, sporządził czterokonne długie powozy, które kizkami nazwał; tych przeznaczeniem było bezprzestannie odbywać kursa do Wilna i nawozić ztamtąd do Werek gości, coby smaczne jego obiady zjadali. — Potem śmierć niespodziewana biskupa Massalskiego, która go w 1794 r. zaskoczyła w Warszawie, wstrzymała ostateczne wykończenie tej budowy. W 1792 r. jeszcze

* Starożytna Polska M. Balińskiego i Ign. Lipińskiego poszyt XXVI. str. 200.

umarł książę de Ligne, zostawiwszy tylko jedną córkę, poślubioną Potockiemu. Gdy ona była jedyną dziedziczką księcia de Ligne, zesłała na niczem myśl uczynienia ordynacyi z Werek. Po śmierci księcia Massalskiego, Potocki, małżonek jedynej dziedziczki fortuny księcia, w imieniu żony objął te dobra. Potocki nie zamierzał nigdy zamieszkać na Litwie; ztąd też administrowanie owemi obszernemi dobrami w spuściźnie po Massalskim na nich spadłemi, w tej prowincyi położonemi, zdało mu się rzeczą uciążliwą; z tej jedynie przyczyny wszystkie te dobra Potoccy wyprzedali; Werki nabytemi zostały przez Stanisława Jasieńskiego b. marszałka powiatu Wileńskiego. Nowy ich dziedzic nie był człowiekiem tak bogatym, ażeby mógł tę wspaniałe wznoszącą się rezydencję biskupa wileńskiego przyzwoicie utrzymać, a cóż dopiero wykończyć? — Oficynę po Massalskim zajął był marszałek Jasieński na swoje mieszkanie; napełnił ją obrazami, pozostałemi po biskupie, które przy nabyciu Werek tam i ówdzie porzucane znalazł i w jedno zgromadził. — W zbiorze tym znajdowały się niektóre obrazy wysokiej nawet wartości pod względem sztuki, bo ksiądz biskup wileński, marzący tylko o przyszłej wspaniałości swoich Werek, takowe za granicą skupował i przepłacał. — Na utrzymaniu tej oficyny ograniczył się marszałek Jasieński; reszta budowli, a mianowicie sam pałac, niedokończony przez księcia biskupa, gdy w tym stanie pozostał, coraz w większą się ruinę zamieniał. Przejście wojsk francuzkich przez Wilno w 1812 r. jeszcze się mocniej do jego upadku przyczyniło, albowiem zapisaniem jest w pamięci ludzi, iż oddział wojska rozłożony w Werkach kwaterunkiem, gdy w tej chwili nie znalazł przygotowanego na opał drzewa, niecierpliwie, a rozpasane żołnierstwo z owego pałacu na prędsze załatwienie tej potrzeby belki wypiłowało.

Pałac, o którym mówimy, za czasów fundatora miał tylko lewe skrzydło nakryte i banię miedzianą w rodzaju kopuły, która środkową część tego pałacu przykrywała; prawe — stało bez okien, bez sufitów i bez dachu; w lewym jego skrzydle urządzoną była kaplica; był to nieduży skromny pokój bez żadnych bogatych ozdób, z prostym bardzo w nim ołtarzem; zamiast klęczników lub ławek, krzesła zwyczajne okręwały ściany. Posadzka w nim woskowana składała się z dużych kwadratów dębowych bardzo pospolitego wyrobu stolarskiego. Gdyby z wykończenia tej kaplicy chciano sądzić o reszcie ozdób, mających stanowić wewnętrzne upiększenie w tym pałacu; wypadaloby uczynić wniosek, iż ksiądz biskup, tak szczerze uposażywszy część jego zewnętrzną, nie myślał o wspaniałem wykończeniu wnętrza tej okazałej budowy; lecz nie tak się działo w rzeczy samej; — inne wcale i obszerne jak się zdaje musiał mieć plany w swej myśli dla świetności Werek książe Massalski. — Gdzieżby on chciał oszczędzać wydatku na okazałość wewnętrzną, kiedy znalezione później przez dzisiejszych dziedziców tego pięknego miejsca, w dawnych składach

cynkowe rury w ogromnej massie, z takim wielkim kosztem z zagranicy sprowadzane, dowodziły jasno tego, iż książę biskup zamyslał o sztucznem sprowadzeniu wody z dołu na górę, kiedy ku temu na dziedzińcu przed frontem pałacu wykopany niegdyś prostokąt za dni naszych jeszcze wskazywał jakby miejsce na kanał przeznaczone. W średniej części na poddaszu pod ową miedzianą banią, urządzo-
nym był około 1826 r. naprędce mały teatrzyk, na scenie którego grywały niekiedy panny z pensyonu żeńskiego Kozłowskich, któren przez trzy lata pomieszczony w przeciwległej mieszkaniu marszałka Jasińskiego oficynie, w Werkach się utrzymywał.

Okolo roku 1840 Werki przedanemi zostały przez marszałka Jasińskiego na imie Leonildy z książąt Bariatyńskich księżnej Sayn-Witgenstejn-Berleburg. Zdaje się, iż to prześliczne od przyrodzenia miejsce, przeznaczonem było do odegrania świetnej kiedyś egzystencji. — Długo ono swojej pięknej chwili wyglądało, długo czekało na to pokolenie możnych dziedziców, któreby skorzystać mogło i umiało ze wspaniałego tego położenia, jakie kaźden w Werkach podziwia. Przejście to Werek na dziedzictwo księżnej stało się właśnie tą oczekiwaną epoką ich prawdziwej świetności. — Między rokiem 1840 a 1845 zajęto się urządzeniem tej rezydencji; sam książę, jako pan pełen smaku i znajomości, kierował tem dziełem. Zbito wprawdzie do fundamentów stary Massalskiego pałac — ten pomnik wspaniałości przeszłowiecznej możnego biskupa, którego zatrąę w owym czasie, jako historycznego zabytku na Litwie oplakaliśmy wszyscy; lecz za to, na to miejsce ileż tam powstało innych a pięknych nowoczesnych budowli i ozdób, malowniczo pokręcone dróżki, krzyżujące się bezprzestannie z sobą, oplotły całą górę, mnóstwo świeżych trawników rozeszło się na jej grzbiecie; mnóstwo prześlicznych, a różnokolorowych kwiatów, nieznanych i niewidzianych na Litwie, rozsypało się na tej przestrzeni. W sadzawkach z kamienia wykutych na tak wielkiej wysokości, wytrysnęły wspaniałe fontanny, stucznie tłoczone i ciągnięte z rzeczki płynącej u podnóża tej góry — a owa skromna po Massalskim i Jasińskim oficyna urosła jeszcze w jedno piętro i przedzierzgnęła się w ów piękny pałac książęcy, do którego od brzegu Wilij bita z kamienia droga, opasując całą górę w koło, gościa prowadzi.

Zaledwo książęta w Werkach stale zamieszkali, a jużci rezydencya ta napelniać się zaczęła najrzadszemi przedmiotami dłota i pędzla największych tegoczesnych mistrzów. — Najpierwszy to był zbiór tak bogaty wyborowych obrazów na Litwie. Książę Ludwik Witgenstejn, sam znawca i miłośnik sztuk pięknych, zgromadzając takowe dla dogodzenia swojej pańskiej fantazji, nie myślał bynajmniej o tem, jak wielką tem czynił przysługę prowicyi, której przez nabycie Werek stał się obywatelem: kiedy przez ułatwienie wszystkim przystępu do swojej galeryi, pierwszy oswoił publiczność wileńską z nazwiskami tegoczesnych malarzy, i dał jej

niejakieś pojęcie o sztuce, na którym zbywało mieszkańcom tego miasta, jako nie mającym na czem go kształcić. — W zbiorze księcia Witgenstejna znajdowały się obrazy olejne pędzla Gudina, Horacego Verneta, Charleta, Graneta, Belanger'a, Decampsa, Leopolda Roberta, Verbeckovena, Wapperssa, Izabej'a, Maesa i t. d. — Prócz tego znajdowało się nader kosztowne album, złożone z samych akwarelli roboty najpierwszych rysowników w Europie; były tam popiersia rozmaite z kararskiego marmuru i prześliczne rzeźby ze słoniowej kości. — Potem następowały kosztowne zbroje z Nieświeżskiego Zamku z zaniedbania wydobyte, do Werek przeniesione, starannie oczyszczone i umiejętnie ustawione. Samo urządzenie stolarszczyzny i sztuczne wyroby drewniane, które ozdabiały wnętrze mieszkania, a szczególnie wnętrze sali jadalnej, są tak niepospolitego rysunku, bogactwa w wykonaniu, iż składając prawie arcydzieło w swoim rodzaju, stanowią jedyny wzór w Litwie, co ciekawość publiczną podniecając, nie w jednej głowie rozwija pomysły gustu, rysunku, kompozycji — resztę zaś publiczności oswaja z tym nieznanym dotąd u nas przykładem wykończenia ozdób wewnętrznych, używanych na świecie przez ludzi możnych w ich mieszkaniach. Zatem idzie długi szereg wspaniałych egzemplarzy z królestwa roślinnego, ułożony poraz pierwszy w tak nazwany ogród zimowy. Szklarnie podobnego rodzaju nie jednokrotnie po domach możniejszych obywateli z większym lub mniejszym przepychem powtórzone, przestały już być rzadkiem zjawiskiem: wszakże ta, co zdobi pałac w Werkach, zasługuje na wspomnienie, iż ona była najpierwszym ogrodem zimowym pobudowanym na Litwie.

Po ułożeniu w niejakiś porządek notat, spisywanych po drodze, po obrysowaniu na prędcie brulionów map i widoków w albumie, gdy poczułem w moich pracach jakąś gotowość, z jaką mogłem już stanąć w Wilnie przed komisją archeologiczną, która odemnie zażąda sprawy z mojej podróży po Wilij, d. 22. Czerwca o godzinie 4. po południu z Werek popłynąłem ku staremu Gedymina grodowi. Długo jeszcze ów pałac w Werkach, jakby na powietrzu nad zielonością lasów zawieszony, jaśniał po nad nami swoją świeżą białością i pięknymi kształty; bo Wilija, płynąca od Werek, gdy się w lewo pochyla, długą przestrzeń prostem prawie korytem przebywając, jadącemu po niej pozwala się nasycać dowoli tym pięknym widokiem; i byłby z niego podrózny oczu nie oderwał, gdyby na prawym brzegu, na podobnej, jeśli nie wyższej od werkowskiej górze, tylko dalej nieco od brzegu, nie wznosił się okazały kościół murowany, o dwóch wieżach, do którego od dołu długie, wspaniałe, na pięć kondygnacyj podzielone kamienne wschody prowadzą. Jest to kościół i klasztor niegdyś XX. Dominikanów — owa znana na całej Litwie Kalwarya, pierwiastkowo fundowana z drzewa przez Jerzego Białozora, biskupa wileńskiego, w 1664 r., a skończona przez następcę jego biskupa Aleksandra Sapiechę,

następnie zaś z muru dźwignięta w 1755 r., tak jak ją w tej chwili widzimy, kosztem i staraniem samychże XX. Dominikanów. Kościół ten konsekrowany był p. t. Znalezienia Św. Krzyża przez Tomasza Zieńkiewicza, suffragana wileńskiego. Do tego to uświęconego miejsca, corocznie na Zielone Świątki lud z okolic, z miasta i z dalekich nawet stron prowincyi pobożne pielgrzymki odbywa. Wyobrazić sobie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, zapelniających to piękne miejsce, różnej barwy i różnego stroju, przechadzających się pobożnie przez trzy dni od stacyi do stacyi wśród tak majestatycznego i czarującej piękności przyrodzenia, wśród którego kościół ze swemi stacyami jest położony, byłoby to chcieć stworzyć wielki obraz, którego ani pędzel mistrza dostatecznie oddać, ani pióro opisać nie potrafi. Trzeba go widzieć oczami własnemi w naturze i zapamiętać tylko w myśli, aby mieć pojęcie o wielkości i piękności tego obrazu.

Niedaleko za Kalwaryą, w mniej pięknem wprawdzie, lecz w bardzo rokosznem miejscu, zawsze po nad brzegami Wilij, przy ujściu do niej niewielkiego strumyka owego Cedronu, prześlicznie spadającego z gór, przepływającego kapliczki Kalwaryi, z kąd lud czerpie wodę wśród swej pobożnej pielgrzymki, mija się duży kościół o dwóch wieżach z klasztorem przy nim, opasany w koło wysokim murem, z za którego zielone ogrody i piękne drzew wierzchołki swoje podnoszą. Droga, idąca z Wilna do Werek, oddziela te mury od brzegów wspaniale płynącej Wilij. Jest to Trynopol — dzisiaj letnia rezydencya prawosławnego litewskiego metropolity. Pięknie on i świeżo na tle zielonych lasów wygląda; i parkan murowany, co go w koło okrąża, świeżemi malowidłami, umieszczonemi w jego wyźłobiach, przechodniom się zaleca. Powiadają, iż ten niegdyś ubogi klasztor i kościół XX. Trynitarzy, na ich nowicyat przed laty przeznaczony, fundowany w 1695 r. przez biskupa Brzostowskiego, a w 1832 r. skasowany, dzisiaj, za obecnie mieszkającego tam JW. metropolity Józefa Siemaszki, jest zmienionym w rokoszne mieszkanie, napelnione kosztownemi obrazami, jest zbiorem pięknych kwiatów i drzew rzadkich w pełen smaku ogród ułożonych.

Od Trynopola płynący Wiliją, gdy z jej poważnym zakrętem statek się mój zawrócił, zniknęły nam z przed oczu wspaniałe Werki, straciliśmy owe dwa piękne opactwa i, kiedy usiłujemy zpoufalić się z nowem położeniem brzegu:

— „Zabora Hołub“ — donośnym głosem Dziadulo sternik wykrzyknął na burzącą się przed nami wodę, w którą statek mój wchodził.

Była to jedna z tych małych raf, które się nie postrzegają nawet, kiedy przez nie się przepływa. — Za Hołubem przechodzi się drugą rafę, Łażnią zwaną, a wraz z tą, na lewym brzegu Wilij, mała rzeczka, co wiruje i pędząc po kamuszkach, bezprzestannie szupiąc, do Wilij wpada. Przy ujściu tej rzeczki przybiłem do

brzegu; bo to brzeg historyczny, bo na nim była niegdyś letnia rezydencya książąt litewskich, a około niej obszerny zwierzyńiec, od czego i miejsce to i rzeczka Wierszupką się nazywa; bo, jak pisze p. Kirkor w swoich Przechadzkach po Wilnie, wierszupis po litewsku zwierzyńiec się nazywa. — Zejler, piszący w 1663 r. o Polsce i Litwie, którego pan Kirkor cytuje, o tej książąt rezydencji powiada, „iż wspaniały pałac króla Zygmunta I. drewniany, leży przy lesie od strony zamku niedaleko Wierszupki, dla zabawy i odpoczynku wzniesiony. Przy nim zwierzyńiec, gdzie rozmaite zwierzęta z wielkim nakładem utrzymują się.“ Rezydencya ta książąt znajduje się już umieszczoną na wielkim planie Brauna w 1550 r. fantastycznie, dowolnie i bez pomiaru wykonywanym.* Tutaj więc książęta litewscy latem po trudach rządów nad krajem wolne od pracy godziny na rozrywkę i na łowy dzikiego zwierza, na tę wrodzoną Litwinom namiętność, poświęcali. Kiedy i przez kogo pierwsiastkowie ta rezydencya założoną została — nikt o tem nie wie. Milczą w tym względzie litewskie dzieje, ustały nawet ustne podania. — Pod jakim panowaniem przestała ona być letnią rezydencją panujących, jakie koleje zniszczenia ta piękna posada przechodziła i jak z królewskiej na prywatną własność przeszła — to również należy do wiadomości dzisiaj zatraczonych i zapomnianych. W niemowlęctwie przy kołysce, nie śpiewano nad nią dziecięcych pieśni, jak również przy skonie nikt „Requiem“ nie powiedział; urodziła się ona cicho, umarła spokojnie, choć przecie życie tej letniej rezydencji, tak potężnych w swoim czasie książąt litewskich, miałoby grubą księgę, gdyby kto jej dzieje spisywał; co jak czyni, dzieła i rządy, tak rozkosze i rozrywki panujących należą do historii. Letnia ta rezydencya, pod pierwszymi książętami litewskimi, do wielkiej wspaniałości dochodzić nie musiała. Owe nasze Kiejstuty, Witoldy, wśród wojen, w obozach znaczną część czasu trawiąc, do twardego i surowego życia nawykli, wygod zbytkowych nie cenili i za nimi się nie ubiegali. Skóra dzikiego zwierza była dla nich posłaniem, a twarde dębowe ławy — zwyczajnem siedzeniem; i ów pałac książęcy nad Wiliją, przeznaczony na chwilowy odpoczynek po łowach, nie miał bez wątpienia żadnych ozdób, wygod i konfortu. Dopiero, jak się domyślać trzeba, iż za panowania Zygmunta Augusta dwór ten powiększony, ozdobiony, zmienił się w świetną rezydencję. — Książę ten za życia ojca, rządcą Litwy, mieszkający ciągle w Wilnie, nie żałował bez wątpienia ani kosztu, ani starania dla uczynienia swojej rezydencji wspaniałą, boć przecie z historii znajomem jest wszystkim zamilowanie tego książęcia w zbytku, w elegancji i w rozkoszach życia. Gdy mu przyszło jeszcze osadzić tutaj ulubioną swą małżonkę Barbarę, w miłości dla której, jak to wiemy, nie znał granic, letnie to mieszkanie książęcia litewskiego napełnić się musiało wszystkim, na co

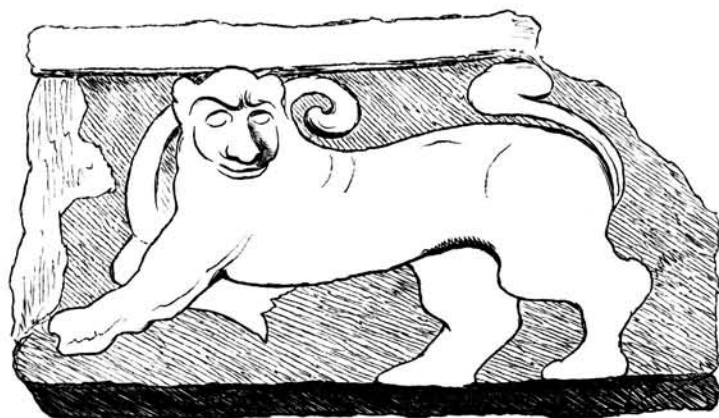
* Przechadzki po Wilnie i jego okolicach — Jana ze Śliwina str. 153.

tylko w owoczesnym zbytku możnemu litewskiemu władcy stało. Że królowa Barbara tutaj przebywać musiała, niemasz w tem żadnej wątpliwości; przy ujściu albowiem rzeczki Wierszupki do Wilij widzialną jest dotąd wyraźnie prostokątna wklęsłość w ziemi, Łażnią Barbary do dziś dnia nazywająca się. Oczewiście, musiało to być miejscem kąpieli ulubionej Augusta żony. Czyby rafa na Wilij, przed tem miejscem będąca, nie od tej daty Łażnią przez flisów nazwana, dotąd tę nazwę zachowała?

Dzisiaj terytoryum dawnego dworu i zwierzyńca książęcego po nad Wierszupką, należy do dziedzictwa obywatela Aleksandrowicza. Wysokie stopy gruzu, porosłe po wierzchu piękną murawą, pokryły ową obszerną książąt litewskich rezydencyę; i w tej chwili, kiedy ją oglądam, żyto, zapowiadające właścicielowi plon obfity, pokrywa powierzchnię wzgórze, na której wznosił się frontem do Wilij sam pałac książęcy. Niżej ku brzegowi tej rzeki, znajdują się rzędem po sobie idące dwa znaczne nieforemne pagórki z gruzu, porosłe murawą, będące szczątkiem jakiejś budowli, należącej do składu książęcej rezydencyi. Od tych równolegle, tylko nieco na prawo, ku Wierszupce część fundamentu jakby od kwadratowej wieży — dalej na samym brzegu Wilij, przy zejściu rzeczki Wierszupki, około miejsca nazywanego Łażnią Barbary — szczątki jakiegoś niewielkiego pawiloniku; odtąd znowu wszedłszy na górę, po nad brzegiem rzeczki Wierszupki — długi szereg podobnych pagórków nieforemnych przez kupy gruzów uformowanych, wskazują miejsce gdzie ciągnęły się długim szeregiem oficyny i inne budowle, w których się mieścił dwór i czeladź książęca.

Szacowne to odkrycie winniśmy p. Adamowi Kirkorowi. Badacz ten starożytności krajowych, zbierając materyały do swoich Przechadzek po Wilnie, pomimo iż śladu najmniejszego ruin nie było, znając jednak to miejsce z podania, w r. 1853 kosztem własnym przedsięwziął tam swoje poszukiwania. W przeciągu jednego miesiąca Lipca odkopał on nad brzegiem Wilij ową część fundamentu od wieży i trzy ściany od pawilonu przy Łażni Barbary. Ponad Wierszupką, na górze, odkopał znaczną część fundamentów i dolnego pomieszkania w oficynach zamkowych. W tych oficynach odkrył on małe kwadratowe izdebki, stanowiące niegdyś sklepy czy sklady. W sklepie, pod gruzami, znalazł p. Kirkor ową statuę Świętego Michała z drzewa rznietą, która się dzisiaj w muzeum wileńskim znajduje, jak niemniej szczątki kafli od pieca, wygrzebanych z pośrodku gruzów, pokrywających miejsce pałacu książęcego; na jednej z tych znajduje się wyraźny wizerunek Zygmunta I. w koronie i z berłem, nieco uszkodzony.

Wykopał tam p. Kirkor i kilka monet rzadkich z czasów Władysława Jagielly, Aleksandra i Zygmunta I. Na tem się zakończyły poszukiwania na Wier-



szupce tego uczonego starożytnika litewskiego; bo gdy go inne naukowe prace od tej czynności oderwały, dalsze odkopywanie zatraconych szczątków tej książąt litewskich rezydencji zaniechanem zostało. Przedmiot ten ojczysty, tyle drogi sercu litewskiemu, tak wymownie modli któregoś ze swoich bogatszych dzieci o trochę kosztu ponieść się mającego na rozkrycie jego wnętrzości, z których każdy wydobyty szczątek stanowiłby szacowną własność krajową. Plan tego miejsca, stanowi pamiątkę mojej tam bytności.



XV.

Do grzebania się w gruzach Wierszupce nie przyszło, bom śpieszył do Wilna, które ztąd przy ostatnim już większym zawrocie rzeki, na prawo w całej swojej piękności przedemną zajaśniało. Wieże i krzyże tylolicznych kościołów, poprzdzielane czerwonymi z dachówek, a popleśniałymi od starości starych gmachów dachami, gęste, jakby niegdyś dziewicze lasy Litwy na wiecznym niebios błękitie zarysowały się, a wśród nich wydatnie wystąpiła owa jaśniejąca zielonością, wyższa nad wszystkie gmachy, góra, co Gedyminowych jeszcze szczątki murów na sobie dotąd dźwiga. Płynący po Wilij, jako historyograf tylko tej rzeki, nie byłem w obowiązku dotykać dziejów starego miasta, nad jej brzegiem położego; i nie potrzebowiałem czynić tego, albowiem już przede mną pp. Baliński, Kraszewski, za nimi Kirkor całą przeszłość tej stolicy, w najdrobniejszych jej szczegółach, rozkryli i objaśnili. Zabiło tylko we mnie serce mocniej i krew zawrzała goręcej na ten widok okazały miasta, w którym każda stopa ziemi jest historyczną, gdzie młode lata pośród nauki, pośród wspomnień dawnych, wśród pustoty i rozrywek młodzieńczego wieku tak szybko mnie przeleciały, a dokąd już dzisiaj z poważniejszą myślą, z po-

żyteczniejszymi dążnościami się przybywa, gdzie człowiek złożyć już może swoją pracę — tę okruszynę w zakresie prac ogólnie dokonywanych, jako dług święty, należny ojczyźnie, na wypłacenie którego pierwszą zaciągnął pożyczkę w przybytku nauk tej stolicy. — Mijały jedno za drugą świątynie, pałace, miejsca historyczne; głębsza uwaga odbiegła od nich, bo myśl się cała skupiła była w tej chwili do owego miejsca, gdzie mnie wysiąść na brzeg przyszło, gdzie mnie koledzy moi w naukowym zawodzie przyjazne pozdrowienie, razem zebrani, oddać mieli. Przypomnienia historyczne wszystkich miejsc, które po sobie kolejno z przed oczu moich znikwały, odświeżały się i lotem błyskawicy przemijały — i stanął ostatecznie przed memi oczyma ów pałac świetny z obszernym ogrodem, niegdyś na ruinach litewskiego Panteonu, jak podanie niesie, o którym i Strykowski w swej kronice opisuje, w 1695 roku przez Kazimierza Sapiechę, wojewodę wileńskiego i hetmana w. W. Ks. Litewskiego, zbudowany; i dalej za nim, na miejscu świątyni pogańskiej Mildy, owej starożytnej bogini miłości, ten pałac Paców, zamieniony w klasztor XX. Trynitarzów, a przy nim ów piękny kościół, z włoską prześliczną kopułą, podług planu Jana Caora, architekta z Rzymu sprowadzonego w 1668 r. sumptem w. hetmana litewskiego, Michała Paca wykonany, bogatą sztukateryą z gipsu włoskich artystów Piotra Perelli z Medyolanu i Giowani Galli z Rzymu ozdobiony, niemniej uposażony obrazami i freskami Altamonte, malarza, sprowadzonego z Rzymu, z tą dwuznaczną dewizą łacińską na frontonie, noszącą ślady dowcipu scholastycznego, jakimi obficie rzucano w owej dacie:

„Regina Pacis funda nos in pace.“

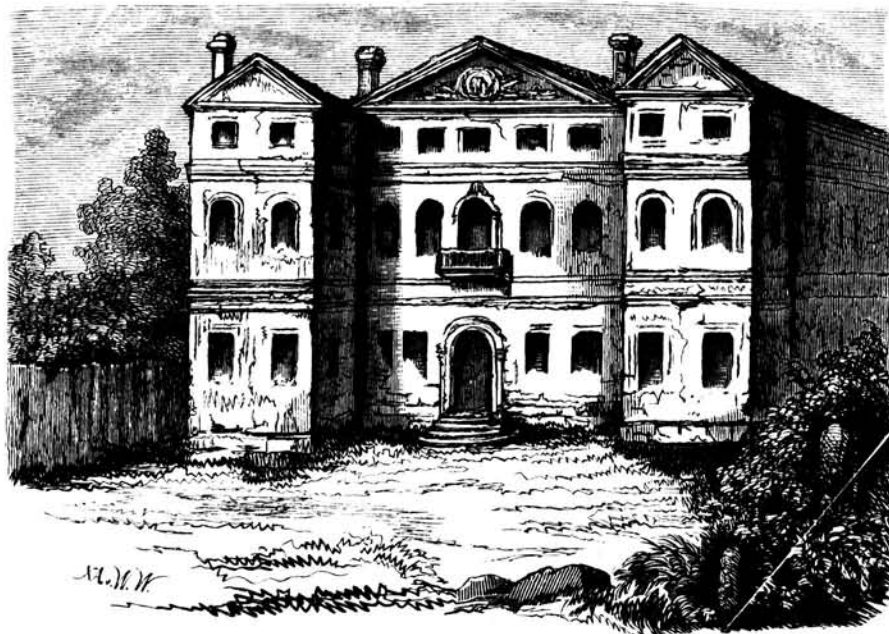
Trzeci z kolei przychodziło ominąć wspaniałą pałac Słuszków. Ten w 1690 r. przez Dominika Słuszkę, hrabię na Czasznikach i Bychowie, wojewodę Płockiego zbudowany nad rafą, Zamkową zwaną, tak blisko dotyka rzeki naszej, iż wchodzić jedną ścianą do wody przez fale rozkołysanej tutaj Wilij, bezprzestannie jest uderzanym. — Myśl stawienia oporu falom Wilij i toczenia ciągłej walki z jej wodą, musiała kierować fantazyą założyciela tego wielkiego gmachu, kiedy na szczycie jego rozkazał wmurować tablicę marmurową, z wyrytym na niej szumnym łacińskim napisem, w następującej treści:

„Zwycięzca żywiołów, uśmierzywszy nurty Wilij i odparłszy przyległe góry, sam się bez ich pomocy, jak nowa góra w powietrze dźwignął.“

Tablicę ową z dziwnym tym na niej napisem, ciekawy oglądać może dzisiaj w Muzeum Wileńskim, do którego ofiarowaną ona została przez pana Aleksandra Parczewskiego.

Pałac ten Słuszków, ze wszystkich dawnych pałaców wileńskich jedynym jest dzisiaj, któren zachował na zewnątrz dawne swoje kształty. Do dziś dnia nietknięte

pozostały w nim po czterech rogach pawiliony w kształcie wież czworobocznych; każda oddzielnym od korpusu dachem pokryta; do dziś dnia istnieje ów pierwotny nad wchodowymi drzwiami fronton śpiczasty, a na nim gipsaturą wyrobione trofea i owe szlaki z gipsatury, na około cały pałac okrążające.



Nie na opisie zewnętrznym, ani na owym wspomnionym marmurze, kończą się dzieje pałacu Słuszków: miał on swoją część we wspomnieniach historycznych, odnoszących się do Wilna, i tak: po zrujnowaniu dolnego Zamku za Jana Kazimierza, do czasu jego odbudowania, mieszkali tutaj królowie polscy, przybywający kolejno na mieszkanie do Wilna, tu też mieszkał w 1705 roku przez pół miesiąca sprzymierzeniec Augusta II., car Piotr Wielki.

Po śmierci Słuszków, wierzyciele zajęli ten piękny pałac, co przechodząc rozmaite koleje, dostał się na własność rodziny Zajkowskich, w ręku których, wspinała się niegdyś Słuszków komnaty i sale, przerobiono na browar piwny; w wieżach bocznych pozostały tylko rozkoszne mieszkania dla lokatorów. — Po Zajkowskich, obróconym on został na wojenne koszary Wileńskiego garnizonu, i takim jest w tej chwili, gdy go mijamy. Tuż na prawo miejsce, gdzie za pamięci jeszcze mojej na prawym brzegu Wilij stał niewielki kościółek Św. Teresy, fundowany przez Szymona Karola Ogińskiego, a w 1837 r. przy wezbraniu Wilij pędem tej rzeki do połowy oderwany, wszystkim świecił czas jakiś swoim wnętrzem, aż i ta druga jego połowa runęła i w kupę gruzów się zamieniła. Naprzeciw tego miejsca, Wilenka

rzuca się w objęcia starszej swej siostry, by z nią razem iść w dalszą drogę. — Zdaniem p. Balińskiego, rzeka Wilna, czyli dzisiejsza Wilenka, przepływając dolinę Swentoroga oblewała naturalnem swem korytem Zamkową górę z przeciwnej strony. Gedemin, chcący swój Zamek warowniejszym uczynić, rękami brańców na Rusi rozkopał łożę teraz płynącej Wilenki; wybraną zaś z niej ziemią, górę Zamkową powiększył.* Dolina Swentoroha, na której dzisiaj wspaniała kościół katedralny stoi, i w starożytności była miejscem, czci Bożej poświęconem. Historycy powiadają, iż miejsce to nazwanem zostało od księcia tego nazwania, którego około roku 1268 panował; pierwszy on, jakoby powziął był myśl oczyszczenia tej doliny z lasów i poświęcenia jej na służbę bogom. Gerymund, syn jego, tę wolę ojca wypełnił; na oczyszczonej z lasów dolinie, przy ujściu Wilenki do Wilij, wznosił świątynię Znicza, na niej ciało ojca spalił i tę dolinę imieniem rodzica doliną Swentoroha nazwał. Inni, jako Strykowski, Kojalowicz, X. Grzybowski z języka łacińskiego nazwę tego miejsca wyprowadzić usiłują; najtrafniej może pan Michał Baliński ją z litewskiego i ruskiego języka wywodzi. — U tego historyka dolina Swentoroga właściwie zwała się Szwyntas ragas, od wyrazów litewskich szwyntas — (święty) i ragas — (róg, ołtarz), i razem miało nazwisko Swiaty-roh, t. j. z ruskiego święty róg, dla tego, że ta dolina kończyła się jakoby klinem ziemi w rogu między Wiliją a Wilną rzekami leżącym.**

Arcyciekawym zaprawdę dla każdego z nas byłby opis miejsc i świątyni w pogańskiej Litwie, istniejących w XIII. w. Podobnym opisem świątyni Perkuna, będącej na Swentoroha dolinie ponad brzegiem Wilij, przysłużył się nam pan Kraszewski. Posłuchajmy więc opisu tej świątyni, jaki nam ten historyk uczynił: „Na dolinie Swentoroha, pisze on, rozciągał się las dębowy święty u ujścia Wilenki do Wilij. Godna uwagi, że wszystkie znaczniejsze świątynie stawiano zawsze u zejścia dwóch rzek w widłach. Tu stała świątynia Perkunasa, która powstać miała w roku 1265, zbudowana z kamieni. Założycielem jej miał być Gerymund. Długa na 150 łokci, szeroka na 100, wysoka w samych ścianach — 15. Dach nad nią nie było; od strony rzeki Nerys było jedno wniście; przy ścianie przeciwnej w sklepieniu trzymano węże, żaby, ropuchy. Część świątyni pokrywała wysoka budowa, szesnaście łokci nad ściany podniesiona. W tej budowie wyższej był posąg Perkunasa, przywieziony z lasów od Połangi. Mur w części był kamienny, w części był ceglany. Tu także u budowy wyższej stał ołtarz na trzy łokcie wzniesiony, na dwunastu stopniach zbudowany; a każdy stopień półtora miał łokcia wysokości; szerokości trzy, i balasami był otoczony; ołtarz miał w kwadrat łokci dziewięć, na trzy łokcie był

* Historia miasta Wilna Mich. Balińskiego. 1836 r. T. I. w przypisku 9. na str. 10.

** Historia miasta Wilna T. I. przyp. 7. str. 8—9.

wysoki, w górze otoczony żubrzemi rogami; w ogóle dziewięć łokci nad ziemią. — Każdy stopień miał być poświęcony pewnemu znakowi niebieskiemu. W tem widziemy nie małą trudność; Litwa bowiem zapomniała już była wielu rzeczy, a najpewniej i indyjskiego Zodyaku. Stopnie te raczej oznaczały miesiące księżycowe. Na ołtarzu wysokim palono ofiary w pewne dni świąteczne; na nim trwał ogień wieczny Znicz, strzeżony przez kapłanów. Ogień ten we wgłębieniu środkowem płonął, tak umieszczony, że go ani deszcz, ani wiatr zgasić nie mogły. We wnętrzu ołtarza chowano sprzęty i narzędzia ofiarnicze. U wejścia było mieszkanie Krywe-Krywejty; przy niem stała wieża okrągła, na której nie obroty słoneczne, (wedle słów kronikarza) ale stosownie do zwyczaju Litwy i prawdopodobniej postrzegano: nowie księżycowe, Puspilis (półpełnia), pełnie Pilnatis, ubywanie księżycy Delezka (przytępienie, obcięcie) i ostatnią kwadrę Pusdylis (półobcięcie). Zmiany te księżycowe mają właściwe nazwy litewskie, a nawet przeciąg czasu, w którym nie widziano Satelity — Tarpios (czas pośredni, środkujący). Z nowiem podnosiły się ofiary na stopień wyższy. Cegły wmurowywane w ścianę wieży ze znakami pewnemi, oznaczały lata (Metay). Podanie mieć chce, iż przy założeniu świątyni, wyrocznia nadniemnowa przepowiedziała jej trwanie tak długie, jak wiary w kraju, i sto dwadzieścia dwie cegły okrągłe przysposobić na doroczne wmurowywanie poleciła. Cegła ostatnia miała znak podwójnego krzyża. Cegły te w bokach wieżycy długo miały być widoczne; gdy burzono świątynię w 1387 r., miało być ich sto dwadzieścia jedna wmurowanych.“ *

Z obiema temi rzekami — Wilenką i Wiliją toczą się niemniej i wielkie religijne pamiątki przeszłości; w Wilence znaleźli śmierć męczeńską pierwsi opowiadacze wiary Chrystusowej wśród pogańskiej Litwy. — W 1336 albowiem roku Franciszkanie z krzyżem w ręku, ze słowem Bożem na ustach, gdy naukę świętą rozkrzewiać chcieli, lud bałwanom kłaniający się, pierwszych opowiadaczów Chrystusowej religii przez szyderstwo na krzyż — ten symbol wiary, którym ci missyjonarze prawą drogę wśród pogaństwa oczyszczając przyszli, powbił — i tak strąconych z wysokiej góry, w płynącej Wilence potopił. Prawda ta, za którą ci święci męczennicy życie położyli, w lat piędziesiąt jeden wróciła znowu do Litwy; lecz już wróciła z taką siłą i mocą, iż się jej pogaństwo więcej oprzeć nie mogąc, ustąpić musiało. Władysław Jagiełło, gdy katolicką wiarę przyjął i ze swą małżonką królową Jadwigą w 1387 r. do Wilna przybył, rozpoczął dzieło nawracania Litwy od pokruszenia bałwanów i od chrzczenia ludu w imie nowej wiary. — Tutaj, z rozkazu W. Książęcia zagaszono Znicz pogański, zburzono świątynię Perkuna, a wszystkie

* Litwa — Starożytne dzieje. J. I. Kraszewski. T. I. str. 152.

w niej znajdujące się bóstwa poniszczono. — Bałwany drewniane rąbano i palono, kamienne kruszono i rzucono do rzeki Wilij — słowem — w przeciągu dni kilku, przy silnej woli panującego księcia zatopione w Wilij, zniknęły całkiem ślady owej wiary, którą praojcowie Jagielly tak gorliwie wyznawali i silnie popierali. Dno zatem naszej Wilij, zapewne i Wilenki, oblewającej Swentoroha dolinę, jest prawdziwym składem najciekawszych starożytności litewskich; jest to muzeum narodowe, ukryte w dnie Nerysy, nad którego otworzeniem jakieś z następnych litewskich pokoleń będzie pracowało; bo jednemu nie pozwolono jest zrobić wszystko. Pokolenie nasze wywiązało się już jakkolwiek ze swego posłannictwa, kiedy myśl dobrą rzuciło, kiedy opracowało najtwardsze do tego materiały, przez co drogę do dalszych badań otworzyło i przystęp do nich łatwiejszym uczyniło; iść po niej dalej a dalej w imię nauki dla pożytku ludzkości, jest to powinność następnych pokoleń której sercu Litwina przypominać nie trzeba.

Wszystkim aż nadto znanem jest podanie o założeniu Wilna, o owym turze zabitym przez Gedymina, o śnie jego wytlómaczonym przez Krywe-Krywejtę, które o tyle może być prawdziwym, o ile są prawdziwymi wszelkie początkowe legendy, przez lud powtarzane. Każda rzecz przecie musi mieć jakąś myśl, czy prawdziwą, czy fałszywą o swoim początku, a zawsze ubraną w jakąś niezwykłość, bądź w strojne szaty, bądź w ubogie łachmany. Czy tur był tego powodem, czyli inna jakaś przyczyna kierowała myślą założyciela Wilna, to jest pewna, iż Giedymin pierwszy swój zamek założył na dzisiaj zwanej górze Zamkowej. Z niej w miarę szerzących się potrzeb, lub w miarę zaludniającego się dworu, gdy się na ciasnym wierzchołku góry wszystko wygodnie pomieścić nie mogło — Zamek Książęcy spuścił się za Wilenkę i na dolinie Swentoroha rozszerzać się począł. Liczne mury, wznoszące się na tej dolinie, zwały się zamkiem dolnym, które z górnym łączyły wschody, galerią pokryte. Zamek dolny, jak nam piszą historycy, z otaczającymi go budowlami, świątynią Perkunasa, mieszkaniem najwyższego kapłana i innymi, dawniej oprowadzony był murem, stanowił gród warowny pod zasłoną Zamku górnego, nazywał się po litewsku Krewaj-pilis t. j. gród krewy, z kąd powstało ruskie Krywoj-grad i polskie Krzywy-gród. Przy końcu placu stała brama murowana, Zamkową zwana. Dolny Zamek restaurowanym i znacznie powiększonym był przez Zygmunta I. i Zygmunta-Augusta. — Po nieszczęsnem panowaniu Jana Kazimierza, stopniowo przychodził do upadku, a w 1797 i następnych latach został rozebrany.* Szczęściem, iż w 1793 roku niejaki architekt Ross zrysował plan Zamku Książęcego, jakim on był przed ostatecznym jego zniszczeniem. Autentyk tego planu miał się

* Przechadzki po Wilnie i jego okolicach przez Jana ze Śliwina — str. 13.

znajdować w zamożnej bibliotece Szczorsowskiej hr. Adama Chreptowicza. Kopię z niego mnie udzieloną, zachowuję w zbiorach moich.

Widziemy na tym planie, iż do ostatecznego rozbicia jego w 1797 roku zamek jagielloński oprowadzony jak dawniej murem, oprócz budowli mieszkalnych, oprócz kościoła katedralnego Świętego Stanisława i kaplicy Świętego Kazimierza złączonej galeryą z zamkiem, zawierał jeszcze w swoim obrębie klasztor księży Rochitów, kościół Najśw. P. Maryi, dom emerytalny, dom kustosza, których dzisiaj śladu niema, ów długi arsenał i inne. Niektóre budowle, oprócz świeżo za naszej pamięci pobudowanych, we wnętrzu cytadeli dzisiaj znajdujące się, są jeszcze szczątkami pozostałymi z murów zamku dolnego, a występy nieforemne starego muru, wyglądające z wnętrza góry na północno-wschodniej jej części są ostatnimi już szczątkami owej galeryi wschodowej, która górny zamek z dolnym łączyła. Na tym dolnym zamku w 1545 w komnatach królewskich było smutno i cicho; panowie litewscy wyjeżdżający i przybywający w bramach zamkowych wymieniali się bezprzerwanie; smutną była i cała służba królewska, bo tam wewnątrz, chorobą złożoną, dokonywała życia małżonka Zygmunta, królowa Elżbieta, córka Ferdynanda, króla rzymskiego. Gdy podówczas jej małżonek sprawami publicznymi zajęty, bawił przy swym królewskim ojcu w Krakowie, młoda pełna wdzięku wdowa po Gasztoldzie, córka Jerzego Radziwiłła, kasztelana wileńskiego i hetmana W. X. Litewskiego, jako należąca do orszaku pań otaczających Elżbietę, przy śmiertelnym łożu, smutna, ostatnie posługi umierającej oddawała królowej. Czyniła to z tak nieporównanym wdziękiem, z taką prostotą, z tak wielkim zapomnieniem siebie, iż tem wszystkich zdziwiła i ujęła hetmańska córka. Dnia 15. Stycznia umarła królowa. Zamek i kraj cały pokrył się był żałobą po dobrej królowej. Zygmunt na tę wieść żalością po niej przejęty, zjechał z Krakowa do Wilna, aby już zmarłej swej małżonce, świetny pogrzeb wyprawił. Uwiadomiony o troskliwych staraniach, jakie Radziwiłłowska córka w ostatnich chwilach Elżbiecie niosła, przez wdzięczność dla niej odwiedzać począł dom hetmański. — Odwiedziny smutnego i stroskanego króla coraz się częściej w Radziwiłłowskim pałacu powtarzały; Barbara coraz piękniejszą, coraz młodemu królowi się zdawała. — Od czulej wdzięczności dla pięknej kobiety krok jest jeden tylko do miłości, i ten już August był przestąpił: już w sercu jego porodziła się gorąca miłość dla młodej wdowy. Książę hetman nie żył już pod tę porę. Wspaniały jego pałac przytykał do zamku dolnego; ogrody ponad Wiliją położone przerzynał mur graniczny, a furtka w nim ukryta zbliżała stosunki zamku dolnego ze wspaniałym zamkiem Radziwiłłów.

Tak nam opisuje pałac Radziwiłłowski p. Baliński w Pamiętnikach o królowej Barbarze (str. 20.): „Był to dwór wspaniały z muru, przez włoskich architek-

tów zbudowany wznosił się on w nader miłym położeniu nad rzeką Wiliją. Otaczały go cieniste z lip i jodeł szpalery, a co większa, obszerne sady wisien i jabłoni, rybne sadzawki, osadzone bukietami wonnych kwiatów i krzewów z hyzopu, rozmarynu, lawędy, nardów, jaskieru, bukszpanu, bzu i fijołków. Widok z głównych komnat pałacu rozciągał się na obszerne mury obu zamków: dolnego i górnego, z kąd sięgając dalej, oko spoczywało na ciemnym tle gór Antokola, porośłych odwiecznymi borami, a nigdy nie odstępujących daleko nurtu pięknej Wilij.“ — W tym to pałacu urodzona w 1520 r. cudnej piękności, rzadkich cnót i przymiotów i wielkiej pobożności dziewczka, otrzymała była jak najświetniejsze owoczesne pańskie wychowanie: oprócz języka ojczystego, którym od urodzenia mówić jej nakazano, umiała ona wszystkie modlitwy po łacinie, szyła zręcznie w krosienkach hafty, bez czego w owej dacie wychowanie nie było zupełnem, językiem zaś włoskim, któren był na on czas językiem eleganckim salonów i dworu, mówiła tak płynnie, jak swoim ojczystym. — Gdy wybór męża obyczajem starodawnym nie należał wcale do tej, która miała być jego żoną, w osiemnastym roku dopiero życia, kiedy zaledwo świetna i głośna po całym kraju piękność hetmańskiej dziewczki w pełnej rozwinęła się krasie — rodzice przeznaczili dla niej męża. Tym mężem był starego w Litwie pochodzenia, rodem równający się, a dostatkami znacznie przewyższający dom Radziwiłłów — Stanisław Gasztold, wojewoda nowogrodzki. Jemu więc Barbara w 1538 r. poślubioną została. Cztery lata zaledwo pożycia z Barbarą, nie dały Gasztoldowi potomka; umarł on w r. 1542; na nim się zakończył dom Gasztoldów na Litwie, a młoda wdowa po nim, rzuciwszy swoje pańskie zamki w Geranonach, przeniosła się na życie do Wilna, pod dozór ulubionej matki, która już od roku wdową była. Tak więc w pałacu Radziwiłłowskim dwie ciężkie zbiegły się żaloby z sobą, do ukończenia których młoda wdowa po Gasztoldzie nie przestąpiła za próg matczynego domu. We trzy lata potem widzieliśmy ją przy łożu śmiertelnem królowej, poczem nastaly coraz częstsze odwiedziny króla. Miłość była ich jedynym powodem; August, śmiercią królowej uwolniony od ślubów małżeńskich, niczem nie związany, pan młody, przystępny, w obcowaniu przyjemny, nie dziw, iż łatwo pozyskać potrafił wzajemną ku sobie sympatyą i serce młodej wdowy, twarde i nieprzystępne dla wielu z owoczesnej młodzieży, którzy do niego drogę sobie napróżno otworzyć usiłowali. Piękna i coraz piękniejsza Barbara, rozwijająca z razu wszystkie zasoby zalotności, na jakie tylko dowcip kobiety zdobyć się może, w celu podobania się swemu wielbicielowi, którego miłość zaszczyt domowi i dumie jej własnej przynosiła, niepostrzeżenie sama w nią się uwikłała; już zalotna wdowa pokochała nawzajem Zygmunta. Odtąd król zapalony namiętną miłością, nie taił jej zgoła Barbarze; ta gdy ją przyjęła, poszły nieprzewidziane spotkania, tajemnicze schadzki, które jedna

tylko miłość tak zręcznie urządzać umie. Furtka w murze, rozgraniczającym ogrody Radziwiłłowskie z Zamkowemi, przepuszczająca nieraz tajemnie króla ułatwiała spotkania dwóch kochanków. — Lubo ta miłość nader była czystą, choć się ich spotkania z całą należną przyzwoitością odbywały — wiadomość o miłostkach króla nie długo była tajemną; z różnemi wnioskami, jakie tylko złość i podejrzliwość ludzka tworzyć umie, rozniosła się ona po całej Litwie i Koronie. Zazdrość z tego powodu ku Radziwiłłom i bojaźń o wywyższenie się ich domu nad inne, były powodem, iż potwarzami obrzucono dom hetmański i uwłaczać zaczęto niezaprzeconym cnotom pięknej kochanki Augusta. — Wieście o tej miłości, dochodzące do Krakowa, niepokoiły Zygmunta Starego, nie podobały się Bonie i siostrom Augusta; lękano się z tej miłości niestosownego dla przyszłego króla Polski i Litwy związku, obawiano się, aby Zygmunt August z nią się nie ożenił, i dla tego listami ciągle pisywanemi, odwrócić go od tych zamiarów chciano; lecz wszystkie zabiegi, zapóźno już rozpoczęte, słabemi i niedostatecznemi były. Miłość namiętna Zygmunta Augusta ku pięknej Barbarze do takich już była urosła rozmiarów, że jej ani powaga sędziwego ojca, ani wpływy sióstr i matki, ani nareszcie smutna kolej następstw złą wynikłych, jakie przewidywać w kraju wypadało, zatrzymać już nie mogły. Radziwiłłowie, dumni z tej króla miłości dla ich siostry, w związku przez nią z królewskim domem, gdy przyszłe wyniesienie się nad innych swego domu widzieli — całą siłą popierać myśl ożenienia się króla z Barbarą postanowili. Niepokoiły ich krzywdzące wieście roznoszone po Litwie o tajnych schadzках króla z Barbarą; w tym celu dwaj Radziwiłłowie: Mikołaj, podczaszy litewski, brat rodzony Barbary i drugi Mikołaj także, brat jej stryjeczny, po naradzie uczynionej z matką, postanowili prosić króla, aby, gdy nie ma zamiarów szczerych żenienia się z ich siostrą przestał bywać w ich domu. Stanąwszy więc przed Augustem, gdy mu pokornie, lecz z całą godnością przelożyli krzywdę, jaką ich siostrze przynosi to częste i tajemne bywanie króla w ich domu, Zygmunt obiecał, iż szanując sławę Barbary, nigdy odtąd w ich domu nie będzie. Łatwą było rzeczą wyrzec te słowa, lecz ich dotrzymanie dla rozkochanego serca Augusta, stało się rzeczą nie podobną. Powiększające się w miłości przeszkody, dają zwykle większy wzrost uczuciom; i po tem przyrzeczeniu danem Radziwiłłom, jak wielka toczyła się walka w sercu Zygmunta Augusta, pomiędzy namiętną miłością dla jego kochanki a powinnościami króla, obowiązkiem honoru, dotrzymania danego słowa i poszanowania sławy ulubionej jemu Barbary: ten tylko pojąć potrafi, kto w życiu podobną walkę stoczył. Tu się musiała przeważyć w sercu Augusta miłość dla Barbary nad wszystkie obowiązki jego stanu; tutaj musiał powziąć niezłomną wolę pojęcia jej za żonę, kiedy pomimo wszystkich uczuć delikatności i honoru, które jak wiemy, iż Zygmunt August w wy-

sokim bardzo stopniu posiadał, złamał dane przez siebie Radziwiłłom słowo, bo tajemnicza furtka poprowadziła go napowrót do ogrodu, gdzie się spotkał z ulubioną sobie Barbarą; znowu poszły tajemne schadzki, nie w pałacu już, gdzie przyrzekł był Radziwiłłom więcej nigdy nie bywać, lecz w ogrodzie, w cieniu owych lip odwiecznych dokonywane. — Tam się między dwoma kochankami ułożył tajemnie ów związek ślubny, którego w obliczu tylko matki, braci — Mikołajów, Stanisława Kieżgalla — Stolnika W. Litewskiego, Stanisława Dowojny i kapłana błogosławiącego o północy w kaplicy pałacu Radziwiłłowskiego, łącząc piękną wdowę po Gasztoldzie z Zygmuntem Augustem, uczynił ją królową Polaków. — Ostatni okres życia Barbary, jako królowej, był, jak to wiemy z historii pasmem ciągłych cierpień i przeciwności. Jeszcze nie ozdobiła była czoła królewską koroną, a już ostre ciernie oploty jej biedną głowę; gniew umierającego ojca, złość i nienawiść Bony, przestąpienie praw korony, a ztąd oburzenie obrażonej szlachty, zawieszanie na koniec panów litewskich wszystko się razem skupiło, aby trapić tę biedną kobietę. Zygmunt August w miłości swojej dla żony stały, w postanowieniu nieugięty, walczył ze wszystkimi przeciwnościami, odpychał mężnie nawałnice krajowe, jakie to ożenienie na niego i małżonkę jego sprowadzało. — Kochał on Barbarę nad wszystko, kochał ją jak żonę godną jego miłości. Za życia jeszcze ojca, kiedy małżeństwo z Barbarą ukrywać musiał, gdy go sprawy publiczne przywoływały do boku ojca, do częstego rozstawania się z ulubioną małżonką zmuszały, chcąc jej miłą i wdzięczną postać mieć zawsze obecną, jak równie i postać swej pierwszej żony pięknej Elżbiety, którą za życia pan ten wielce miłował, a po śmierci drogą pamięć przywiązania ku niej złączył z miłością dla Barbary, wizerunki obu tych żon na blasie olejno malowane, w oprawę aksamitną w kształcie książki osadzone, nosił zawsze król z sobą. — Barbara na nim ubrana jest w czarną aksamitną czapkę z podwiązaniem pod brodę ze złotogłowu. Sądzimy, iż ten wizerunek królowej ze wszystkich nam znanych powinien być najpodobniejszym.*

Ubiegły wieki, poschodzili ze świata i poodradzali się w nowych pokoleniach ludzie, pozmieniały się wyobrażenia, potrzeby i formy społeczne, a imię dobrego króla i cnotliwej niewiasty przechowały nam dzieje tak świeżo, tak zdrowo, tak żywo, iż zdaje się, że historia miłostek Zygmunta z jego małżonką należy do bardzo niedawnej przeszłości. Nie znam w dziejach naszych szczegółu, którego by znalazł tyle współczucia i tyle popularności w narodzie; jest jakaś niewypowiedziana sympatya, jakiś urok, przywiązany do nazwiska bohaterki; wieleż to talentów zna-

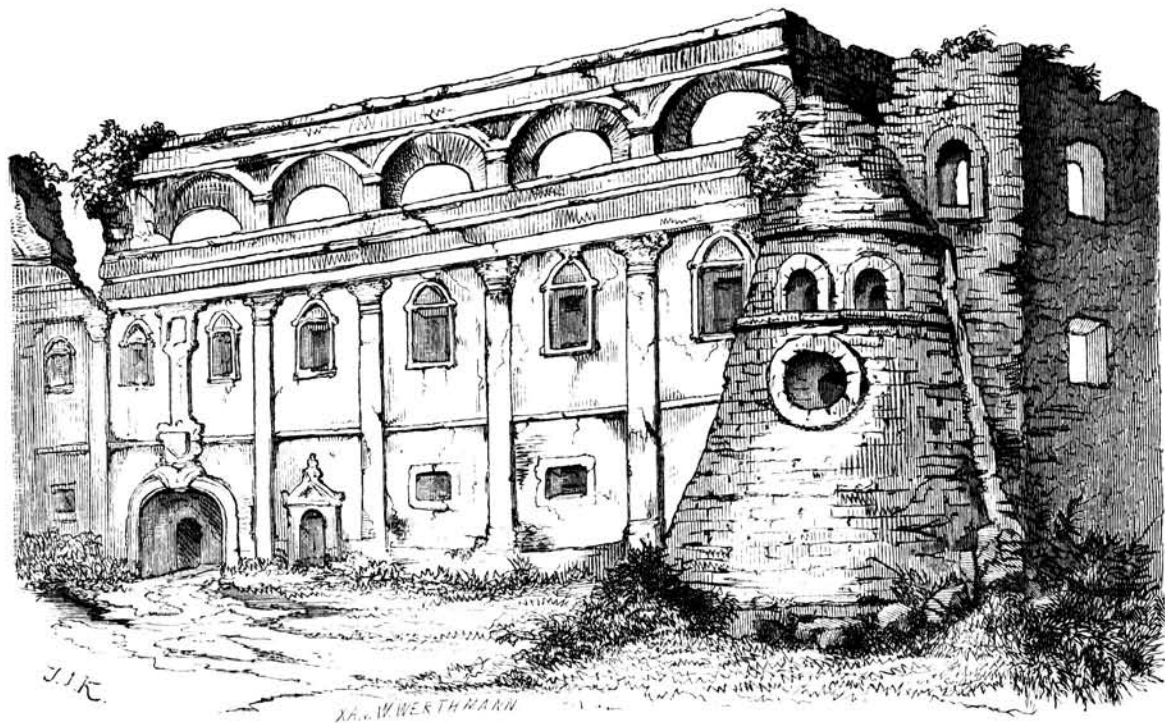
* Szacowne te wizerunki, znalezione w archiwach nieborowskich a będących dzisiaj własnością Zygmunta księcia Radziwiłła, ogłoszonymi nam zostały przez pp. hr. Przędzieckiego i bar. Rastawieckiego w XI. i XII. zeszytach *Zarysów Sztuki Średniowiecznej*.

mienitych poświęciło swe pióra temu przedmiotowi. Hr. Wężyk, Feliński pięknym wierszem tragedye z tego przedmiotu napisali. W polskim oryginalnie napisany, potem na francuzki język przetłómaczony, ukazał się romans p. t. Barbara Radziwiłłówna. P. Michał Baliński zebrał całe pamiętniki o tej interesującej królowej; naostatek znany nasz poeta p. Edward Antoni Odyniec piękny o niej napisał dram. Nie dziw zatem, iż w naszej Litwie, w każdej rodzinie, co czytać umie, jakiegoby ona stanu nie była, aż do wyrostków, nieświadomych historyi, z upodobaniem powtarzanem jest imię Barbary Radziwiłłówny.

Wspaniały i obszerny pałac hetmana Jerzego Radziwiłła — w którym się urodziła piękna Barbara, gdzie swoje wdowie po Gasztoldzie lata przy matce przepędzała, gdzie naostatek, miłością Zygmunta szczęśliwa, stając się jego żoną, zaślubiła razem długi szereg cierpień, pod nazwiskiem pałacu Barbary ogólnie w Wilnie znany, został wzniesionym w wieku XIV., na jednym z licznych gruntów, posiadanych przez Lezdejkę, w okolicach zamku książęcego. Około r. 1705 pogorzał on całkowicie, i nie był już więcej restaurowany. Po zgorzeniu wkrótce szerzyć się poczęła wieść o strachach, pokazujących się w rozwalinach tego zamku, które w rzeczy samej udawali ludzie trudniący się fałszerstwem pieniędzy. — Przez lat kilka trwało przekonanie o istniejących tam strachach; w 1709 atoli roku 14. Października, sprawujący wówczas obowiązki naczelnika policyi w Wilnie, niejaki Bieldziukiewicz w towarzystwie OO. Jezuitów, którzy za pomocą exorcyzmów przeciw złym duchom, dodawali śmiałości straży wojennej, — odkrył złoczyńców. W podziemiach ruin tego pałacu znalezionemi zostały warstwy i narzędzia do fałszowania pieniędzy tak krajowych jako i zagranicznych. Ujęto w ciągu tej nocy przy robocie czterech żydów i dwóch chrześcian; byli to rzemieślnicy, złotnicy, kotlarze, blacharze i pieczętkarze. Na czele tego przedsięwzięcia stał niejaki żydek ziemczony, rudy i garbaty, rodem z Głogowa na Szlązku. Wszyscy ci fałszerze w 1710 r. powieszonymi zostali.* — Piękny ten włoskich wymiarów pałac, z bramami wjazdowemi, o płaskich bocznych kolumnach, o sklepionych nad niemi arkadach, częścią z cegły, częścią z kamienia murowany, za naszej pamięci stał bez dachu, okien i sufitu. Na szczybach i rozpęklinach muru tam i ówdzie zielone porastały chwasty lub krzewy a belki tylko nadgniłe gdzieniegdzie trzymały się na swoich miejscach.

Jak gdyby pożałowano dla Wilna tej starej historycznej ruiny, w 1828 r. mur ten rozbito; z jego materiałów stanął za Ostrą-bramą ów wielki i piękny dom zajezdny Kossobudzkiego. Z całego pałacu Barbary pozostała jedna sześciokątna jakby nieforemna wieżyczka, co dzisiaj wychodząc na Nowy bulwar nadbrzeżny ponad Wiliją, łączący dawne bulwary z Zielonym mostem, swoją dziwną architekturą

* Urywek historyczny Teodora Narbuta. Ob. Kurjer Wileński na r. 1861 Nr. 83.



i wszelkimi cechami starości uderzając każdego przechodnia, przedstawia ostatni szczątek owej ruiny, co z przed oczu naszych zniknęła już na zawsze.*

U stóp tej wieży przed wyspą, na którą Zygmunt August łabędzie z wielkim kosztem sprowadzał, aby przed oknami pałacu Radziwiłłów uprzyjemnić widok ulubionej swej Barbarze, statek mój się zatrzymał i tutaj powitany zostałem przez członków komisji archeologicznej, pod przewodnictwem naszego wiceprezesa p. Michała Balińskiego, oczekujących na brzegu mojego przybycia do Wilna. W obliczu tłumów publiczności, zapełniających brzegi rzeki, braterskim pocałunkiem kolegów moich powitany, gdy się tutaj przy bulwarach z całym bagażem zatrzymać, ani rozłożyć nie podobna było — wszystkich zabrałem na mój statek, i razem popłynęliśmy ku Zielonemu mostowi; płynęliśmy wesoło; pełno zapytań różnorodnych, czynionych mnie przez kolegów o mojej obecnej podróży — tak się szybko krzyżowało z sobą, że wszystkim na wszystko odpowiedzieć czasu nie dostało. Bulwar na lewym brzegu rzeki zapełniony był mieszkańcami miasta, co tłumnie zebrani szli jednocześnie z płynącym statkiem ku Zielonemu mostowi. Na prawo było owo wspaniałe wzgórze, ocienione na wierzchu poważnymi drzewami, dotykające jednym bokiem Zielonego mostu, zakresu na dzisiaj mojej podróży; było to rokoszne niegdyś siedlisko Piórow. W owe czasy, kiedy największą modą było z francuzkiego

* I ta ostatnia pamiątka od powyższej daty, o której wspominałyśmy, już nie istnieje. Zbito ją do fundamentów, a na tem miejscu nad Wiliją stanął okazały dom p. Korabowicza.

nazywać wzgórze, dodając do nich jakieś imiona właściwe, kiedy w kraju naszym tworzyły się bez końca Mary-monty, Luda-monty, Bel-monty, około 1765 r. krajczy witebski i starosta rumszyski, Pióro, dziedzic tego wzgórza, nazwał je od swego nazwiska Pióromontem. W tem letniem mieszkaniu Pióro przyjmował Stanisława Augusta. Był tam tylko dom drewniany, papierem, jak zobaczymy zaraz, wyklejany, lecz z takim widać gustem i przepychem urządzony, że biskup smoleński, Naruszewicz, towarzyszący królowi w tych odwiedzinach, zachwycony urządzeniem Pióromontu, takie nam opisanie tego miejsca zostawił:

Kędy wprzód owe same było widzieć góry,
Gdzie zwierz na błędne trzody rzucal strachy,
Tam dzielna ręka dowcipnego Pióry
Najroskoszniejsze zbudowała gmachy.
Dziś już przed niemi i wspaniale mury,
I świetne książąt prawie gasną dachy;
Ledwobyś nie rzekł zadumiony na nie,
Że to bóg jakiś założył mieszkanie.

Nie rwie tu wprawdzie oka kamień drogi
Ani sufitów cedrowych blask złoty.
Nie blyszczą świetnym jaspisem podłogi
Kupne krwawemi nędznych kmieciów poty:
Nie masz tych ozdób, które ucisk srogi
I twarde panów wymuszają młoty:
Sam wszystkie kąty piękny gust odziewa
Co czyni cuda z papieru i drzewa.

Wnet stanął przed nami i ów most wspaniały, o trzech arkadach, Zielonym zwany; pierwszych jego początków poszukajmy w XVI. w. wśród panowania Zygmunta Starego, którego rządy nad Litwą odznaczały się gospodarnością i zaprowadzeniem porządku i administracyi; owóz pierwszy przywilej stawiania mostu na Wilij danym był przez Zygmunta Starego w 1529 r. Albertowi Gasztoldowi, wojewodzie wileńskiemu. Miał on stać około zamku dolnego; powinien był być zrobionym z kamienia lub cegły, oprócz przejazdu mieć na sobie komory, czyli klatki kupieckie (kramy) a myto, pobierane od przejazdu i najem za owe klatki kupieckie miały w pewnym przeciągu czasu powrócić Gasztoldowi koszt, na jego budowę wyłożony. Nie wiedzieć dla jakich przyczyn Gasztold tego mostu nie postawił. — W 1536 dopiero roku Ulrych Hozyusz, owoczesny horodniczy miasta, za nowym przywilejem Zygmunta I., któren to przywilej z ksiąg magistratowych wileńskich p. Baliński nam w tłumaczeniu polskim ogłosił,* most na Wilij w temże miejscu, gdzie dzisiaj Zielony stoi, z muru wybudował. Gwagnin, opisujący Wilno, tak o tym moście pisze: „Most, mówi on, na tej rzece (Wilij) z obydwu końców murowany,

* Historia miasta Wilna T. II. str. 225.

wielki, z wierzchu gontami pokryty i niemalym kosztem jest zbudowany. — Woda przezroczysta jak kryształ.“ Były na nim i kramy, a z dochodu pobieranego od kram i od przejazdu, Hozyusz, po powrocie sobie kosztów, wyłożonych na jego budowę, powinien był później wybudować szpital publiczny przy kościele dominikańskim Świętego Ducha. Hozyusz dopełnił warunków przywileju; budowę szpitalu do połowy doprowadził, a gdy go w ciągu roboty śmierć zaskoczyła, syn jego, Jan, dokończył rozpoczętą pracę. — W r. 1621 odnowionym on był kosztem mieszczan wileńskich; w 1655 r., podczas pochodu wojsk rosyjskich, spalonym został, a w 1674 r., według planu pułkownika inżynierów, Frediani, wzniesiono nowy na jego miejsce. Roku 1766 raz jeszcze odnowiony i Zielonym nazwany, dotąd tę nazwę zachował. W 1812 r., przed samem wejściem do Wilna Napoleona, przez cofające się wojska i władze rosyjskie zapalony, zgorzał; w 1813 r. znowu go odbudowano, w latach 1827 i 1828 odnowiono, a w 1848 r. ostatecznie restaurowano.* Przed tym to mostem barka, napelniona starożytnikami litewskimi, przybiła do lewego brzegu Wilij; wysiedliśmy w tem właśnie miejscu, gdzie przed 47 laty bohater, idący na zawojowanie Rosyi, gdy swoje liczne wojska przez rzekę przeprawiał, wypił szklankę wody z Wilij podaną sobie.

Ekwipaż mój podróży wraz z czeladzią przeszedł przez arkadę mostową i zatrzymał się nad brzegiem rzeki w plebanii Św. Rafała, gdzie jej proboszcz ks. prałat Jan Menue, ze znaną wszystkim gościnnością, mojemu podróżnemu ekwipażowi dał lokatę. Myśmy, zaproszeni przez kolegę Kirkora, poszli wszyscy na wieczór do niego. Przyjechał tam i ks. biskup Lipski. Dowiedziawszy się o mojem przybyciu, nastąpiły liczne manifestacye uczuć, przyjaźni i życzliwości dla mnie z powodu przedsięwzięcia tej pracy naukowej. Owacy różnego rodzaju okrążyły mnie w tym dniu dla mnie pamiętnym. — Wieczór składał się z samych literatów i ludzi pióra; zszedł on zatem na dystyngowanej rozmowie, na deklamacyach różnych nowych poezyj i na podobnej zabawie.

Nie mając czasu do stracenia, zwłaszcza gdy w tak długiej podróży, jaką miałem jeszcze przed sobą, każda przerwa raz zaprowadzonego porządku w pracy osłabia skupioną wolę i krzyżuje częstokroć postanowienia człowieka: chciałem, aby jutro odbyło się posiedzenie nadzwyczajne, lecz wileński wojenny generał-gubernator, generał-adjutant JW. Włodzimierz Nazimow, jako członek towarzystwa naukowego wileńskiego, życząc sobie znajdować się na tem posiedzeniu, a dla zbyt licznych zatrudnień, które go w dniu jutrzejszym obarczać miały, nie mogąc przybyć na posiedzenie, prosił towarzystwo naukowe, jak o specjalną grzeczność dla sie-

* *Historja miasta Wilna* M. Balińskiego T. II. str. 82. — *Wilno od początków jego do roku 1750*. J. I. Krauszewskiego T. III. str. 341. — *Przechadzki po Wilnie i jego okolicach* Jana ze Śliwina str. 104—105.

bie, ażeby sessyę odłożono na pojutrze; i stało się zadość żądaniu jego; posiedzenie odwołaniem zostało na dzień 24. Czerwca.

W dniu naznaczonym o godzinie 1. w sali muzeum wileńskiego zebrała się komisya archeologiczna pod prezydencyą p. Michała Balińskiego w celu wysłuchania sprawozdania z mojej żeglugi po Wilij. Zasiadł pomiędzy nami i namiestnik monarszy; z wielkim on interesem przeglądał złożone przezemnie prace w brulionach map rzeki, w rysunkach widoków nadbrzeżnych i spisie statystycznym posad, ponad Wiliją osiedlonych, rzek do niej wpadających, oraz spisu nazwiska raf i kamieni szkodliwych dla żeglugi po tej rzece, w zbiorze pieśni gminnych i miejscowych podań, zebranych ponad brzegami Wilij. Podziękowaniami i pochwałami kolegów nad zasługi moje obdarzony zostałem; posiedzenie to zakończył prezydujący mową napelnioną samemi wyrazami najpochlebniejszych grzeczności dla mnie, której tutaj nie umieszczam, albowiem ją w owej dacie wszystkie gazety powtórzyły.* Za nią mówcy publicznie podziękować w owej chwili dostatecznie nie umiałem, bo mnie się nie wyrazi do ust, lecz lży w tej chwili do oczu cisnęły; prosiłem tylko prezydującego o udzielenie mnie jej na piśmie, którą, jako miłe wspomnienie dla mnie i autograf ręki znamienitego pisarza naszego, zachować żądałem. Przyjęcie serdeczne, któregom doznał w Wilnie od szanownych kolegów moich, nigdy mnie nie wyjdzie z serca, ani z pamięci; będzie ono dla mnie tą piękną gałązką lauru, co moją starość ozdobi i mogiłę moją przykryje; bo ze wszystkich zaszczytów i nagród, jakie potworzono na świecie, najdroższą bez wątpienia dla serca człowieka jest miłość jego współbraci.

XVI.

W życiu każdego człowieka są uroczyste chwile, mniejszej lub większej wagi, — stosownie do tego, jakie on stanowisko w świecie zajmuje lub jakim zatrudnieniem się oddaje, — stanowiące jakby wydatne przedziały życia moralnego, do których poniewolnie myśl jego zwraca się bezustannie. W wieku podeszłym, gdy się już do odpoczynku kaźden zabiera i samemi wspomnieniami przeszłości

* Kuryer Wileński za r. 1857 Nr. 51. — Kronika Warszawska Nr. 220. — Gazeta Warszawska Nr. 224.

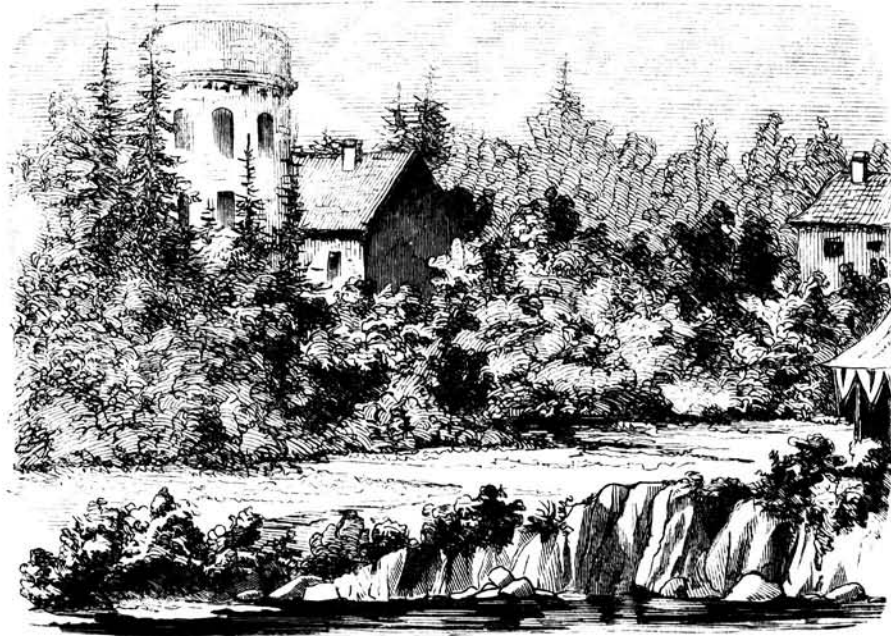
tylko żyje, myśl człowieka z upodobaniem do nich się odwołuje: bo one stanowią moralną wartość każdego z ludzi, bo one, zebrane w jedną sumnę, świadczą o spełnieniu jego posłannictwie na tej ziemi. Gdy myśl szczęśliwsza, wyższa, wzniosłszy się nad pospolite codzienne potrzeby, od nich oderwana, pobiegła szukać współczucia i przez swych braci pobłażliwie przyjętą została, — każdego z ludzi, tem bogaty, nią szczęśliwy, zapisał takową w poczet tych chwil większej wagi, do których z ukontentowaniem wracać przywykł. Praca, przedsięwzięta około opisu Wilij, jednej z najpiękniejszych rzek litewskich, co współbraciom moim przyjemność i publiczną korzyść przez rozszerzenie wiadomości krajowych przynieść może, stała się w życiu mojem niewątpliwie jednym z tych przedziałów, do którego myślą i sercem odwoływać się z upodobaniem nie przestanę.

Po złożonem sprawozdaniu, jedźmy w dalszą drogę. Każda godzina spędzona nie na moim podróznym statku, dalej od brzegów Wilij, przynosi szkodę tej pracy: bo z każdą godziną mięknie postanowienie, słabną zebrane siły, rozbija się myśl skupiona do jednego przedmiotu. Uciekajmy z miasta, gdzie gwar ludzi, gdzie rozmaitość wielka przedmiotów, przerywa nam tę spokojność ducha, jakiej koniecznie potrzebujemy, a którąśmy skupili płynąc spokojnie rzeką przez tyle tygodni, i na jej cichych brzegach obcując ze skromnym i łagodnym ludem wiejskim. Jak tam dzień każdy w swoim składzie podobnym był do drugiego! jak one nam w ciągłej pracy i zatrudnieniu wpływając, prędko i jednostajnie, zasmakować pozwoliły w tym rodzaju pożytecznego życia! Już nam, bez przesady, tęskno do dalszej podróży po Wilij: bośmy, z nią zbratani i spodufaleni, do niej myślą i czynem przywykli, szmer jej wody i jej piękne brzegi pokochali.

Przyspasabiamy się więc do odjazdu z Wilna. Narzędzia pomocnicze naukowe na nowo się przygotowały. Postrzeżenia barometryczne, od Wilejki przerwane, rozpocząć znów postanowiłem; w tym celu barometra i termometra, w Wilnie poprawiane, przez dwa dni będące w ręku p. Gusiewa, zregulowały się z barometrami i termometrami obserwatorium astronomicznego, do których stosując moje postrzeżenia, mam z nich prowadzić dalszy rachunek spadu rzeki.

25. Czerwca o godzinie 10. rano, przy $19^{\circ} 6'$ R. ciepła, przy Zielonym moście, barometr wskazał $29^{\circ} 5', 4$. Dzień cały zszedł na wyborach do podróży. O godzinie zaledwo siódmej wieczorem z mieszkania proboszcza kościoła Św. Rafała ks. kanonika Menué, któren przez dni kilka memu ekwipażowi podróznemu dał gościnną lokatę, — gdzie się zgromadziła komisya archeologiczna dla pożegnania mnie, gdzie koledzy zebrani raz jeszcze przyszli życzyć szczęśliwej podróży i pomyślnych poszukiwań na polu nauki, — po wypitym toaście za moje zdrowie, po udzielonem mnie błogosławieństwie przez JW. ks. biskupa jenopolitańskiego i sufragana tyras-

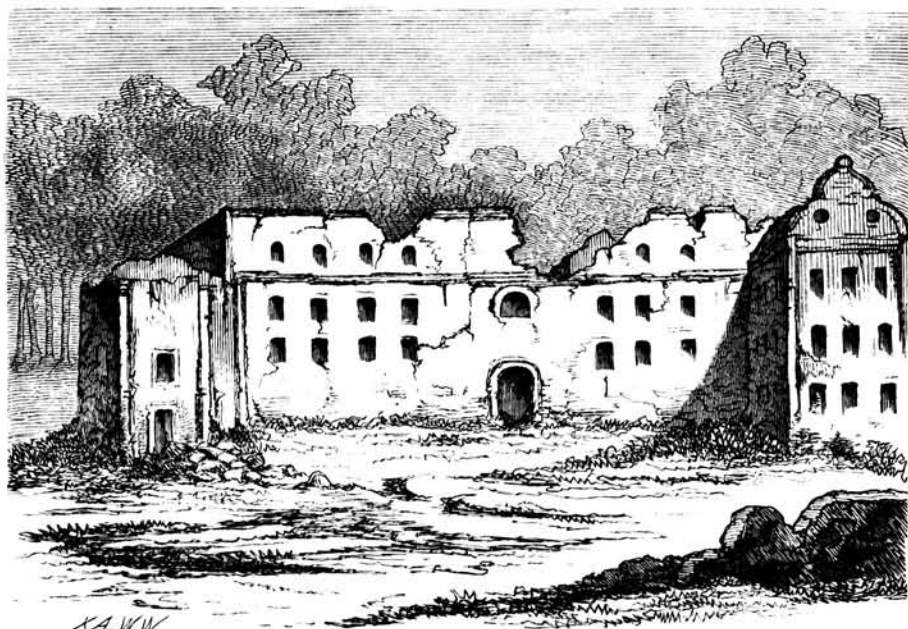
polskiego Lipskiego, ruszyłem z Wilna. Uderzono wiosłami o wodę Wilij, a szmer jej, tak mnie dobrze znany, bom z nią od kilku tygodni ciągle obcując przywykł był do tej flisów harmonii, znowu wlał w serce moje radość, gdym mógł już powiedzieć sobie: „Jadę dalej!“ Koledzy moi, członkowie komisji, ks. prałat Mamert z Fulsztyna Herbut, Adam Kirkor, Doktor Moszyński, astronom Gusiew, profesor historii naturalnej Tumulewicz i sekretarz uczony Maurycy Krupowicz wsiedli na mój statek, aby mnie przeprowadzili do pierwszego noclegu. — Na falach pięknej Wilij, które mnie unoszą ku jej ujściu, tracimy powoli z oczu pyszne starego grodu świątynie; liche dworki po nad jej brzegami, które starej swej formy nie zmieniły dotąd w niczem, pozostają za nami; znikają bogate zapasy drzewa poskładane na brzegu, co Wilno opalają; mijamy miejskie rzeźnice; pozostała już za nami i owa piękna dolina, której niegdyś puszcze i gaje dostarczały drzewa wiecznie gorejącemu na cześć Perkuna Zniczowi, — na której dzisiaj wznosi się wspaniały kościół Św. Jakuba i Filipa z obszernym klasztorem niegdyś XX. Dominikanów, założony pierwiastkowie z drzewa w 1642 r. przez Grzegorza Litawora Chreptowicza, kasztelana smoleńskiego, potem z muru wyprowadzony, dzisiaj znacznie powiększony i obrócony na szpital syfalistycznych, na schronienie obłąkanych kobiet i na zakład położniczy, któremu, pod dyrekcją rządu, Siostry Miłosierdzia swoją posługę niosą. Jesteśmy już na zakręcie rzeki, która kręto, pod kątem prostym na prawo powracając się, jako stanowiąca zakręt nadto wyraźny, dawniej się właściwie Zakrętem nazywała, a przez skrócenie później Zakretem przezwaną została. Na lewo, na wysokim jej brzegu, nieco dalej od rzeki, wznosi się mur obszerny, nowo pobudowany. Jest to dom kary i poprawy, któren dotąd jeszcze nie odpowiedział swemu przeznaczeniu: albowiem gdy przy restauracjach dokonywanych w mieście, na szpitalu dla chorych miejsca zabrakło, tutaj chwilowo, pod zarządem Sióstr Miłosierdzia, chorych przeniesiono, a wady i ułomności mieszkańców Wilna zostały do czasu bez kary i poprawy. W dole, pomiędzy tą górą a brzegiem rzeki, są walące się od starości drewniane domy, przy nich warzywne ogrody. Jest to folwark Sióstr Miłosierdzia, i w tej chwili, kiedy go przemijamy, jedna z Sióstr pracowitych tego pożytecznego świętego zgromadzenia, podlewa czerpaną z Wilij wodą grzędy z kapustą. Naprzeciw tego folwarku, na prawym brzegu, jest chatka leśnika, co strzeże całości boru w Zwierzyńcu, — niegdyś Radziwiłłowskiej, dzisiaj dziedzicznej własności księcia Witgenstejna, która ciągnąc się po wzgórzach od Snipiszek, aż na prawy brzeg Wilij schodzi i jej wód dotyka. Zwierzyniec ten, przed laty zwierzem napelniony, służył książętom Radziwiłłom na ich myśliwską ochotę, dzisiaj jako w zdrowem i uroczem miejscu, nad brzegiem naszej pięknej rzeki położony, kształtnymi budowlami z drzewa i ładnym ogrodem kwiatowym przyozdobiony, stanowi



letnią rezydencję głównego rządcy Litwy. Gdy statek powrócił na prawo, znowu rozwinęła się przed nami długa wstęga błyszczącej i przezroczystej Wilij, płynącej poważnie pośród starych lasów sosnowych, jakimi oba wyniosłe brzegi tej rzeki są tutaj zarośniętymi. — Dalej przed nami piętrzyło się pasmo gór nadbrzeżnych; przy nich, po nad wielkim rozdołem, malowniczo uczepiony młynek; tu z szumem spieszący z góry ku Wilij strumyk o koło młyńskie swawolnie zaczął i takowe jakby niechący pokręcał; po nad parowem mostek, prawie na powietrzu rzucony, prowadzący do owego młynka i dalej w głąb tej okolicy po za góry, — dopełniał wdzięku w tym pięknym obrazie. Przy zawrocie, zaraz na lewo, na brzegu stromej góry, pośród poważnych sosen, w najrozkoszniejszym położeniu — jest nowo otworzony Wokshal. Z niego znajomi nasi, którzy, wiedząc o chwili mego odpłynięcia z Wilna tam się byli zebrali, nas żegnają i szczęśliwej nam drogi życzą. Dalej na prawo, podobnież na wzniosłym brzegu, nam się ukazała w całej świetności owa piękna letnia rezydencya wileńskich wojennych generał-gubernatorów. W tej chwili naczelnikiem kraju naszego był generał Włodzimierz Nazimów. Zacny i serdeczny to człowiek. Prostotą w obcowaniu, szczerą gościnnością w domu własnym, wzorowym przykładem domowego życia i najpiękniejszą manjerą wykształconych ludzi, zaleca się cała ta rodzina. Generał Nazimów, protegujący wszystko, co się pożytecznego robi w kraju zostającym pod jego zarządem, całym sercem pojął i ocenił obecne moje naukowe przedsięwzięcie. — W tej chwili na balkonie generał i całe

jego domowe towarzystwo, z którym przed godziną obiadałem razem, czekało mojego przejazdu. Gdym się na rzece ukazał, machaniem bezustannem chustek mnie żegna i szczęśliwej drogi życzy; na co ukłonami, pełnymi serdecznej wdzięczności, ze statku odpowiadam. W nowym krętym zawrocie na lewo, znikają powoli z przed oczu piękne Zwierzyńca mieszkanie, niknęli jego grzeczni gospodarze, a stare ruiny wspaniałego Jezuitów siedliska, Zakretem później przezwane, na tle zielonych lasów bielejące zdaleka, rzucając się mimowolnie w oczy, myśl i uwagę ku sobie zwracają.

Dla każdego z nas, co zna Wilno dokładnie i oddawna, ruiny Zakretu, mające swoją ciekawą historię, posiadają niezwykajny powab. W uroczym miejscu, nad lewym brzegiem Wilij położone, będące celem letniej przechadzki, każdemu



ktokolwiek w Wilnie zamieszka, pełno miłych przypomnień zostawiły, pełno niezwykłych wrażeń dostarczyły. — Najpiękniejsze miejsca po nad Wilją w okolicach Wilna, posiadała niegdyś zamożna rodzina książąt Radziwiłłów, i owo urocze miejsce, przy jej zakręcie położone, było dziedziczną własnością tego wielkiego na Litwie domu. Stanisław ks. Radziwiłł, wielki marszałek litewski, darował je księżom Jezuitom wileńskim, którzy, gdy przenieśli tam swoją letnią rezydencję, na początku XVIII. wieku, wznosić zaczęli gmachy, zakładać na tej pięknej płaszczynie ogrody, oprowadzone do koła murem. Po upadku Jezuitów ks. Ignacy Massalski, biskup wileński, miłośnik pięknego przyrodzenia, nabył tę letnią Jezuitów rezydencję. Po Massalskim przeszedł Zakret na własność miejską. Naostatek nabyty przez hr. Beningsena, owoczesnego generał-gubernatora wileńskiego, zajaśniał nową wykwi-
ntno-

ścią i blaskiem wspaniałego życia. Hr. Beningsen mury klasztorne Zakretu powiększył, ozdobił i w piękny pałac przemienił. Przeniósł tu swoje mieszkanie, w którym przyjmował kilkakrotnie cesarza Aleksandra I. — Miejsce to cesarzowi tak dalece było się podobało, iż po śmierci hr. Beningsena Zakret kupił na swą własność; i z tego to właśnie tytułu Zakret należy dzisiaj do cesarskiego wileńskiego pałacu. W 1812 r. w lewej połowie korpusu i w skrzydle jego lewym zaprowadzono lazaret wojenny, który od wynikłego przypadkiem ognia zgorzał wspólnie z rannymi w nim się znajdującymi. Sam jeszcze pamiętam, w młodości mojej, gdy ze szczególniejszym upodobaniem spaceruję moje letnie w tę stronę powtarzałem, pałac ów w połowie tej, która nie zgorzała, stał całym jeszcze. Dach, schody, podłogi, malowidła na ścianach były nietknięte; okien mu już brakowało wszędzie i drzwi w większej części powydzierane pustką stanowiły. Pamiętam, jakem w licznych framugach murowanego parkanu, oprowadzającego w kwadrat dziedzińca i ogrody tej rezydencji dokoła, podziwiał jeszcze pracowicie i dobrze malowane al fresco dużego rozmiaru kwiatów i owoców. Jakaż smutna różnica, z tą przeszłością uderza mnie w tej chwili! od stanu, w jakim go widziałem przed laty, jakież prędkie jest przejście do smutnej ruiny, co świecąc dzisiaj przed nami szczerbami tylko, tak wymownie o nicości przemawia, tak smutny przedstawia obraz znikomości rzeczy ludzkich na tym świecie! Od pięknej całości do ruiny, jak od pełnego życia do upadku sił, jak od młodości do niedołężności, jedna jest tylko droga, która się niepostrzeżenie przebiega. Kto się na niej w porę nie opatrzył i z chwil szczęśliwych nie skorzystał, ten je stracił bez powrotu! Lecz jak wszystko przechodzi i przemija na świecie, tak mignęły przed nami i te straszne ruiny, i pozostały dla nas już przeszłością: bo jużśmy je ominęli, — i one za nami, jak za nami pozostało wszystko, cośmy przebyli, przeminęli i przeżyli! Lecz tuż za ruinami owego pałacu, nad brzegiem pięknej Wilij, wśród zarośli z krzewów niegdyś staranną ręką prowadzących, dzisiaj zdziczałych i wyschłych w części, wychyla się wdzięczna dolina, a w niej ostatnie jeszcze ślady istnienia tutaj budowy, co kosztowała życie jednego pożytecznego człowieka. W 1812 r., kiedy z powodu wypadków politycznych kraju, i tej wielkiej wojny, którą Napoleon I. Rosji zagroził, cesarz Aleksander I. bawił czas niejaki w Wilnie, przygotowano na uczczenie go bal świetny. Gdy pokoje pałacu pomieścić nie mogły wygodnie zaproszonych na ten bal gości, wybudowano na prędce altanę, gdzie monarcha z całym zaproszonym towarzystwem miał jeść wieczerzę. Na godzinę przed rozpoczęciem balu, gdy do świetnych toalet owocowych dam litewskich, ostatni bukiet lub ostatnią kokardę przypinano, — kiedy przygotowane na obu brzegach rzeki świetne ognie i wspaniałe illuminacje nie oświeciły jeszcze jej przezroczystej powierzchni, w której jakby w dużej szybie

zwierciadła cały ów bal ze swoją świeżością i blaskiem strojów mógł się przejrzeć, — już ciało topielca nurzało się w nurtach naszej pięknej Wilij. Bo na godzinę przed rozpoczęciem balu, gdy owa altana, na prędce słabo zbudowana, runęła, Michał Szulc, profesor architektury przy uniwersytecie wileńskim, którego robotą tej budowy kierował — nie przeżył wstydu, jakim go tak gruba pomyłka w jego nauce nabawiła, rzuciwszy się do Wilij, przeniósł śmierć nad wstyd i upokorzenie. Przybrano na prędce zwaliska owej altany i bal przygotowany odbył się swoją kolejną. — Bal ten miał jeszcze wielkie znaczenie w dziejach Litwy: bo gdy wkroczenia wojsk nieprzyjacielskich do kraju ciągle oczekiwano i nad środkami obrony się naradzano, wśród samej zabawy otrzymał monarcha kuryera z zawiadomieniem, iż Napoleon już był w Kownie, i swe liczne wojska przez Niemen przeprowiał. Za monarchą, którego swoją główną kwaterę z Wilna do Witebska wnet przeniósł, wszystkie władze wyniosły się; a za dni kilka nowy władzca zajął Litwę, i swoją w niej administrację, swój porządek zaprowadził.

Pomiędzy Zwierzyńcem a Zakretem przebyliśmy zaborę Nową-Rafą zwaną. Za Zakretem ustają na lewym brzegu wzgórza i las się kończy, a ciągnąca się daleko płaszczyna odkrywa piękny widok na odległe lasy, które początek pasma gór ponarskich jest porośłym. Płaszczynę tę przecina stary kowieński trakt pocztowy, a przy nim czarna drewniana karczma i przyległe do niej małe budowle, wychodzą wydatnie na piaszczystej tego miejsca przestrzeni. Prawy brzeg, zawsze wysoki, piętrzący się po nad rzeką, i świecący się żółtym piaskiem i gliną, po którym leszczyna, kalina i drobna karłowata lipa tam i owdzie się ściele, i swoją zielonością przerywa żółtą jednorodność. Przy pierwszym Zakręcie, z wody wyglądający piramidalnego kształtu wielki kamień, Podskarbiec się u flisów, nie wiem dla czego, nazywa. Jeszcze dwa niewielkie zakręty, przebyte po Nerysie, i już jesteśmy przy folwarku biskupów wileńskich, Poneris po litewsku, to jest — po nad Wiliją zwanym, którego dzisiaj na Ponary spolszczono. — Słońce było już zaszło, ciemnieć zaczynało, kiedyśmy przebywszy folwark Ponary, pod prawym brzegiem na pochyłości pięknej góry u stóp niewielkiego lasu na noc się rozłożyli. Ślepym trafem, bez żadnego namysłu, do tej biesiady koleżeńskiej, wybraliśmy miejsce, co ją wspomnieniem historycznym umilić miało. Bo gdzież nie ma wspomnień historycznych na tej ziemi pełnej tradycji, odległej a tak świetnej przeszłości naszej. — Oto naprzeciw naszego miejsca odpoczynku, za rzeką przy folwarku biskupim, znajdowała się altana ze starych lip, pod cieniem których w 1634 r. kapituła wileńska przyjmowała swego króla Władysława IV., jadącego do Wilna.

Co sam miałem, to moim kolegom dałem. Zielona murawa wystarczyła nam za kosztowny kobierzec, niebo za przykrycie, a księżyc, co z za chmurek przecho

dzących niekiedy do nas wyglądał, przyświecał naszej nocnej biesiadzie. Wieczór był tak piękny, tak łagodny, żeśmy równego jemu w ciągu tego lata nie mieli jeszcze. 16° ciepła pokazywał termometr R.; najmniejszy wietrzyk nie wstrząsał powietrzem, tak dalece, iż świece na podróznym stole gorzały swobodnie. Rozłożeni na brzegu obozem, rozmawialiśmy bezprzestannie. Rozmowa szła nieprzymuszenie, serdecznie, wesoło, poważna i naukowa; nieraz się żartem przeplatała i wesołym śmiechem kończyła. Herbata, jakaś wieczerza naprędce sklejona i kieliszek dobrego wina towarzyszyły naszemu posiedzeniu. — Znowu koledzy moi powtórzyli moje zdrowie i brata mego, ojca i całej mojej rodziny; wesołe okrzyki z najszczerzszymi życzeniami złączone, a z serca płynące, wywołały nawzajem z mojego uczucia wdzięczność, z której czułem, iż wywiązać się nie potrafię w inny sposób, aż gdy tą pracą moją uczynię przysługę publiczną. Biesiada nasza wśród prześlicznej czerwcowej nocy, trwała do godziny 2. zrana. Już świtać zaczynało, kiedy koledzy mnie pożegnawszy, odjechali do Wilna.

Wielkie są prawa i obszerne obowiązki każdego koleżeństwa; trudne ich wypełnienie, albowiem raz zaciągnięte, ciążą już nad całym życiem człowieka. W młodości związek koleżeński jest bez porównania silniejszym: młode serce co jeszcze nie doznało zawodu od ludzi łącznie prędzej i łatwiej do siebie. Myśl poczciwa, w złote barwy złudzeń ubrana, goręcej krąży w młodej głowie. Przy zetknięciu się myśli z czynem, jak z zetknięcia się stali z krzemieniem, rodzi się iskra i w ogień się zamienia. Na rozdrożach życia, gdy każdy poszedł w inną stronę, wielu po drodze, po której ślepo los go popchnął, poniosło w sercu tę świętą iskrę wiary, co później zagorzała płomieniem miłości dla ludzi i obowiązków. W latach starszych nie tak już łatwo napotkać sympatyę i wejść w prawa koleżeństwa. Wszakże ma ono swoją siłę i w starszych wiekiem stowarzyszeniach: gdzie bez względu na lata i powołanie, jedna myśl szlachetna, żywo wszystkie serca obiega, a podana sobie bratnia ręka, stanowi to rozważne przymierze pracy i pożytku, jakie człowiek z siebie dla publicznego dobra całym swym życiem wysnuć powinien. Gdziekolwiek człowiek w późniejszym życiu się obróci, w jakiegokolwiek strony los go zaniesie, zawsze mu staje w pamięci słodka powinność węzła koleżeńskiego, zawsze czuje to gorące uściśnienie ręki bratniej, co mu powinność jego w przyszłym życiu, jakby dług zaciągnięty, bezprzestannie przypomina. I my, nad brzegiem Wilij, gdyśmy sobie pożegnalne uściśnienia nawzajem oddali, poczułem w tej chwili powinność przeze mnie zaciągniętą: bo mi to kolegów uściśnienie, zdawało się mówić, — jedź i pracuj dalej w poczciwej dążności.

Kiedym się z moimi w nauce kolegami przy świtającym poranku, zegnał nad brzegiem Wilij, nie przeczuwałem, że jednego z nich zegnałem na zawsze, że go

więcej nie zobaczą. — Tym kolegą był doktor Moszyński, którego śmierć, wkrótce potem zabierając z tego świata, Towarzystwu naszemu i Litwie całej, niepowetowaną wyrządziła szkodę.

Doktor Juljan Albin Moszyński, urodzony w Litwie właściwej, w obwodzie sejneńskim, był uosobieniem wszystkich cnót wzorowego obywatela. Do pięknej postawy, do spokojnej duszy, delikatnego i słodkiego obcowania, które do niego wszystkich pociągały, łączył w sobie trzy wielkie przymioty: doktora, pisarza i człowieka! Przedewszystkim kochał gorąco kraj własny, a wszystkie zasoby nauki, talentów i serca, jakimi go Bóg obdarzył, używał na jego pożytek i chwałę. Po ukończeniu medycyny w uniwersytecie wileńskim, gdy rozpoczął praktykę, Moszyński poczuł, iż do tej nauki, którą posiada, wiele mu jeszcze nie dostaje; że będąc doskonalszym w swoim zawodzie, mógłby się stać pożyteczniejszym swoim cierpiącym współbraciom. Rzuca więc praktykę, jedyne źródło swego utrzymania się, i z małoznaczącymi zasobami, jedzie za granicę, ażeby się dalej uczył. Tam przez dwa lata 1838 i 1839, słucha kursów słynnych niemieckich profesorów; tam się dalej kształci; i ztamtąd przywozi swemu krajowi owoce ciężkich prac w nauce, zebrane na obcej ziemi, które rozdziela i rozsypuje bez wyjątku na wszystkie stany cierpiących we własnej ojczyźnie. Każdy kto tylko cierpiał, bez względu na stan i położenie, znachodził u niego radę i pomoc; udzielał się wszystkim a szczególnie uboższym, z tem poświęceniem się, cierpliwością, bezinteresownością i z tem braniem sercem, któreśmy w nim wszyscy znali, podziwiali i wysoce szanowali. — Moszyński, osiadłszy stale w Wilnie, zajmuje kolejno posady; jako lekarz przy domu przytułku dzieci; dalej zostaje dyrektorem tego zakładu; to znowu członkiem dobroczynności wileńskiej i jej dyrektorem; naostatek zostaje mianowany naczelnym lekarzem szpitalu Św. Jakuba. Tu się otworzyło obszerne pole dla talentów i działalności doktora Moszyńskiego. Szpital ten pod jego zarządem, znów uorganizowany na wzór szpitalów zagranicznych, dzięki jego staraniom odpowiedział swemu celowi, gdy w nim chorzy, porządnie administrowani, ulgę w cierpieniach przez skuteczniejsze leki poczuli. Dr. Moszyński, niezmordowany w pracy i szlachetnych dążnościach, zwraca swoją uwagę na to, iż brak dobrych akuserek w naszym kraju, pozbawia niejedną matkę w ubogiej rodzinie dozoru przy porodach, co albo ją nieraz o śmierć przyprawia, lub przy pomocy nieumiejętnych kobiet, dziecię ułomnem, kalekiem czyni. Dla zaradzenia temu niedostatkowi, wyjednywa pozwolenie u zwierzchności do otworzenia popularnej szkoły położniczej, i sam bezpłatnie tylko miłością ludzkości powodowany, kurs akuszeryi otwiera, i wyklada tę naukę dla biednych pospolitych kobiet. W wykładzie swoim, zniża się nasz Moszyński stylem do pojęć tej klasy co go słucha, prosto, jasno i zrozumiale tłumacząc, czyni

ją pojętną tym, których wykształcić usiłuje. — Niejedna z biednych kobiet w tym krótkim przeciągu trwania kursów Moszyńskiego, nauczona sztuki położniczej, stała się pożyteczną kobietą; niejedna matka, której przy porodzie ukrócono cierpienie, posłała dziękczynne westchnienie za sprawcę tego dobra, a niejedno dziecię ze starań doktora Moszyńskiego, zdrowo, bez kalectwa narodzone, gdy w przyszłości na chleb i grosz zarabiać będzie mogło, gorliwym to jego chęciom o zdrowie przyszłych pokoleń zawdzięczy, a może i nie wiedząc komu ten skarb winno, instynktowie gorącym pacierzem mu za niego zapłaci.

Pomimo tak pracowite oddanie się posłudze cierpiącej ludzkości w wypełnianiu, której dnie całe, a nieraz i noc całą trawił Dr. Moszyński, stawało mu w życiu jego czynnem dosyć czasu dla nauki i prac literackich. Napisał i drukował Moszyński w dwóch tomach w Wilnie 1844 roku podróż swoją do Prus, Saksonii i Czech. W tej pracy oprócz dokładnego opisu niemieckich uniwersytetów, wykładu w nich kursów kliniki i wszystkiego co się do nauki jego odnosi, jakież wszędzie jest piękny powrót na wspomnienia ojczystego kraju! Z jakim sercem, z jakim życiem i jak pięknymi słowami ziomek nasz opowiada o Wilnie, o Litwie, które mu wśród obczyzny tak żywo, tak barwnie zawsze stały przed oczami jego; zawsze jej obraz świetny nosił w swem sercu. W 1841 r. po powrocie do kraju, napisał Dr. Moszyński rozprawę, za co mu udzielonym został przez wileńską medyko-chirurgiczną akademię stopień doktora medycyny. Zajmując już w Wilnie posady w zakładach tego miasta, kiedy powziął myśl dobroczynną utworzenia szkoły położniczej, napisał dla niej książkę pod tytułem: Pierwsze zasady sztuki położniczej. Zaczem poszła myśl napisania drugiej, wielce użytecznej, którą wydał poraz pierwszy w Wilnie 1850 r. pod tytułem: Rady dla matek, czyli sposób utrzymania zdrowia kobiety od narodzenia, aż do późnej starości. Obie te książki wysoce przez powagę medycyny ocenione, zjednały mu naukową sławę. Poczem mianowany członkiem Cesarskiego Wileńskiego Medycznego Towarzystwa, kilkakrotnie bywał wybranym na jego prezesa; godność, którą piastowali w Wilnie najuczeńsi profesorowie byłego wileńskiego uniwersytetu. Towarzystwo Medyczne Warszawskie, podobnież go swym członkiem mianowało. Nie ograniczył się nasz znakomity lekarz na pracach naukowych złączonych z jego powołaniem. Pisywał jeszcze artykuły bądź opisowe, bądź historyczne do pism peryodycznych, co imię jego na polu piśmiennictwa naszego znanem uczyniło. Tą koleją aż nadto zyskał sobie Moszyński praw do udziału we wszystkich dążnościach krajowych. Owoż gdy się poraz pierwszy zawiązała nasza komisja archeologiczna w Wilnie, Dr. Moszyński był jednym z najpierwszych członków wezwanych do jej składu. Całem sercem przyjął to wezwanie, całem też sercem podzielił myśl, cele i przedsięwzięcia tego naukowego stowarzyszenia; nie uląkł

się ciężkich przeciwności i trudnych zawał przez jakie w początkach jego istnienia przechodzić nam przyszło. Stanął do walki odważnie: całą swą nauką, współdziałościami i wszelką osobistą gorliwością, dodając temu nowo zawiązanemu stowarzyszeniu blasku. Pracował wspólnie z nami nad przeprowadzeniem myśli i działania tej instytucji, która w przyszłości wywiązując się ze swego zadania, pożytek i chwałę krajowi w ofierze przynieść miała.

Trzebaż, ażeby fatalne losy pozazdrościły nam tego człowieka. Trzeba żeby śmierć niewczesna, przyszła zabrać tyle pożytecznego członka społeczności krajowej, przerwać to życie tak pełne, tak czynne, tyle jeszcze potrzebne i pożyteczne w chwili gdy w ciężkich zapasach z sobą, ze światem, z okolicznościami, było już się przełamało, zwalczyło pierwsze trudności i weszło już w drogę pewniejszą, bezpieczniejszą, po której idąc, wsparte coraz większą nauką, doświadczeniem, głębszą znajomością ludzi i rzeczy, mogło już odpowiedzieć obszerniejszym celom, jakie sobie był Moszyński założył. Wszystko się skończyło razem! zielony kurhan pokrył bogate nadzieje nasze! Izy wdzięczności tych mieszkańców Wilna, którzy codziennie dobroczynnej pomocy jego tak ochoczo niesionej doznawali, zwilżyły tę mogiłę — i ja moję poświęciłem pamięci kolegi, któremu po raz ostatni nad brzegiem Wilij, braterskie oddałem uściśnienie. A mogiła, co zawarła tyle cnót niepospolitych w sobie, niech się stanie celem poszanowania ogólnego; niech z niej wykwita dla młodszych pokoleń ta wielka nauka, jak używać potrzeba życia, tego najdroższego daru bożego, na pożytek ludzkości i na chwałę własnego kraju.



XVII.

aledwom pożegnał kolegów moich, aliści już i dzień zaświtał. — Nie pora nam było do spoczynku; trzeba się było brać do dalszej roboty. Równy z porankiem zmieniła się pogoda, i to powietrze, nieprzerwane najmniejszym wietrzykiem, co tak pięknie sprzyjało naszej nocnej biesiadzie, nagle się przemieniło: nabiegły nieoczekiwane chmury i począł padać zrazu deszcz mały nic nie znaczący, który się zamienił w rzęsisty, nawet ulewny — i przez dzień

cały mocząc nas niemiłosiernie, przeszkadzał robocie. Przed odbiciem mojem od brzegu z miejsca noclegu, którego drogie wspomnienie zachowam na zawsze, przy 15° ciepła, barometr wskazał 29° 6,0.

Od folwarku biskupiego, płynąc dalej, wchodzi się w prześliczne brzegi. — Na lewo ciągnie się jeszcze pasmo gór, nad Nerysą położonych, owe malownicze Ponary, porosłe lasem, porozdzierane w wielkie rozdoły i głębokie przepaście, wśród których, jak świadczy Bernatowicz, miała jakoby wznosić się stara baszta ostatek opuszczonego a nieznanego starożytnikom naszym zamczyska, przedzielona od wioski niewielkim strumykiem.* Wśród tych gór, przed laty, zbiegowie i włóczęgi różnego rodzaju kryjący się, grozili nieraz podróżnym, a zebrani w liczną bandę, pod dowództwem niejakiegoś Piekarskiego, na większą skalę, jakby na podobieństwo bandytów włoskich lub hiszpańskich, swe łotrowskie wycieczki i napady na sąsiednie dwory czynili. Na prawo, brzeg Wilij jest niemniej malowniczym. Nie odznaczają go wprawdzie tak wielkie góry, lecz za to wzgórza pięknie zarosłe, nad nimi doliny w uprawne pola zmieniane, wychylając się co chwila z gór, w oddaleniu lasem porosłych, biegną ku pięknym brzegom Wilij. Na tych płaszczynach pojedyncze osady bezprzestannie się przesuwają. Nie uderzają one bynajmniej płynącego rzeką swoją pięknnością, ni zamożnością. — Są to same zaścianki, niegdyś do kapituły wileńskiej należące, a dzisiaj rządowe; o jednym zawsze prawie lichym, słomą krytym domku, z ubogiem zabudowaniem gospodarskiem, które go okrąża. Siedziby te, nie odznaczające się zamożnością, nie uderzają podobnie przechodnia wygórowanem gospodarstwem rolniczem. Ludzie, osiedli w bliskości miasta, które co dzień za wszystko gotowym groszem płaci, całkiem inny a znacznie lżejszy mają sposób gospodarzenia od rolników oddaleńszych od miasta, którzy zbierać muszą skrzętnie a pracowicie ziarno do ziarnka i czekać na nie kupca. Tutaj pusto w stodole, pusto w oborze, pusto w świrnie i w spiżarni: bo każdą garść ziarna wymłóconą, każdy pęk słomy, cielę zaledwo urodzone, kurę, jajko, — wszystko się niesie do miasta i na grosz gotowy zamienia. Mieszkańce tutejsi przywykli do życia z gotowego grosza, uwykli do tego nieładu i zepsucia obyczajów, jakie życie miejskie tak przeważnie nastęrcza, mają postać ubogą, fizyognomie najczęściej rozpróżnowane, żyjący z dnia na dzień, żadnych zapasów gospodarskich zwykle nie tworzą: bo gdyby takowych do miasta sami nie zanieśli, przebiegły izraelita wileński po nie przyjdzie, i dobytek z domu wyniesie. Mieszkańce tych siedzib, jako wolni ludzie, zbyt się często tutaj przemieniając, nie myślą szczerze o jutrze, nie przykładają ręki do ich ulepszenia, co czyni, iż fizygnomia zewnętrzna i wewnętrzna tych nadbrzeżnych posad, swem ubóstwem przykre wrażenie sprawuje.

* Pojata S. 3. str. 78.

Tutaj Wilija wchodzi znowu w grunt kamienisty. Nigdzie w ciągu całej mojej podróży po tej rzece nie napotkałem takiego mnóstwa kamieni szkodliwych, w jedno prawie miejsce zebranych, jak w tej części naszej strumieni rodzicy. Przepelnioną ona jest bądź większemi, mającemi swe nazwiska, to znowu mniejszemi bez nazwiska, a zawsze szkodliwemi kamieniami, po których płynący na mniej lub więcej niebezpieczne natrafia rafy. I tak najpierwszą rafą, którąśmy od noclegu przebyli, była rafa Ponarką zwana. Za nią jest kamień niebezpieczny Stuk-baba nie wiem od czego nazwany. Dalej kamień Butel, może dla swej formy płaskiej u dołu a wąską formą u góry zakończony, przypominający niejako formę dużego butla, od ludu tak nazwany. Dalej idzie kamień Wół. To znowu dwa kamienie szkodliwe dla żeglujących, obok siebie leżące, z których jeden Podlinnik, drugi Rozbójnik, wyraźnie od tego, iż się o niego statki rozbijają, przybrał swą nazwę. Za temi idzie kamień Hanczar nazywający się. Tutaj, pomiędzy dwoma zaściankami, Statkowszczyzną na prawym brzegu położonym, a Sojdzią na lewym brzegu rzeki, Wilija, płynąca dotąd środkiem wileńskiego powiatu, stanowi poczyna granicę powiatów wileńskiego z trockim. Po za temi dwoma zaściankami, po samym środku rzeki, leży kamień Wilnamindis po litewsku nazwany, co w polskim języku, jak mnie tam na miejscu wytłumaczono, deptać djabła ma oznaczać. Flisowie rusińscy, którym się on nie raz zapewne dał we znaki, Czerwiwikiem go przezwali. Tuż za tym kamieniem, z głębokiego rozdołu, znajdującego się na prawym brzegu Wilij, wbiega do niej mała rzeczka Sojdzia nazwana, i odtąd się rozpoczyna owa wielka i groźna (Siabrowa) dla żeglujących po Wilij rafa, pod nazwiskiem Sojdzi powszechnie znana. Tu Wilija, szeroka na 45 sążni, pochylająca się w lewo ku zachodowi, wielki łuk, przeszło wiorstę dłużyni mający, zakreśla. — Brzegi tej niebezpiecznej rafy są dosyć górzystemi, a pęd wody po niej, wśród wielkiej liczby kamieni z wody wyglądających, główny w niej postrach stanowi. — I tak, ledwoś uszedł niebezpieczeństwa przy spotkaniu się z Wilnamindisem, już cię woda uniosła w wielkie, podwodnemi kamieniami przepelnione uroczysko, Rakowo zwane, z którego, gdy się szczęśliwie sternik wykieruje, woda statkiem łuk zakreślając, niesie go szybko na lewo, prosto na kamień duży, nieco ku prawemu brzegowi rzeki położony Sygnetem albo Kamieniem czerwonym w historii żeglugi po Wilij nazwany. Kiedy ten ostatni szczęśliwie statek ominie, wychodzi cały z tej groźnej rafy, na zakończeniu której mała rzeczka bez nazwiska, podobnie z głębokiego rozdołu, przy lewym brzegu Wilij z nią się spokojnie łączy. — Przebywszy tę rafę bez szkody, statek mój zatrzymał się przy brzegu, — i przyjętym raz w pracy mojej zwyczajem, pomimo iż deszcz ulewny usiłował przeszkodzić robocie, p. Szantyr ją mierzył i rysował. Ja tymczasem kilkogodzinną podróżą

po deszczu przemokły, poszedłem suszyć się w karczmie, przy zakończeniu tej rafy na wzgórzu stojącej. — Karczemka ta ciasna, brudna, dla samych tylko flisów nad brzegiem Wilij jest postawioną; — jedni z nich, co szczęśliwie niebezpieczną rafę przebyli, tryumf swój tutaj radośnie zapijają, drudzy, których los przeciwny lub nieumiejętność w kierowaniu statkiem na Sygnet była posadziła, w niej swoją troskę słodzą. Słowem, gospodarz karczmy, jak na radość tak i smutek, jedno i toż samo miał lekarstwo. Karczma ta była własnością obywatela Iłakowicza; arendarzem w niej pod tę porę był niejakiś mieszczanin wileński nazwiskiem Baranowski, którego lat kilkanaście przemieszkawszy w trockim powiecie, tutaj się od wiosny przeniósł na karczmarza. W licznej rodzinie jego znajdowały się dwie córki dorosłejsze od innych. Z tych starsza Grasyldą a młodsza Stefką się nazywały. Obie dziewczyny roztropne, śmiałe i gadatliwe; dyktowały mnie pieśni ludowe, śpiewane w powiecie trockim, w miejscu, gdzie się one rodziły i dziecinne lata przemieszkały. — Nie straciłem nic zatem na tej karczmej wizycie: albowiem przez kilka godzin mego w niej odpoczynku, spisały się śpiewane i dyktowane pieśni ludu. Kilkogodzinną podróż w dniu tym, jakkolwiek mokra i dokuczliwa, przyniosła do mojej torby żebraczej plan rafy Sojdz i śpiewnik pieśni ludowych z powiatu trockiego.

Po spełnieniu naszej czynności, gdy i deszcz dokuczliwy nieco ustawać począł, pożegnawszy moje wiejskie śpiewaczki, poszliśmy w dalszą drogę, — zawsze wśród prześlicznych brzegów i pośród groźnych kamieni raf szumiących, które się na Sojdz nie zakończyły, jeszcze nam dnia tego przebywać przyszło: rafę Oleśnik, rafę Świnię, wśród której duży kamień Świnią, trzy zaś mniejsze nieco ku lewemu brzegowi leżące, Podświnkami się nazywają. Dalej rafa Zawiesa. Za nią kamień Kumpie. Za nim duży kamień przy lewym brzegu leżący, od swego wyźłobienia na wierzchu Kulbaką nazwany. Za nim niewielka rafka Purwa. Po zejściu której, gdy już zmrok padać zaczął, przybiliśmy do prawego brzegu na odpoczynek. Aura się ku zachodowi słońca całkiem zmieniła. Po trzydniowych upałach, po ciepłym deszczu, który przez dzień cały padał, nastąpiło raptem przejmujące zimno. Wiatr północno-zachodni zawiął znowu na nas, utrudzając pośpiech w żegludze; znowu wrócić przyszło do kożucha od dni kilku zaledwo zaniechanego. — Termometr wskazał nam ciepła 13°, barometr zaś 26° 3,°.

I tutaj jak przed Wilnem, po Wilij było nadbrzeżnych mieszkańców pasie się w wodzie, wyjadając z niej mowrę. Jedno z postrzeżeń ciekawszych, które w ciągu mojej podróży zanotowałem, było to, iż w nadbrzeżnych okolicach było pasące się mowrą i szukające jej nieustannie w rzece, nie podpadało żadnej epidemicznej chorobie; jak niemniej osady na jej brzegu położone, nie ulegały stra-

szej chorobie cholery, która już kilku nawrotami grassując w kraju naszym, sprzątała ludność tysiącami.

Gospodarz karczmy w Karmazyniszkach, gdzie mnie nocować dzisiaj przyszło, z którym godzin kilka rozmawiałem, człowiek jakiś roztropny, pojawiwszy cel mojej podróży, opowiedział mi, gdzie są po nad brzegami rzeki Wilij uroczyiska ciekawsze i piękne kurhany starożytne. Uprzedził mnie on o sklepieniach znajdujących się pod dużą górą w Podworanach ponad Wiliją, których nikt dotąd nie śledził — wiele innych temu podobnych notycyj jego, zapisałem sobie w chęci zbadania takowych w ciągu mej dalszej wędrówki.

Niedaleko od Karmazyniszek, na prawym brzegu Wilij, w pięknym jej zakręcie położone Elnokumpie, owe miejsce, znane w całym kraju ze swoich blecharni płótna. Welnui-kąpas po litewsku Djabli-kąt znaczy. Ztąd, naprzeciw tego pięknego uroczyiska, gdzie djabli sobie kątek obrali, jakby w związku tajemniczym z nim będąca, znajduje się na lewym brzegu rzeki, góra Peklina, to jest Piekielna przez lud nazwana. Miejscowi mieszkańcy dzisiejsi, lubo do tych nazwisk żadnych podnych podań gminnych nie stosują, tej się wszakże góry wystrzegają i przez jakąś niewytłumaczoną bojaźń ją omijają.

Płynąc od Wilna nad brzegiem naszej rzeki, wśród zaścianków tam osiedlonych, zbyt często napotykałem nazwiska, Karmazyn, Karmazynek, Karmazyniszki; słowem: płynąc mi przyszło przez część Wilij, wśród samego Karmazynu. — Powodu początkowego nazwania tych siedzib, których nazwa tak często powtarzana zatrzymała moją uwagę — nie mogłem się dopytać u nadbrzeżnych mieszkańców, którzy często zmieniając siedziby, o dawnych ich tradycjach, nic zgoła nie wiedzieli. — Lecz wpadłem na domysł, iż te osady nadbrzeżne musiały być niegdyś zasiedlonemi przez samą starą kontuszową szlachtę, która się u nas, jak to wiemy, Karmazynem nazywała i tym się od stanu włościańskiego, nawet od szlachty nowego pochodzenia wyróżniała. Od niej więc, jak pozwałam sobie domyślać się, nazwisko te nadbrzeżne miejsca gdy przybrały, dotąd się Karmazynami nazywają. Owoż w jednym z podobnych Karmazynków, w prześlicznym na górze położeniu, na noc się zabrałem. Dnia 27. Czerwca rano, wiatr wszczęty w nocy coraz się wzmagając, Wilija wzburzona w dniu dzisiejszym, całkiem nie była żeglowną; sternik nasz dziadulo oświadczył mnie od rana, że się ani ruszy z miejsca: albowiem idąc wciąż pomiędzy kamieniami, przy tak przeciwnym wietrze, nie odpowiada za rozbicie się statku. Nie było co począć: gdy przeciw wiatru trudno jest dmuchać, staliśmy dzień cały, obrabialiśmy zaległość w albumach i protokule. Gdy się ta czynność ukończyła, swoją kolejną począłem pytać gospodarza domu, czyby w tej

okolicy nie było jakich podań miejscowych, jakich uroczysk lub kurhanów? Na co mnie gospodarz wskazując ręką na bór po za jego domem będący:

— Tutaj zaraz, panie, są kurhany, rzeczce — i wzięwszy czapkę, poszedł przed nami wskazując nam drogę.

W rzeczy samej, nieopodal od brzegów Wilij, w pięknym, czysto utrzymanym sosnowym borze, na pochyłości wyniosłej góry, było kilkanaście dużych kurhanów. Ludzie moi wzięli się do rydlówek. Kurhany te, zwyczajem przyjętym w tej stronie Litwy w starożytności, okolone były dużymi kamieniami, których ślady kiedyś istnienia, jakby w starej oprawie od kosztownych kamieni, w jamkach tylko różnej wielkości dokoła tutaj znalazłem. Przewodnik mój, widząc iż te jamki oglądałem z pewnym rodzajem ciekawości, jak gdyby one mnie jakąś zagadkę nierozwikłaną stanowiły:

— To wybrano do kościoła, rzeczce.

— Do jakiego kościoła? zapytałem.

— Do Dukszt, Panie, mnie odpowie.

Przedsięwzięcie murowania kościoła w Duksztach tak było głośnem na całą Litwę, że nie było osoby, któraby nie słyszała powtarzanej nazwy tego miejsca, co by nie złożyła na ten kościół swego grosza; nie było człowieka, którenby nie słyszał dziwów o wspaniałości świątyni tam się murującej. Nie znający dokładnie miejscowości w tej stronie kraju naszego, nie wiedziałem i nie przeczuwałem, że owe sławne Dukszty są tak blisko brzegów Wilij. Odkrycie to najprzyjemniejszą uczyniło niespodziankę w mojej podróży, o którejbym nie wiedział i minął bym pewno to miejsce, gdyby nie wiatr przeciwny, co mnie mimo woli zatrzymał tutaj.

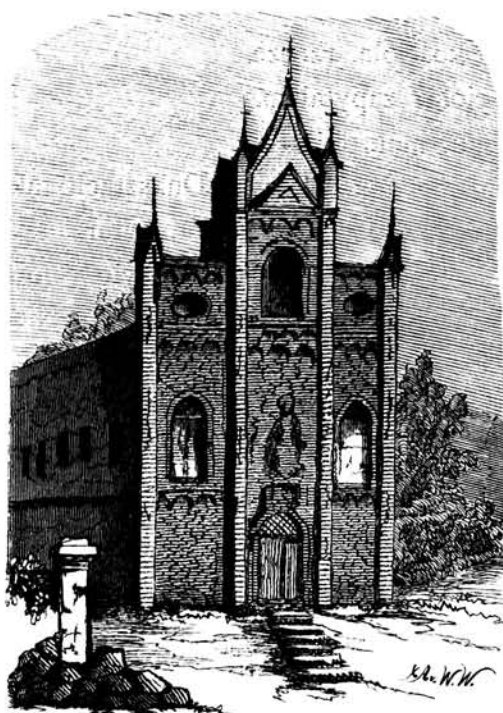
— Alboż Dukszty tak blisko? ze zdziwieniem mego przewodnika zapytałem.

— Tuż, za lasem, wskazując ręką na drogę idącą w las, mnie na to odpowiada. —

Dukszty więc, ów kościół ze swej piękności po całym kraju tak słynny, — wzniesiony bez grosza funduszu, tylko mocną wolą i krwawą pracą z uzbieranych ofiar przez gorliwego i pobożnego kapłana, tak są blizkie odemnie!

— Idźmy do nich, rzekłem moim kolegom — rzuciwszy rozkopujących kurhany przy ich robocie, poszliśmy wskazaną nam ścieżką. Okolica ta, nad brzegiem Wilij, jest tak malowniczą, że i owa wążka, kręta dróżka ku Duksztom wiodąca, po której szliśmy, była prześlicznym samorodnym rozdołem, rozdzielającym dwie wielkie góry porośłe lasem. Wiła się ścieżka wciąż po nad brzegiem łoża pięknego strumienia, w tej chwili wysuszonego, co z wiosną zapewne przyjmując wszystkie wody z gór zbiegające, wesoło z hałasem leci po kamieniach, aby zasilać swą wodą matkę Wiliję. Pół wiorsty zaledwo przeszedłszy tą piękną ścieżką, wy-

chodzi się na pole podobnie bardzo górzyste. Z pośrodku parowów rozdzielających te wzgórza, po lewej stronie wyglądać poczyna szczyt wieży czerwonej owego słynnego kościoła z białym na niej błyszczącym z daleka krzyżem. W rzeczy samej obejrzawszy tę ogromną w swych rozmiarach świątynię z kamienia i czerwonej cegły, nieco na gotyk zakrawającą, z wielkim wykończeniem dokonaną; świątynię, która nietylko na skromnym wiejskim probostwie, lecz w każdej stolicy postawiona, pięknnością swoją i wielkim rozmiarem przechodnia zatrzymałaby mogła, nie można tu zataić podziwienia, nie podobna odmówić najwyższej czci i poszanowania temu, co ją wznosił mocną tylko wiarą w pomoc Pana Boga, żelazną wolą i krwawą pracą. Trzeba mieć zaprawdę wiele niezwykłej wiary w miłosierdzie Pana Boga i posiadać wielką czystość ducha, ogromny zapas odwagi cywilnej i zapas niewyczer-



panej cierpliwości, aby bez pieniędzy, bez żadnych środków materialnych, ani nawet bez pewnych nadziei, rozpocząć tak wielkie dzieło. Tym człowiekiem, co się odważył na takie przedsięwzięcie, jest dzisiejszy proboszcz duksztański, ks. Dębiński. Przebywszy najwyższe urzęda w zgromadzeniu XX. Pijarów, bo był rektorem i prowincyałem tego zgromadzenia po jego kassacie, osiadł w Duksztach, majątku niegdyś pijarskim. Tam rozpoczął i dokonał to niezwykłe dzieło. Trzeba widzieć całą chrześcijańską pokorę, skromność i zaprzanie się samego siebie w tym pobożnym kapłanie, aby z głębi serca w imieniu kraju i religii, złożyć mu cześć i uszanowanie, na jakie zasłużył. Zawsze czynny i niespracowany, z bezprzykładną abnegacją,

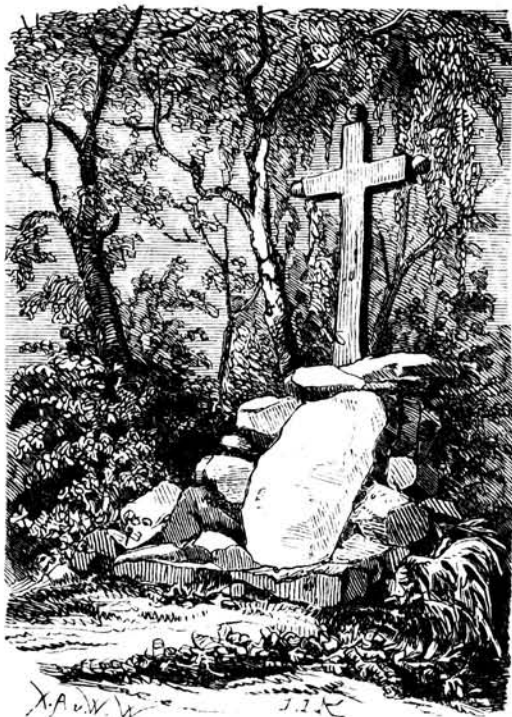
w zdeptanem obuwiu, w samodziałowej płóciennej kapocie, z kijem w ręku, to bezprześcanną pielgrzymkę około nowo pobudowanego kościoła odbywa, dodając ciągle jakiś szczegół do jego ozdoby; to kwiatki pielęgnuje w założonym przez siebie i czysto utrzymanym ogródku; to źródło wód żelaznych, wypływające w pięknej dolinie ponad rzeką Dukszcianką, urządza dla pomocy ludziom cierpiącym; — to nareszcie uprawia rolę, jako gospodarz i administrator plebanii.

Dukszta rzeczka, od której plebania swoją nazwę przybrała, pierwotne prowadzi pochodzenie, jakoby od słowa litewskiego duksaju, duksauje, duksanty, co oznacza wzdychać, mieć pragnienie, żądzę. — Jeżeli to literalnie ma się stosować do rzeki często wysychającej, w której ryba wytycha, mówi się po litewsku ogólnym wyrazem: duksta, wytycha, jak się mówi o piwie i innych trunkach źle zakorkowanych, ztąd wytchłych — izduka, wytchło oznacza. Musiała i rzeka Dukszta kiedyś wysychać i ryba się w niej zatychać, kiedy jej nadano to nazwanie w języku litewskim.

Kościół duksztański wewnątrz, odpowiada we wszystkim swojej powierzchownej wspaniałości; smakownie jest i dostatnio wykończony. Obrazy we wszystkich trzech jego ołtarzach wykonanemi są przez same artystki amatorki. Jest tam obraz Matki Boskiej, pędzla pani Skirmuntowej; drugi obraz pędzla hr. Czapskiej; obrazy panny Kiniewiczówny i obrazy pędzla malarza Chruckiego, umieszczone w ponośnym ołtarzyku. Obrazy Chruckiego i panny Kiniewiczówny celują nad inne pięknoscią kolorytu i wykończeniem. — W ołtarzyku małym, przy lewej ścianie kościoła, służącym zarazem za ołtarz w potrzebie i za chrzcielnicę, umieszczony jest niewielki wizerunek Matki Boskiej. Wizerunek ten był ulubionym obrazem Adama Mickiewicza, po śmierci tego poety, z licytacji w Paryżu, przez jedną z polskich dam kupiony, z przydatkiem dwóchset rubli srebrem, do duksztańskiego kościoła, za pośrednictwem znanego wszystkim znakomitego poety naszego Antoniego Edwarda Odyńca przesłany został. Obraz ten ma swoją ciekawą historię, której nader interesujące szczegóły posiada p. Edward Odyniec; z właściwym sobie talentem opowiada i opowiadać takowe namiętnie lubi. Każdego więc z moich czytelników, ciekawego szczegółów tej historii, odsyłam do p. Edwarda Odyńca.

Na cmentarzu po za kościołem, pomiędzy staremi wyniosłemi sosnami, wznosi się jakby grotą, z dużych, dzikich, nieforemnie ułożonych kamieni; nad nią krzyż z figurą Zbawiciela panuje; a wewnątrz, od strony kościoła, ciemna gładka plita kamienna, złotym napisem ozdobiona, ogłasza przychodniom, iż pomnik ten jest wzniesionym pamięci zasłużonych w nauce Pijarów, księżom: Golańskiemu, Sieradzkiemu, Daniłowiczowi i Głogowskiemu, zmarłym w różnych datach. Pomnik ten postawił, swoim współbraciom w zgromadzeniu, tenże ks. proboszcz Dębiński. Pan

Januszewicz już mnie ów pomnik do podróznego albumu zrysował — i gdy poszedł wyszukać dobre stanowisko, z którego by się kościół duksztański korzystnie wydawał dla zrysowania go podobnież w albumie, — ja poszedłem złożyć moje uszanowanie ks. Dębińskiemu w jego mieszkaniu. Lewą stronę dość obszernego drewnianego domu, zajmował ks. proboszcz. Duży w niej pokój był zapełnionym rozmaitemi szczątkami, pozostałymi od fabryki kościoła, zaledwo ukończonej; księgami, regestrami i rachunkami szczegółowemi wydatków poniesionych na budowę kościoła. Na ścianach tej izby wisiały portrety zasłużonych w kraju Pijarów. Między niemi zatrzymał moją uwagę portret człowieka cywilnego. Piękne i znaczące rysy twarzy,



w całej postawie jakaś wspaniała godność, układ tego portretu jakiś artystyczny, niezwykajny, zajął mnie nie pomału. Zdziwiłem się jeszcze bardziej, gdym się dowiedział, że ów portret był portretem księcia Potemkina, któren szczególniejszą mając słabość do Pijarów litewskich, zgromadzenie to w bezprzestanne zaopatrywał fundusze. Nie cierpiący Jezuitów, w miarę tego jak tamtym magnaci polscy dobra zapisywali, Potemkin, jakby idący z nimi w zawody, Pijarom ciągle fundusz powiększał. W plebanii duksztańskiej znalazłem jeszcze jednego Pijara, staruszka 84 lat mającego,¹ ostatnią już ze świetności tego zgromadzenia, co się nauką odznaczało, a wychowaniem wzorowem młodzieży tak się w swoim czasie krajowi naszemu przysłużyło. Tym staruszkim był ks. Krukowski, niegdyś nauczyciel w zgro-

madzeniu ks. Pijarów, potem rektor, nareszcie prowincyał tego zgromadzenia, a na ostatek kanclerz kapituły wileńskiej. Gdy go starość, nawykłego do duchownego zgromadzenia i do murów klasztoru, samotnikiem na świecie zaskoczyła, przeniósł się do Dukszt, aby w swoim niegdyś majątku, przy nowo wzniesionej świątyni pod troskliwą opieką znacznie młodszego od siebie w latach kolegi, dożył spokojnie dni sobie od Boga naznaczonych. Był to staruszek rzeźwego jeszcze jak na podeszłe lata swoje umysłu, pamiętający doskonale wszystkie najdrobniejsze szczegóły swojej przeszłości; oczy mu jeszcze dobrze służyły; był tylko głuchym nieco. Jeszcze go bawiło wiele rzeczy: lubił przyrodzenie, ogród, kwiaty.

P. Januszewicz zrysował i przyniósł mnie wizerunek kościoła duksztańskiego. Zabieraliśmy się już do powrotu ku brzegom naszej Wilij. Kiedym się w ogródku plebanialnym z księżami żegnał, ksiądz Krukowski błogosławiąc mnie, powiedział te słowa, które zapamiętałem na zawsze:

— „Dziękuję panu, żeś mnie odwiedził; poznałeś pan niedołęgę do niczego; już ja jestem obywatelem tamtego świata.“

Oddaliliśmy się od plebanij, z przyjemnem wrażeniem dla dzieła, i ze czcią głęboką dla jego twórcy. — Znowuśmy tą samą drogą, idącą rozdołem, wracali do miejsca naszego noclegu. Kurhany były już rozkopanemi, lecz nic w nich nie znaleziono. Trzy z nich większe, które znalazłem oddawna rozkrytemi, kopał przed kilką laty, jak mnie sam powiadał, ks. Dębiński. Znaleziony w nich toporek i dzidę przesłał do muzeum starożytności w Wilnie.

Jużeśmy napowrót w naszej gospodzie. — Chłód i niepogoda trwają ciągle, Termometr wystawiony, wskazał nam ciepła 13°, barometr zaś 28° 2'.

Wiatr przeciwny wzbudzając Wiliję, nie pozwalał płynąć dalej. Lecz gdy się tutaj wszystko już wyczerpało i siedzieć beczynnemie niepodobna, naprzekór wiatrom i sternikowi, co się ich lękał, co by się stać nie miało, rozkazałem płynąć dalej. Statek ciągnięty na lince przez ludzi moich, zaledwo się poruszał naprzód; pruł on ciągle fale, które go nazad całą siłą odpychając, żeglugę niemożliwą czyniły; już się i ludzie pomordowali i nas siedzących w statku nuda ogarnęła. — W przeciągu godziny, po wielkich trudach i wysiłkach, uszliśmy pół wiorsty zaledwo. Przy zejściu się rzeczki Dukszcianki z Wiliją, w pięknej zawsze okolicy, leżała gospoda, podobnież odosobniona i samotna. U stóp góry, na której ona się rozłożyła, przystoubowaliśmy na serjo: bo ludziom sił, a nam cierpliwości zabrakło na dalszą podróż. Znowu Karmazyniszki, pierwotna posada jakiegoś karmazynowego szlachcica, dzisiaj zamieszkała przez liczną rodzinę, z samych kobiet złożoną — żadnego tam mężczyzny nie znalazłem. — Oprócz gospodyni domu, była tam jakaś młoda męzatka, były i dziewczęta. Nie mając czasu do stracenia, gdy brakło mnie

jeszcze do mego śpiewnika ludowego, pieśni śpiewanych w powiecie wileńskim na tej stronie Wilna, taka liczna kobiet rodzina mogła niewątpliwie mi tę próżnię zapełnić. — Za pomocą herbaty i innych traktamentów, zbliżyłem się i spoufaliłem z nimi. Gdy się swobodnie rozwiązały usta śpiewaczek, posiedzenie nasze przeciągnęło się do północy, podtrzymywane ciągle bądź dyktowaniem śpiewów, bądź opowiadaniem jakichś podań gminnych lub powieści miejscowych. Różnica w pieśniach mnie śpiewanych tutaj, z temi, które przed Wilnem spisywałem, w powiecie tym samym wprawdzie, lecz przegrodzonym jakby murem dużym miastem, które te dwie części powiatu między sobą rozdziela, była znaczną. Dziewczęta w Karmazynszkach śpiewały mnie pieśni całkiem różne od tych, które już miałem spisane. — Nie wszystkie z pieśni dyktowanych tutaj były pieśniami czysto ludowymi, temi właśnie, które tak wybitnie malują obyczaje i charakter ludu miejscowego. Śpiewane przez szlachcianki, co się zwykle wstydzą wszelkiej styczności i podobieństwa z życiem i obyczajami włościan naszych, były po większej części piosnkami zachwyconemi z innych sfer towarzystwa, były przekręconemi i pokaleczonemi mazurkami z wesołego Mazowsza i Podlasia: bo szlachcianka zagonowa u nas sądzi zwykle, iż piękniej wygląda, daleko jej więcej do twarzy i dostojniej uczci swój klejnot szlachecki, gdy się we wszystkim napina do warstw towarzystwa wyższego od siebie i najniezgrabniej małpuje obyczaje i język wykształceńszych ludzi. Mazurki i krakowiaki podlaskie śpiewała najczęściej owa młoda mężatka, co strojem prostym wiejskim, podobna do reszty swego towarzystwa w Karmazynku, akcentem koronnym, który się co chwila w jej mowie przebijał, od nich się całkiem różniła. — Rodem z Warszawy, była ona żoną stangreta księcia Giedrojcia, od lat kilku w tych okolicach zamieszkała. Przez ciągłą styczność z tutejszym ludem, przez zmieszanie się codzienne z ich obyczajami, warszawianka sprostaczała, i połowę już koronnego języka utraciła. Była to kobieta młoda jeszcze, dosyć przystojna, gadatliwa i wymowna, jak wszystkie kobiety na Mazowszu. Gdy się wyczerpał u niej zapas mazurków i krakowiaków, poczęła nam kolejno opowiadać rozmaite zdarzenia i powiastki, najczęściej miłosne — i choć to z niemałą pretensją, nieraz z zalotnem przewracaniem oczu czyniła, opowiadała z takim interesem, z tak wielkim darem wymowy, iż niem zwróciła całą naszą uwagę na treść opowiadanych przez siebie rzeczy. Nieraz prawdziwie dziwić się przychodziło, słysząc pośród rodziny prostych ludzi, pod słomianą strzechą ubogiego domostwa, odosobnionego od ludzi, nad brzegiem Wilij samotnie stojącego, dokąd mnie jedynie tylko chęć poznania szczegółów własnej ziemi i wiatr przeciwny zaprowadziły, tyle tak płynnej wymowy w opowiadaniu, która w ustach człowieka wyższego ukształcenia użyta, wydałaby się jeszcze niezwykłą.